

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

WEJHEROWO 2011

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

Pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2011

W y d a w c a:

**Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie, skład komputerowy: Henryk Połchowski

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Korekta: Ewelina Magdziarczyk-Plebanek

Druk: Drukarnia ANAM Wejherowo

ISBN 978 - 83 - 928233 -9 - 1

Drodzy Czytelnicy!

Już po raz szósty Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie zorganizowała Wejherowski Konkurs Literacki "Powiew Weny". Tegoroczna edycja konkursu, przebiegającego tradycyjnie pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa, była opatrzona hasłem: „To się mogło zdarzyć tylko w Wejherowie”. Tak sprecyzowane motto miało na celu zachęcenie literatów, szczególnie tych piszących prozą, do zlokalizowania akcji swoich opowiadań w grodzie Jakuba Wejhera.

Mimo, iż nie wszyscy twórcy skorzystali z zaproszenia do tego tematu organizatorzy konkursu są usatysfakcjonowani z zaproponowanej inspiracji. Stworzenie bowiem fabuły w oparciu o realia wejherowskie, mającej na celu promocję Wejherowa a jednocześnie popularyzację miasta w literaturze, spełniło te oczekiwania. Na pewno warto było podjąć ten temat.

Do tegorocznej „Weny” napłynęło 44. prace, w tym 6 spoza województwa, które ze względu na warunki Regulaminu Konkursu nie mogły być oceniane pod kątem przyznawanych nagród i wyróżnień. W grupie wiekowej A – do lat 19, do konkursu zakwalifikowane zostały 4. opowiadania i 4. zestawy wierszy. Natomiast w kategorii wiekowej B – od lat 20 wzwyż, do konkursu jury zakwalifikowało 14. opowiadań i 16. zestawów poetyckich.

Prace konkursowe oceniało jury w składzie: Bogdan Tokłowicz – przewodniczący (zastępca prezydenta Wejherowa, nauczyciel), członkowie – Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), Ewelina Magdziarczyk-Plebanek (bibliotekarz, kulturoznawca, teatrolog), Bartosz Aleksandrowski (dyrektor ośrodka kultury, ekonomista), Henryk Połchowski (polonista, dziennikarz).

Cieszy wzrost zainteresowania konkursem, rosnącej liczby uczestników, w tym osób decydujących się na udział w nim po raz pierwszy. Cieszy przede wszystkim wzrost poziomu literackiego prac nadsyłanych na konkurs, zwłaszcza w kategorii prozy. Świadczy to o rozwoju twórczym piszących i potrzebie kontynuacji naszego konkursu literackiego. Dla organizatorów to najlepszy dowód, że warto inwestować w mecenat Prezydenta Miasta Wejherowa służący rozwojowi twórczości literackiej mieszkańców miasta i regionu.

Konkurs potwierdza, że w naszym mieście i powiecie jest wielu niezwykle uzdolnionych autorów, dla których udział w Wejherowskim Konkursie Literackim „Powiew Weny” jest znakomitą okazją do doskonalenia warsztatu literac-

kiego i rozwoju myśli twórczej, do sprawdzenia swoich możliwości na tle innych a także prezentacji swojej twórczości na szerszym forum. Przeprowadzone edycje Wejherowskiego Konkursu Literackiego przyczyniły się do tego, że wyłonił on szerokie grono uzdolnionych ludzi pióra, można śmiało powiedzieć - elitę literacką miasta Wejherowa i ziemi wejherowskiej, która podąża tropem znanych już literatów naszego regionu - Reginy Osowickiej, Doroty Maśłowskiej, Stanisława Janke i Piotra Schmandta.

Zdajemy też sobie sprawę, że dla początkujących nasz konkurs jest jedynie szansą na „wyjście z cienia” i pokazania swojej twórczości skrywanej gdzieś w głębiach szuflady czy przestrzeniach cyfrowych domowego komputera. Ze względu na sporą ilość uczestników oraz obszerność niektórych tekstów konkursowych nie możemy opublikować wszystkich prac, jedynie te nagrodzone i wyróżnione. Wierzimy jednak, że to nie zniechęci piszących do uczestnictwa w kolejnych edycjach konkursu.

Wszystkim, którzy wzięli udział w tym przedsięwzięciu, z całego serca dziękuję i gratuluję. Zapraszam mieszkańców ziemi wejherowskiej obdarzonych uzdolnieniami literackimi do udziału w kolejnej edycji konkursu "Powiew Wenny", która odbędzie się w roku przyszłym.

Bogdan Tokłowicz

Przewodniczący Komisji Konkursowej
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa

WYNIKI
VI Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„POWIEW WENY – 2011”

A – grupa do lat 19

POEZJA

- 1 nagroda: Magdalena Wołosiak – „Sybilla 02” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Aleksandra Mielewczyk – „Degrengolada” (Bolszewo),
- 3 nagroda: Paulina Zelewska – „Tuga” (Wejherowo).

PROZA

- 1 nagroda: Kornelia Selonke – „Korsel” (Lębork),
- 2 nagroda: Paulina Richert – „Opus” (Luzino),
- 3 nagroda: Paulina Czajkowska – „Tytanka,, (Gęś).

B – grupa dorosłych

PROZA

- 1 nagroda: Lucyna Kurpiewska – „Interlinia” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Tadeusz Buraczewski – „RT Orłowscy” (Reda),
- 3 nagroda: Mirosław Odyniecki – „Kerim” (Wejherowo),
- Nagroda Specjalna Dyrektora Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie: Wanda Ditrich – „Bromba” (Wejherowo).
- Nagroda Specjalna Przewodniczącego Rady Miasta Wejherowa: Andrzej Podgórnjak – „Michasia” (Skarszewy),
- Nagroda Specjalna Dyrektora Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie: Robert Modrzejewski (Wejherowo),
- Wyróżnienie: Wyróżnienie: Bogusława Zubrzycka – „ErBo” (Wejherowo).
- Wyróżnienie: Tomasz Lipowski – „Ebenezzer Konopek” (Wejherowo),

POEZJA

- 1 nagroda: Maciej Kotłowski – „Kino Świt” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Barbara Sędzicka – „Esterka,, (Wejherowo),
- 3 nagroda: Edyta Wysocka „Ukwiał” (Miastko),
- Nagroda Specjalna Z-cy Przewodniczącego Zarządu Głównego ZKP: Mateusz Meyer „Terrorysta Snu” (Lewinko)
- Wyróżnienie: Grzegorz Lewkowicz – „Kamrat” (Gdynia).

Pani Willmowna

- Droga dobrodziejko wybacz za to najście, ale Bóg mi świadkiem, mam powód, by cię niepokoić - burmistrzowa spojrzała na wynędzniałą kobietę, o nieproporcjonalnie dużym nosie, krzywych i wzbudzających odrazę zębach. Jednak największą uwagę przykuwały jej duże, niebieskie jak błękit nieba oczy oraz rozpacz, którą w sobie kryły.

Nie wiedziała kim jest ta kobieta i mogłaby przysiąc, że nigdy wcześniej jej nie widziała. Dlaczego zapukała właśnie do jej drzwi? Nie wyglądała na żebraczkę, emanował od niej dziwny niepokój.

- Ktoś ty? - spytała Katarzyna stojąc na progu swego domu. Pukanie owej nieznajomej oderwało ją od obowiązków domowych. Właśnie szyła koszule dla swych młodszych dzieci. Wesoła gromadka biegała po izbie, bawiąc się wokół stołu, nie zainteresowana wizytą niespodziewanego gościa.

- Jestem żoną Christiana Bałg, młynarza z Kniewa, mam na imię Anna. Czy to coś dobrodziejce mówi? - powiedziała spojrzawszy uważnie na twarz rozmówczynie.

Zadbana, energiczna, słusznych kształtów niewiasta szukała w swych myślach odpowiedzi. Miała piękne lśniące włosy i dobre, pełne iskier oczy.

-Nie - pokiwała głową Katarzyna - ale zapraszam do środka - dodała chwyciwszy się za fartuch, jakby czegoś szukała. Jej drobne, zgrabne palce zatrzymały się na igle, którą wcześniej pospiesznie wkuła w kieszeń, nie chcąc by ta gdzieś się zawieruszyła.

Na dworze wiał silny wiatr, który sypał piachem i podrywał liście. Niebo wyglądało jakby zaraz miał spaść deszcz. Kobieta weszła do środka i zdjęła z włosów chustę. Rozejrzała się dookoła, po czym zaczęła wyjaśniać:

- Dwie niedziele temu mój Christian napił się i wszczął burdę w karczmie. Jest to człek małej wiary, lubiący gorzałkę jak mało co na świecie. Awanturnik i złodziej! Ja wiem to najlepiej! Jeno bez niego nasza rodzina nie przetrwa zimy. Bo kto porąbie drwa? Młyn obsłuży? Mąkę innym sprzeda?

- Ale wciąż nie rozumiem, co ja mogę w tej sprawie poradzić? - zdziwiła się Katarzyna słuchając słów pani Bałg.

- Burmistrzowa to jak sumienie burmistrza, jego oczy, dusza i myśli! Rajcy a nawet odległego Śmiechowa. W obu rogach placu tętniły życiem gospody,

mojego na grzywnę skazali za niedoważanie worków z mąką, a teraz jeszcze ta awantura! Ponoć Christian pchnął gajowego Durowskiego, bo ten złodziejem go nazwał. W areszcie siedzi, a ziarno nie wymłócone! Ratuj dobrodziejko! - Kobieta złożyła dłońe jak do modlitwy. Jej spięta twarz jeszcze bardziej odzwierciedlała krzywdę.

- Nie znam się na pracy rady, mój mąż jej przewodzi, ale do spraw swoich mnie nie dopuszcza. - Odpowiedziała grzecznie, czując, że słowa te nie zadowolą Anny Bałg.

- Dobrodziejko, w tobie moja ostania nadzieja! - Dodała z przyciskiem i rozrzewnieniem tanta.

- Nic nie wiem o tej sprawie, ale wilkierz święta rzecz, burmistrz musi stać na straży porządku w mieście. Jak mam z czystym sumieniem prosić męża o przymknięcie oka na krzywdy kolonistów? - Spytała rozdarta Katarzyna. Nie miała złych intencji, ale oczekiwania tej kobiety przerastały jej możliwości.

- A co z moją krzywdą? Moje dzieci w niczym nie zawiniły! - Zawołała rozłoszczona Anna.

- Jeżeli Christian Bałg rzeczywiście po wtóre złamał prawo, a ja uproszę męża i pozostałych, by go wypuścili, jak mam z czystym sumieniem iść potem do Kościoła i modlić się przed ołtarzem Najświętszej Paniarki grzech ciężki popełniwszy?

- Wolisz waćpani mieć na sumieniu dusze moich dzieci? - Spytała grając na uczuciach burmistrzowej, która też była matką.

- Nie, życzę ci Anno i twoim dzieciom jak najlepiej, ale zrozum mnie...

- Serce masz jak lód! - Zawołała zrozpaczona Anna.

- Nie mogę spełnić twojej prośby, ale mogę się za was modlić - zadeklarowała zmieszana niezręczną sytuacją.

- Nie potrzebnie czas traciłam, robotę mam w obejściu! - Żachnęła się zdenerwowana młynarzowa.

- Ty również zaufaj Opatrzności Bożej! - Zawołała równie rozżalonym głosem, ale Anna nie słuchała już, zwinęła pospiesznie swą chustę i nerwowym krokiem poszła w kierunku drzwi.

- A gadają, że burmistrzowa serce ma gołębnie. Nie znają się ludzie na rzeczy i bzdury plotą, co im ślina na język przyniesie! - Mamrotała rozgoryczona.

- Bóg mi świadkiem, że w tej sprawie nic nie mogę zrobić! - Krzyknęła, ale młynarzowa była już za drzwiami.

Dziwne odczucia przewijały się przez myśli Katarzyny przez kolejne dni. Wiedziała, że postąpiła słusznie, ale mimo to czuła się źle.

Willmowna szła rynkiem, którego gwar cichł dopiero po zmierzchu. Dzwony kościelne ustalały porządek dnia i wypełniały swym donośnym brzmieniem całą jego przestrzeń. Słyszeli je także mieszkańcy pobliskiej wsi Nanice,

przyjmujące gości z odległych stron zmierzających w interesach do Gdańska, bądź też z niego wracających. Z drugiej strony dochodziły odgłosy placu targowego, gdzie można było nabyć dosłownie wszystko: lniane sukno, jajka, mleko, jabłka, kołaczki, mięso i słoninę. Zewsząd było słychać nawoływania kupców, zachęcających by u nich kupować. Szmery i dyskusje, kłótnie i targowanie się były, tu na porządku dziennym. W tym miejscu każdy mógł znaleźć coś dla siebie, to też zadowolenie klienteli przekładało się na udane interesy przekupniów.

Na rynku stała też fontanna będąca dumą i ozdobą miasta, kto tylko życzył sobie się napić lub wziąć kubeł wody z sobą mógł to zrobić, to też zawsze, o każdej niemal porze, mieszczanie nosili stąd wodę do swoich domostw. Przychodziły też spragnione zwierzęta, głównie bezpańskie psy i koty, które opodal zawsze mogły liczyć na jakiś ochłap. Gdy tylko kupcom spadło co ze stołu, rzucali się na to żebracy, na przemian z błąkającą się zwierzyną, co było przyczyną ciągłych skarg i narzekań handlarzy.

Ratuszowy zegar wybijał jedenastą. Willmowna odruchowo spojrzała na miejsce pracy swego męża. Był to piękny budynek, wyróżniający się wśród wszystkich budowli znajdujących się na rynku, górujący nad nimi swą wielkością i majestatem. Jego solidną wieżę zwieńczały srebrne kopuły duża i mała, które lśniły w słońcu przy słonecznej pogodzie. Ogromny ruch panował w podcieniach u wejścia do ratusza, gdzie chętnie umawiali się na spotkania mieszczanie oraz nerwowo dreptały czekające na rozprawy strony we wszelkich sprawach sądowych.

Nieopodal stał pręgierz dla słusznie skazanych, ukaranych ku przestrodze innych, a tuż za nim znajdowała się pucka jatka, której zapachy roznosił wiatr hen daleko ku obrzeżom rynku. To właśnie tu mieszkańcy Wejherowskiej Woli nabywali świeże ryby, dopiero co złowione i przywiezione przez rybaków znad morza. Te zapachy dochodziły do samego ratusza oraz do pobliskich domostw, które zwartym szeregiem otulały rynek.

Ruch panował tu niebywały i mnóstwo wozów przybywało przez cztery bramy: Gdańską, Lęborską, Pucką i Pętkowicką, uprzednio zapłaciwszy opłaty targowe i mostowe.

- Willmowno! Willmowno! - dobiegł Katarzynę głos zza pleców.

Obróciła się i dostrzegła karczmarkę z zajazdu „Pod Błękitnym Niebem”, która tak jak ona przychodziła tu po świeże śledzie i makrele.

- Słyszała pani co wydarzy się jutro? - spytała podekscytowana kobieta.

- Nie, a co? - zdziwiła się niezorientowana Katarzyna.

- Wszyscy o tym gadają. Nic tylko o tym - zagaiła rozentuzjasmowana rozmówczyni, jakby jutro miało się zdarzyć coś niebywałego, niecodziennego i sensacyjnego.

- Nie wiem, pewnie ktoś dostanie baty – zgadywała Willmowna, zniecierpliwiona w czym rzecz.

- Nie może być, naprawdę nic pani nie wie? - zawołała zadowolona karczmarka, jako pierwsza mogła donieść o wszystkim żonie burmistrza.

- Jutro palą czarownicę! - wyrzekła jakimś dziwnym tonem, w którym znać było dumę i entuzjazm.

- Czarownicę? - zdziwiła się Katarzyna, gdyż wiadomość rzeczywiście była nad wyraz sensacyjna.

- Tak, Annę Balg, żonę młynarza z Kniewa - odrzekła dobrze poinformowana karczmarka spoglądając w przerażone oczy Willmowny

- Nie może to być - szepnęła łamiącym się głosem Katarzyna. Czuła się jakby strzelił w nią piorun.

- Zna ją pani? - zdziwiła się kobieta zaskoczona tak silną reakcją rozmówczyni.

- Była u mnie jakiś czas temu - odrzekła zaniepokojona.

- Była? - powtórzyła zaskoczona rozmówczyni. - A co wiedźma od burmistrzowej chciała? - spytała ciekawska.

- Szukała pomocy w sprawie aresztowania jej męża Christiana - wydusiła z siebie Willmowna, ale ciągle była jakaś nieswoja.

- Psi! - parsknęła z lekceważeniem karczmarka. - Niech Willimowa zapomni o tej znajomości. Lepiej o tym nie gadać. Jeszcze kto powie, że burmistrzowa jest jej współniczka albo Bóg jeden wie co. Dobrze, że na dzieci, ani na domostwo jakiego uroku nie puściła, bo byłaby jaka choroba lub nieszczęście.

- Nie, nie. Nic takiego nie miało miejsca - zaprzeczyła Katarzyna.

- Diabeł wchodzi między domy, nikt z nas nie wie czy to wędrowiec czy czart. Ma czarną, szatę o cudzoziemskim kroju, pachnie smołą lub siarką, poza tym rozróżnić go trudno. Wiem o tym dobrze, pracując w gospodzie, nieraz, takim w oczy spozieram - odrzekła z troską karczmarka. - Jutro pójdzie do piekła złego nałożnica i mieszkańcy Wejherowskiej Woli oraz Kniewa odetchną z ulgą.

- Przyznała się? - zapytała z niedowierzaniem Katarzyna.

- Tak ponoć na pierwszym przesłuchaniu wyznała, że współżyje z szatanem oraz, że czyni zło dla j ego przyjemności. Sędzia musiał ją skazać.

- Tak, tak, to straszne - wymamrotała Willmowna

- Niech burmistrzowa będzie jutro w samo południe na wzgórzu szubienicznym, ja również przyjdę. Nigdy nie widziałam jak ginie czarownica. Ciekawe czy strawi ją ogień, czy przetrzyma żar. Lecę, bo muszę w gospodzie posprzątać, jutro okoliczni goście się zjadą. Nie ja jedna chcę zobaczyć śmierć czarownicy! - zawołała karczmarka, po czym obróciła się na pięcie kierując się ku gospodzie.

Katarzyna stała tak przez chwilę osłupiała, zdziwiona i przerażona. Nigdy nie lubiła

patrzeć na publiczne egzekucje, przerażała ją śmierć, krew i cierpienie tych ludzi, nawet gdy na nie zasługiwali. Ale czy Anna Balg naprawdę była czarownicą? Przecież gdyby miała nadprzyrodzoną moc nie przychodziłaby do niej prosić o pomoc, tylko sama znalazłaby stosowne rozwiązanie. Nieraz ludzie w karczmie gadali o wróżach, wiedźmach i diabłach władającymi tajemnymi siłami, tak potężnymi, że aż strach o nich myśleć, zmieniającymi bieg ludzkich losów, o magicznych przedmiotach i mocach, przed którymi należy się strzec. Był to tajemny świat wdzierający się, niechciany, w zwykłą codzienność, przerażający, ale budzący ciekawość.

Ta nieszczęsna kobieta, młynarzowa, nie wzbudziła w niej lęku lecz litość. Była matką chcącą zapewnić swoim dzieciom godny byt, dlaczego zatem jutro ma spłonąć na stosie? Jej zadumę przerwał czarny kot, łaszący się do nogi.

- Pewnie czujesz moje ryby - powiedziała spoglądając na wymizerowane zwierzę. Po czym rzuciła mu kawałek śledzia.

- Jutro spalą Annę Balg - szepnęła sama do siebie

Słoneczny poranek był dobrym proroctwem na dalszą część dnia. Willimowna wyjęła z kufra suknie i czepki swoich córek i uszykowała przyodziewek dla siebie i syna. Po śniadaniu ze starszymi dziećmi zabrała się do tkania kilima. Młodsze bawiły się radośnie udając różne zwierzęta, naśladując odgłosy i ich chód. Od czasu do czasu zajęta spoglądała na nie, czy oby które nie zapłacze się w przedzę lub strąci coś ze stołu.

Gdy słońce zawisło już odpowiednio wysoko na niebie, Katarzyna wzięła swą dziatwę i udała się w kierunku „Nowej Karczmy” na wzgórze szubieniczne. Dotarłszy na miejsce stanęła gdzieś z tyłu, bo choć czasu było jeszcze dość, na widowisko ściągnął już niezły tłum. Byli to ludzie różnych stanów, mieszkańcy Wejherowskiej Woli i okolic oraz przejezdni, biedni i bogacze, kupcy, urzędnicy, rzemieślnicy, karczmarze, młynarze, szlachta, chłopci, mnisi z klasztoru, księża, łotry, kaleki, włóczędzy, starcy i dzieci.

Jak tylko przyuważyła ją owa karczmarzka z zajazdu „Pod błękitnym niebem”, kazała ludziom rozstąpić się mówiąc, że to sama burmistrzowa. Tak chcąc, nie chcąc Willimowna i jej dzieci zyskały najdogodniejsze miejsca na samym przedzie, wraz z tymi którzy najwcześniej tu się zjawili.

Spojrzała przed siebie, kilka stóp przed nią widniał ogromny stos usypany z chrustu i suchych gałęzi, a z jego środka wystawał ogromny pal. Tuż przy nim kręcił się kat, pilnujący by ludzie nie gromadzili się zbyt blisko. Pomocnik kata dzierżył w dłoni rozpaloną pochodnię, którą w stosownym momencie miano wzniecić pożar.

Gdy nadszedł czas wprowadzono Annę, a kat przywiązał ją mocno grubym sznurem do pala, tak by od wykonania wyroku prawowitego sądu nie miała już ucieczki. Willimowna, gdyby nie stała tak blisko, pewnie nie poznałaby jej. Wynędziała, wykrzywiona bólem twarz wydawała się surowa i brzydka, jak z opowiadań o wiedźmach. Duże niebieskie jak niebo, oczy, które wcześniej przykuwały uwagę

swą głębią, wydawały się teraz puste, nieobecne. Długie kasztanowe niegdyś włosy były siwe, jak u staruszki. Ziemista cera i spuchnięte ciało oraz łachmany, w jakich przyprowadzono skazaną, świadczyły o skrupulatnym przesłuchaniu oskarżonej.

Kat odczytał postanowienie sądu oraz podkreślił, że kobieta ta przyznała się zarówno do oddania duszy diabłu jak i do uprawiania czarów, którymi szkodziła mieszkańcom Kniewa, co poświadczili świadkowie. W związku z wolą sądu oraz za, zezwoleniem pana miasta skazana zginie w płomieniach jak przystało karać czarownice.

Anna Balg, wcześniej jakby nieobecna, podniosła teraz wzrok i spojrzała w tłum. Jej oczy zatrzymały się na twarzy Willmowny, która stała skupiona śledząca z uwagą wszystko, co się działo. Ich spojrzenia spotkały się przez chwilę, po czym Katarzyna spuściła wzrok zawstydzona swoją tu obecnością oraz zmieszana siłą spojrzenia młynarzowej. Wzrok ten, dziki i nienawistny napawał ją przerażeniem i utwierdził w przekonaniu, że niepotrzebnie tu przyszła.

Kiedy kat skończył czytać winy skazanej, ku zdziwieniu i zaskoczeniu wszystkich oskarżona zabrała głos:

- Ból, który czuję w sercu, jest silniejszy niż największe płomienie. Nie chciałam tak marnie skończyć. Oskarżyliście mnie, skazaliście, a ja godnie zniosę każde cierpienie, jak przystało wiedźmie, ale wierzcie mi, nie ja jedna spółkowałam z diabłem.

Na te słowa zgromadzeni podnieśli gwar, oburzeni wyznaniem młynarzowej, jedni krzyczeli „Idź do diabła!”, inni złorzeczyli jej w duchu. Uciszył wszystkich kat i przypomniał, że oskarżona nie ma prawa przemawiać, jednak obecny przy egzekucji sędzia, podszedł do niej, by pociągnąć ją za język.

- Kto zatem jeszcze spółkował według ciebie z diabłem? - spytał, a zgromadzeni zamilkli, by usłyszeć odpowiedź. Anna wyciągnęła kościsty palec i wskazała ręką w tłum.

- Katarzyna Willmowna.

Burmistrzowa zbladła z przerażenia, zaskoczona niespodziewaną mściwością Anny. Jej ciało zrobiło się nagle zimne, kamienne, za ciężkie by dźwigać je w pionie. Chciała się ruszyć, ale nie była w stanie. Chciała zaprzeczyć, lecz nie mogła nic powiedzieć. Po chwili ta ogólna niemoc ustąpiła. Spojrzała się po twarzach otaczających ją ludzi, wyraźnie wyczekujących jej reakcji.

- Co ty powiadasz? Czemu kłamiesz? - krzyknęła Katarzyna z niedowierzaniem, że to naprawdę ma miejsce.

W ogólnym harmidrze i poruszeniu kat dokończył egzekucję podkładając ogień. Suche drewno stosu płonęło jasno, powoli otulając płomieniami szamoczącą się postać Anny Balg, której nieczułe serce do końca szukało zemsty

w swym cierpieniu. Po chwili jej sylwetka znikła gdzieś w płomieniach, zmieniając się w ciemny pył.

Gdy już było po wszystkim, na prośbę wiarygodnego obywatela, pana Henkella, do burmistrzowej podeszli więzienni strażnicy i związali jej ręce.

- Katarzyno Willmowna jest pani aresztowana pod zarzutem spółkowania z diabłem!

- To kłamstwo! Chyba w to nie wierzycie?! - wrzasnęła rozgoryczona pomówieniem.

Strażnik spojrzął na nią z wyrozumiałością, jednak mimo wszystko musiał wykonać swoje obowiązki i doprowadzić skazaną do aresztu.

- Mamo!!! - krzyczały przerażone dzieci, nieświadome dlaczego ci ludzie zabierają ich matkę. Stojąca obok karczmarza przygarnęła je, tuliła i pocieszała, gdyż zrozpaczone nie wiedziały co mają z sobą zrobić.

Więzienie znajdowało się tuż za ratuszem. Było tam zimno i nieprzyjemnie, do tego bardzo głośno. Grozy temu miejscu dodawały dobiegające z katowni nieludzkie krzyki torturowanych. Przerażona Katarzyna odchodziła od zmysłów nieświadoma, co z nią teraz będzie. Gdy tylko ukazała się sposobność, zaczęła więziennego strażnika, by się rozeznać w swojej sytuacji.

- Czy burmistrz wie, że tu jestem? - spytała pełna nadziei, że jej mąż na pewno ją stąd wyciągnie i będzie mogła wszystko wyjaśnić i wrócić do domu do dzieci.

- Wie, ale niech pani nie oczekuje zbyt wiele.

- Jak to?

- W sprawach o czary oskarżonego wyrzeka się nawet najbliższa rodzina.

- Nie może być, przecież on wie, że jestem niewinna. Ta kobieta kłamała, chciała się na mnie zwyczajnie odegrać. To wariatka!

- Po tym co się stało, ze zwykłego strachu bliscy nie będą chcieli pani znać.

- Nie może być!

- Kto reprezentuje czarownicę jest sam niemal jako czarownica. Niech pani nie naraża męża.

- Ja narażam? - zdziwiła się Katarzyna, po czym zaniósła się rzewnym płaczem. Czuła się samotna i bezsilna.

Po kilku dniach w jej sprawie przesłuchano świadków i zwołano sędziów. Jeden z nich Brunon Waltz zaprzyjaźniony z burmistrzem i jego żoną, początkowo próbował odrzucić zarzuty przeciwko oskarżonej, jednak wzburzone głosy mieszkańców sprawiły, że szybko się z tego wycofał. Im dłużej Katarzyna przebywała w areszcie, tym więcej dowodów świadczyło przeciwko niej.

Wprowadzono ją do dużej, zdobnej sali, wypełnionej widownią. Miała związane ręce i nogi tak, że z trudem mogła się ruszyć. Sąd podjął decyzję o ustanowieniu oficjalnego oskarżyciela w osobie mieszczanina Paula Stentzela, który słynął ze swej zaciętości.

-Katarzyno Willmowna czy przyznajesz się do zarzucanego ci oskarżenia spółkowania z diabłem? - spytał sędziego ze srogą miną, patrząc w przerażone oczy burmistrzowej. Katarzyna знаła go, gdyż kilka lat wcześniej był wziętym złotnikiem, u którego ozdoby kupowali najzamożniejsi mieszkańcy Wejherowskiej Woli, dzięki czemu szybko się wzbogacił.

- Nie, jestem niewinna. Wysoki sędzie, chcę wyjaśnić. To wielkie nieporozumienie. Ta kobieta, Anna Balg... - wyrzuciła z siebie pełną wiary, że jeszcze może wszystko odwrócić i odmienić swój los.

- Nie ma co wyjaśniać. Została pani aresztowana ze wskazania innej czarownicy. Sąd zbiera dowody przeciwko pani winie - uciął krótko sędzia podkręcając wąsa.

- Ale kiedy ja jestem niewinna! - krzyknęła zrozpaczonym głosem, nie rozumiejąc czemu nikt nie chce jej wysłuchać.

- O tym zadecyduje sąd! - skarcił ją zdenerwowany jej natarczywością sędzia. - Czy wykonano którąś z prób dowodzącą niewinności oskarżonej? - spytał rutynowo.

- Tak, wysoki sędzie, przeprowadziliśmy próbę ognia - odpowiedział oskarżyciel.

- Co wykazała? - zainteresował się sędzia.

- Rozżarzone żelazo oparzyło ręce oskarżonej, ale rany nie goją się dobrze - stwierdził chłodno Stentzel.

- Zatem ma pani dowód na swoją „niewinność” - rzucił w stronę Katarzyny znudzony jej zaprzeczeniami sędzia.

- Czy mamy w tej sprawie świadków? - spytał z tą samą monotonią w głosie.

- Tak wysoki sędzie. Sąsiadka oskarżonej, Gertruda Schmidt, zeznała, że złe spojrzenie Katarzyny Willmownej wywołało chorobę u jej dziecka - odpowiedział Paul Stentzel, zaglądając w swe notatki.

- To kłamstwo. Jej syn jest chory od urodzenia! - krzyknęła oburzona Katarzyna.

- Proszę się nie odzywać. Sąd próbuje ustalić fakty - skarcił ją sędzia.

- Jakie fakty?! - wrzasnęła nie wytrzymując. Z natury była spokojna i opanowana, jednak to, co usłyszała na tej sali, przeszło jej najśmielsze wyobrażenia. Nie rozumiała czemu ci ludzie mówią o niej takie złe rzeczy. Zawsze żyła zgodnie z przykazaniami swej wiary i nie czyniła nikomu zła.

- Że jest pani czarownicą! - odpowiedział niewzruszony Paul Stentzel.

Był gruby i mały, za każdym razem, gdy coś mówił, ścisnął w ręce jakiś przedmiot, to pióro, to kałamarz lub jakiś papier.

- Kontynuujemy - ponaglił sędzia.

- Świadek Albrecht Kruger zeznał, że po wieczery, którą spożywał w domu oskarżonej chorował cztery dni i nocę. A małżeństwo Elza i Teodor Rotte zaś-

wiadczyło, że oskarżona wybierała się na Sabat czarownic. Zeznali, że kilkakrotnie widzieli, jak z domu oskarżonej wychodziła inna wiedźma, spalona już Anna Balg...

- Dobrze, wystarczy! - przerwał sędzia Paulowi Stentzelowi i zwrócił się do oskarżonej. - Czy wobec tego przyznaje się pani Katarzyno Willmowna do bycia czarownicą, działanie na szkodę obywateli miasta i posiadanie kontaktów z diabłem?

- Nie, to wszystko nieprawda - zaprzeczyła, po raz kolejny. - Anna Balg szukała u mnie pomocy dla swojego męża, odmówiłam jej, bo złamał prawo i dlatego postanowiła się na mnie zemścić.

- Więc wszyscy kłamią, a tylko pani mówi prawdę? - zadrwił sędzia, zmęczony jej nieugiętością.

- Tak, wysoki sędzie, jestem niewinna - potwierdziła nieświadoma swego ciężkiego położenia.

- Zarządzam podjęcie w tej sprawie ostrzejszych środków - wykrztusił z siebie sędzia, pewny, że tortury skłonią Katarzynę do przyznania się do winy.

Willmowna była przerażona i upokorzona. Strażnik kazał jej się rozebrać do naga, po czym kat dokonał oględzin jej ciała w poszukiwaniu diabelskich znamion. Gdy ich nie znalazł, kazano jej się położyć w dziwnym urządzeniu, gdzie unieruchomiono jej ręce i nogi. By ją dodatkowo przestraszyć i złamać kat pokazał jej swoje narzędzia tortur.

- Czy przyznajesz się do bycia czarownicą i do spółkowania z diabłem? - spytał raz jeszcze Paul Stentzel

- Nie, nie jestem czarownicą - zaprzeczyła przerażona Katarzyna. Chciała krzyczeć, wzywać pomoc, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

W brzydkiej, obskurnej sali walczyła z zimnem, własnym cierpieniem i upokorzeniem. W przerwach między ściskaniem w imadle, cucono ją aby spytać czy już jest gotowa złożyć zeznania i przyznać się, po czym znowu zapadała w nicość. Obcęgi, rozciąganie na kole, podtapianie w beczce z wodą nie dawały rezultatu.

- Przyznaj się kobieto, a powiem katu, by zaprzestał tortur! - namawiał ją niby to z litości Paul Stentzel.

- Nie mogę, gdy umrę w kłamstwie czekać mnie będą jeszcze gorsze męki, które nie będą miały końca. Nie chcę iść do piekła.

- Jesteś czarownicą, więc i tak tam trafisz! - perswadował bezdusznie oskarżyciel.

- Ty panie już mnie osądziłeś i skazałeś, ja mówię o osądzie Sprawiedliwego - odpowiedziała z trudem Katarzyna.

Czasami nachodziły ją chwile zwątpienia, czy wytrzyma ten rozdzierający ją od środka i od zewnątrz ból. Czy zamroczona zdoła nie przytaknąć słowom

kata lub oskarżyciela, które jak echo powracały w jej głowie: "Jesteś wiedźmą, nałożnicą diabła, tańczyłaś na Łysej Górze, złorzeczyłaś dobrym ludziom, rzucałaś na nich uroki i sprowadzałaś choroby, ulegałaś szatańskim pokusom, odprawiałaś czary i czyniłaś zło".

- No cóż, spróbujmy strappado - zaproponował rozczarowany nieustępliwością oskarżonej kat.

- Dobrze, trochę cię porozciągamy - powtórzył ze zwierzęcym entuzjazmem Paul Stentzel, podekscytowany przesłuchaniem.

Kat podszedł do Katarzyny i skrępował jej z tyłu dłonie, przez pęta przewiązał linę, którą przeciągano przez przymocowany do sufitu hak, po czym podwiesił ją za nie do góry. Gdy pociągnął wolny koniec sznura, jej skrępowane nadgarstki zaczynały wyginać się oddalając się od pleców. Katarzyna krzyczała z bólu, czuła jak to okropne urządzenie wyrywa jej ręce. Wycieńczona z trudem łapała oddech. Po chwili wiedziała już, że dłużej nie wytrzyma tego rozdzierającego bólu mięśni i więzadeł. Jej napięte ciało było już u kresu wytrzymałości.

- Czy jesteś czarownicą? - spytał jeszcze raz Stentzel.

Milczała, po czym kat by spotęgować torturę przywiązał do jej stóp obciążenie. Nie miała siły krzyczeć, chciała by wreszcie ustały jej męki.

- Czy jesteś czarownicą? - usłyszała głos, dochodzący gdzieś z daleka, załamujący się, niknący, oczekujący potwierdzenia. Czuła, że słabnie, jeszcze chwilę i zostanie rozszarpana przez wahadło.

- Tak!!! - krzyknęła półświadoma, w oczekiwaniu kiedy to się skończy.

- Czy byłaś nałożnicą szatana? - ciągnął dalej Stentzel.

- Tak - przytaknęła półżywa.

- Wystarczy! - zawołał usatysfakcjonowany oskarżyciel. Miał już wszystkie dowody i zeznanie samej oskarżonej.

Kat zlizował linę, po czym bezwładne ciało Willmownej opadło na kamienną posadzkę. Poczowała nagle rozchodzący się po skórze chłód. Ręce i plecy wciąż przeraźliwie bolały, mimo że nie dźwigały już ciężaru całego ciała. Kobieta z trudem była w stanie się ruszyć. Nagle, jak przez mgłę, zobaczyła wyciągnięte dłonie w opiekuńczym geście, służące pomocą. Przez chwile zdawało jej się, że to jej mąż pomaga jej wstać.

- Jak wspaniale, że jesteś - wymamrotała cicho, ale słowa te z trudem można było zrozumieć.

- Wstań! - powtórzył męski głos.

Przez wykrzywioną bólem twarz Katarzyny przebiegł jakby uśmiech, chwyciła podnoszące ją dłonie, ale nie była w stanie ustać w pionie. Te ręce, ich temperatura, chropowatość, kształt, dotyk zdradziły jednak, że to wszystko tylko jej się zdawało. Nie było tam burmistrza. To kat podniósł ją z posadzki, ale ona znów na nią upadła.

- Musisz powtórzyć to zeznanie w sądzie - stwierdził z satysfakcją oskarżyciel. Skinęła głową, gdyż do reszty opadła z sił.

Te słowa Paula Stanzela uświadomiły Katarzynie, że teraz pewnie podzieli los Anny Balg i zostanie spalona na stosie. Odtąd w świadomości ludzkiej przestanie być żoną burmistrza, szanowaną i poważaną osobą, lecz na zawsze zostanie już czarownicą. Te myśli były jak nieustająca tortura, której nie moż-na przerwać. Dręczyły ją i poniewierały, a ona nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Była słaba.

Jeszcze tego samego dnia wezwano ją przed oblicze sądu. Oskarżyciel odczytał zarzuty i potwierdził, że oskarżona przyznała się do winy. Sędzia Brunon Waltz spojrział na wynędzniałą, udreńczoną kobietę, która w niczym nie przypominała dawnej Katarzyny Willmowny i zapytał jeszcze raz.

- Czy przyznajesz się do wyrzeknięcia się Boga i zawierzenia swojej duszy diabłu, spółkowania z nim na sabatach czarownic, zsyłania na niewinnych mieszczan chorób oraz czynieniu im zła?

Katarzyna spuściła wzrok, przez chwilę stała tak w milczeniu wahając się co odpowiedzieć. Jej dawne szczęśliwe życie skończyło się z chwilą poznania Anny Balg. Była sama, wyrzekli się jej krewni i bliscy, nawet jej mąż nie chciał jej znać.

- Tak, jestem winna - potwierdziła załamana, żałując, że słowa te przeszły przez jej gardło. Przypomniła sobie twarze swoich dzieci. - Co teraz z nimi będzie? - pomyślała zrozpaczona. Wyrzuty sumienia, strach i rozpacz nie dawały jej spokoju.

- Katarzyno Willmowna, zgodnie z wyrokiem prawowitego sądu i za przyzwoleniem właściciela Wejherowskiej Woli, Jego Książęcej Mości, hetmana polnego litewskiego, podkanclerzego litewskiego, wojewody wileńskiego Michała Kazimierza Radziwiłła, skazuję cię na śmierć przez spalenie. Wyrok ten zostanie wykonany 14 listopada Anno Domini 1680.

Od tej pory nie przespała już ani jednej nocy, targały nią wyrzuty sumienia, a strach przed wiecznym potępieniem nie dawał jej spokoju. Czemu to zrobiła? Dlaczego przyznała się? Dlaczego nie wytrzymała tortur? Wreszcie czemu Bóg poddał ją tak ciężkiej próbie? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Na wzgórzu szubienicznym hulał wiatr, dmąc i świszcząc niczym diabelski instrument. Katarzyna spojrzała przed siebie na zgromadzony tłum, ten sam który towarzyszył spalaniu Anny Balg. Słyszała obelżywe słowa, przekleństwa i przezwiska, od których uciec nie mogła. Była dla nich wiedźmą, oblubienicą szatana, nałożnicą diabła. Nawet proboszcz z parafii Świętej Trójcy, wypowiadał się o niej niepocholebnie, chociaż zawsze była nienaganną parafianką, pobożnie we mszy uczestniczącą.

Wszystko wydawało się jakby nierealne. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ci ludzie przyszli tu obejrzyć jej śmierć. Gdzieś w grupce mieszczan dostrzegła swojego męża, stał osowiały, nieobecny. Marzyła, by na chwilę podniósł swój wzrok i raz jeszcze spojrzął na nią tak, jak dawniej, ale nic takiego nie miało miejsca.

Kat odczytał wszystkim wyrok sądu, po czym przywiązał ją do pala. Wśród zgromadzonych dostrzegła także swoje dzieci, najmłodsze nawet nie poznały swej matki, starsze stały smutne, milczące z twarzami zalanymi łzami.

Widok ten dodał Willmownej jeszcze większego cierpienia. Patrzyła na swoje zrozpaczone córki i syna, lecz nie mogła nic zrobić, pocieszyć, przytulić, powiedzieć, że ich kocha. Stała przed nimi odarta z godności, upodlona w swym człowieczeństwie, potępiona i skazana na okrutną śmierć w imię dobra publicznego. Znienawidziła swoją słabość, chciała nie cierpieć, a przeżywała tortury tysięcy razy gorsze, niż te zadawane w katowni.

Po chwili kat rzucił pochodnię, a stos zajął się ogniem. Poczuli na ciele gorącz, która podchodziła jeszcze bliżej i bliżej, aż zamieniała się w żar. Katarzyna próbowała się jeszcze szarpać, oswobodzić dłonie, ale gruby sznur tylko mocniej wżynał się i kaleczył ciało. Języki ognia wyrastały przed nią jak ogromny mur. Czuła już swąd swoich włosów, potem skóry. Krzyczała najgłośniejszym głosem jak potrafiła:

- Ratujcie, nie jestem żadną czarownicą!

Silny wiatr zagłuszył jednak jej rozpaczliwe wołanie, dmuchnął w ogień i pognął hen wysoko nad szubienicznym wzgórzem niosąc w powietrzu swąd palonego ciała. Z nieba spadały płatki śniegu, które leniwie wirowały w powietrzu. Ratuszowy zegar wybił właśnie drugą po południu. Do rajców doszły właśnie ważne wieści z Włoch i z tego powodu zwołano nadzwyczajne posiedzenie rady.

Rynek jak co dzień tętnił życiem, a było to miejsce gdzie wszystkiego najłatwiej można się dowiedzieć.

- Słyszał pan smutną nowinę? - zagadnęła życzliwie żona garbarza, która miała tu swój kram ze skórami.

- Nie, a cóż to się stało? - odparł zaciekawiony szewc.

- Wielkie nieszczęście! - odpowiedziała przejęta, jakby wydarzyło się coś bardzo złego.

- Ktoś umarł? - spytał nieśmiało, niepewny czy powinien tak drążyć.

- Ponoć Michał Kazimierz Radziwiłł wyzionął ducha - odpowiedziała poruszona. - Gadają, że było to w ten sam dzień co spalono tę wiedźmę.

- Którą? Willmownę czy Balg? - spytał zdezorientowany szewc.

- Burmistrzową - odparła przyciszonym głosem. - To nie zbieg okoliczno-

ści. Wierz mi Pan, ponoć w sprawach gardłowych, decyduje sam właściciel, a Willmownie nie okazał łaski.

- Myśli Pani, że to jej sprawka?

- A kogóż by innego? - potwierdziła pewna swego. - Czarownica opętana rządzą zemsty ma taką moc, jak sam czart, albo i sto czartów! Dlatego musimy się strzec przed złymi mocami, bo jedno złe spojrzenie może spowodować chorobę lub uśmiercić małe dziecko. To powiedziawszy schyliła się pod ladę i wyciągnęła małą płócienną sakiewkę, jaką zwykło nosić się na szyi.

- Jak Pan chce, mam na złe uroki suszony czosnek. Chroni od demonów, zmor i czarownic oraz od wszelkich niemal czarów i uroków. Trzeba go tylko nosić przy sobie i nigdy nie zdejmować z szyi.

- Dobrze, wezmę zatem te skóry bydlęce i sakiewkę...

Lucyna Kurpiewska

II nagroda w kategorii dorosłych

Partyzant ostatni...

Partyzant umiera w lesie. Partyzant, nawet gdy wyjdzie z lasu, pozostaje w ostępach raz na zawsze tak skalibrowanej wyobraźni.

Przedwczoraj pan Franciszek skończył był osiemdziesiąt sześć lat. Siedział teraz na zalanym słońcem tarasie i patrzył jak toń jeziora pokrywa się łuską starej miedzi. Słońce schodziło za las za Nadolem, a lekka bryza od strony morza, migotliwą poźłotą platerowała rozlane wśród lasów jeziorne wody.

Na szerokiej, pokrytej duktami zmarszczek, szczerej twarzy pojawiło się lekkie wzruszenie, gdy ze słonecznej patoki wynurzyły się majestatycznie jakby trzy duże rybackie łodzie. Tak nadolanie w niedziele i święta ruszali do kościoła w Żarnowcu. A łodzie nazwano najpiękniej jak można - „Wiara”, „Nadzieja” i „Miłość”... Fakt niezbity. Ale to wszystko było onegdaj, przed wojną, kiedyś. Stary partyzant ocknął się z letargu. I odczuł zawód lipcową dookólnością.

Kiedy Niemcy i Sowieci rozszarpywać poczęli II-gą Rzeczypospolitą, Franek Trzcian miał zaledwie siedemnaście lat, ukończoną szkołę powszechną w Tedzinie i perspektywę pomagania rodzicom w gospodarzeniu na niewielkim spłachetku piaszczystej, tutaj wyjątkowo jałowej, kaszubskiej ziemi. Kiedy przewracał tę ziemię pługiem pod kartofle albo owies, to lemiesz aż zgrzytał o ziarnisty piach, prawie żwir. Pszenica nawet nie chciała na nim wykiełkować. Przemysliwał przeto, że jak pójdzie do wojska, to może i uda się tam właśnie pozostać jakimś cudem. Poniekąd liczył trochę na stryja Stanisława, kawalerzystę Korpusu Ochrony Pogranicza, wtedy już w stanie spoczynku. Bywał czasem u niego w Wejherowie. Wtedy przymierzał z lubością jego gabardynową czapkę z jasnozieloną wypustką wzdłuż krawędzi denka o granatowym otoku. I salutował wtedy z uśmiechem stryjowi do czarnego daszka, okutego srebrnym metalem. I któregoś razu, po takim salucie, stary kawalerzysta pokazał Frankowi cudeńko – Visa 35. Do dzisiaj Franek czuł w prawicy ciężar szlachetnego, oksydowanego metalu. Stary wiarus rozłożył ten instrument śmiercionośny, potem złożył, a tydzień później w bukowym lesie za Mechowem uczył go strzelać. Franek miał oko strzelca nieomal wyborowego, w Pucku kropił z wiatrówki kwiatek za kwiatkiem, wetknięte w szklane cygarniczki na odpustowej strzelnicy. Ale wpakować wszystkie osiem kul z pełnego magazynka w gazetę przyszpiloną na drzewie, to już był wyczyn. Z samopału też już strzelał, ale to dopiero była frajda, by postrzelać z prawdziwego polskiego pistoletu, z legendarnego Visa.

Kiedy namiestnik Rzeszy Foerster w październiku 1939 przemawiał na wejherowskim rynku, stryj pod Żarnowcem rył w morenowym lesie już kolejne schrony. A na Boże Narodzenie, które spędzał w tajemnicy u brata w Tedzinie, zapytał: „*Franek chcesz do partyzantki?...*” I tak bez zastanowienia Franek wybrał coś, co stało się później istotą jego młodego życia, później przekleństwem, obłądem, a w końcu końców – jakąś zupełnie nieograniczoną, a jedynie przezeń akceptowalną przestrzenią tak właśnie pojmowanej wolności.

Tak. Pamiętał to dokładnie, jakby to było wczoraj. Składał wtedy w oddziale „Witka” przysięgę, że będzie służył wiernie, „*aż do wyzwolenia Ojczyzny, tak z brunatnej jak i czerwonej zarazy*”. Bo kumpel stryja Stanisława, a nauczyciel z Żarnowca, Józef Dambek, organizował oddziały Gryfa Kaszubskiego, później nazwanego Gryfem Pomorskim. Nie był to zwykły bakałarz, a tajnie wyszkolony do działań w dywersji i partyzantce wybitny od tych spraw specjalista na czas wojny.

I tak od pierwszej wojennej zimy las stał się domem Franka na kilka trudnych, a zarazem ciekawych lat. Przechodząc zagajnikiem obok niepozornego kilkunastoletniego dębczaka, nic byś nie zauważył, bo jakimż cudem mógłbyś wpaść na to, że po silnym ugięciu sprężystego pnia, kępy wrzosów nagle roz-

suną się, ziemia się otworzy i wejdiesz do kilku surowo urządzonych pomieszczeń, wyłożonych przemyślnie sosnowymi okrągłakami. To z takich bunkrów grupy leśne ruszały na wypad. Stąd szli 7-go czerwca 1943 roku poprzez redzkie Moście Błota atakować niemieckie lotnisko w Rumi, by potem jeszcze raz w listopadzie podobnie spalić wrogie samoloty z czarnymi krzyżami na innym nieodległym odeń lotnisku, w Strzebielinie. Tu też wracali po akcjach likwidacyjnych zdrajców, donosicieli i zbrodniarzy. Wojna czyni z niektórych ludzi zwierzęta, a ich rolą było selekcjonować wrogie, niepożądane okazy. Bo co jest istotą partyzantki? Partyzant walczy o swoje i jest na swoim. To tu, w zielonej entropii nieogarnionych, lesistych wzgórz morenowych, Franek czuł się jak ryba w wodzie. Las chronił i dawał poczucie wolnej Polski, bo na wielkich jego połąciach, nigdy nie stanęła noga hitlerowskiego żołdaka. Las uczył i karmił za nieznajomość jego odwiecznych reguł. Las to było życie – chociaż obok, jakby przez dukt, czuwała niecierpliwa jego sąsiadka – śmierć.

Franciszek teraz mieszkał w domu opieki społecznej w Libkowie, na skraju lasów, które znał jak własną kieszeń. Pustą zresztą, bo niczego konkretnego się w życiu nie dorobił. Po co to zresztą partyzantowi...? Kiedyś w salce telewizyjnej przysnął był na filmie, obudziła go nagle seria z karabinu maszynowego. Tak to tłuc charakterystycznie potrafił tylko niezawodny niemiecki MG 34. Film miał tytuł „Hubal”. I zapamiętał wtedy z tej partyzanckiej, bohaterkiej sagi dogłębnie tylko to, tylko tę sekwencję, gdy zawadiacki major-dowódca przed straceńczą próbą wyjścia z kotła okrążenia, mówi w imię ironicznej otuchy do żołnierzy coś mniej więcej w tym rozumieniu – „...nikt wam nie mówił, że będziecie żyli wiecznie, kiedyś w końcu trzeba umrzeć! Do boju chłopcy!” ... Chociaż to było tak filmowe, a jednak ewidentnie przekonywująco prawdziwe, jakby to powiedział sam dowódca jego oddziału – Witek. Przypomniał wtedy sobie jedną z ostatnich już akcji przed rozformowaniem oddziału. To był marzec 1945 roku. I to była niewielka Reda, którą zalała wtedy czerwona sowiecka zaraza. Oswobodziciele miejscowych Kaszubów traktowali jak Niemców – palili więc, rabowali i gwałcili. Oni, leśni nie mieli żadnych szans, by wyprzeć zeń Rosjan, którzy już rozpełzli się po terenach od Gdyni na zachód.. Ale bezwzględnie koniecznym było dać im choć nauczki i czytelny mocny sygnał, że bestialstwo nie może być bezkarne. Z bunkra leśnego pod Smołdzinem przeszli ostrożnie dolinką rekowską i posuwali się w stronę Redy - Ciehocina. Szli bezszelestnie w kilkuosobowych grupkach. Noc była jasna, a łuna gorzała na niebie ciemną czerwienią od Rumi po Wejherowo. Tylko od północy, od morza stała ciemność. Za starą aleją lipową biegnącą obok torów kolejowych na Hel, z wybitych okien dużego murowanego domu, dały się słyszeć jakieś krzyki i głośne rosyjskie przekleństwa. Witek odbezpieczając swojego Thompsona M1 ze zrzutów, szepnął do Franka, że idą tam we dwójkę. Za chwilę już jak cienie przykleili się

do okien. Dwóch zwycięzców o kałmuckich rysach raczyło się wódką przy stole. Stojąca na nim naftowa lampa rzucała mętno-żółte migotliwe światło na łóżko, skąd dochodziły krzyki.

- *Tisz, job twoju mat` - gierskanskaja suka* - wrzeszczał trzymający kobietę za rękę, w buro-zielonej kufajce żołdat. Drugi ją gwałcił. Obserwacja tej sceny trwała chwilę, a Frankowi wydawało się zawsze, że to była ewidentna i potworniejąca wieczność. Kobieta cichła z sekundy na sekundę.

- *Ana żopy nie dwigajet** - wydarł się leżący na niej krasnoarmiejec. Wtedy wstał od stołu jeden z Kałmuków i stwierdzając - *tut jest` łopata* - przyniósł ją za chwilę, wsunął stalową łyżkę pod kobietę i począł rytmicznie poruszać trzonkiem w górę i dół. I cała czwórka wybuchła głośnym rechotem. Nie słyszeli przeto, jak weszli ci dwaj. Witek pojedynczymi strzałami w okamgnieniu posłał do diabła trzech. Czwartego Franek udusił rękami, po czym zdjął go z niczego już nie pojmującej, ledwie żywej kobiety.

- *Uciekaj stąd natychmiast* - nakazał uratowanej. A Witek zostawił przy trupach kartkę z nagryzmołonym po rosyjsku przestroga

- „*tak iszczezajut nasilniki*” (tak giną gwałciciele)...

Franciszek Trzcian bez emocji spoglądał na idealną teraz taflę jeziora Żarnowieckiego. Gładź wody dawała poczucie, że można by po niej przejść... Czytał o tym w Biblii...

Jak przewrotną potrafi być Historia, ta przez duże H. Przed samą wojną do Nadola przyjechał prezydent Mościcki. On z rówieśnikami obserwowali całą ceremoniał nad jeziorem z daleka, z leśnej góry. Prezydent w otoczeniu oficjeli pływał łodzią po jeziorze, a towarzyszył mu wyżeł wodolaz, podarowany przez marszałka Rzeszy Hermanna Goeringa. Polowali przecież razem po przyjacielsku. A potem już tylko jeden polował na tego drugiego.

Spojrzał na zegarek i z niedowierzaniem skonstatował, że czas prawie nie płynie... A on na dzisiejszy wieczór miał swój plan. Swoją akcję...

Garnitur już był wyczyszczony, odświeżony, biała koszula odprasowana na tip top. I wszystko schowane dyskretnie w szafie i gotowe do zmiany dekoracji. Buty wyglancowane baranim łojem lśniły paradnie niczym oficerki dowódcy.

Oficerki podarował mu Witek, kiedy oddział rozwiązano w marcu 1945. Bo rok wcześniej zginął Dambek, potem kolejny przywódca Gryfa Pomorskiego w tajemniczych okolicznościach - Westphal. A dwudziestotrzyletni Franciszek Trzcian walczył dalej, ale już w WiN-ie... A on przecież - walczył dalej i dłużej - walczył całe życie. Nie poddał się nawet, kiedy go przesłuchiowano w UB w Wejherowie. Kazał mu siedzieć na nodze odwróconego krzesła ubek, o którym dobrze Franek wiedział, że był wcześniej informatorem Gestapo. Żałował tylko, że nie zdążyli we właściwym czasie wymierzyć sprawiedliwości. Bo zbyt długo czekali na wyrok podziemnego sądu. A trzeba było ot jedną kulą z Visa podpi-

sać ten cyrograf. Trzcian wtedy nie podpisał zeznań i dostał karę śmierci, zamienioną potem cudem na dożywocie. Wyszedł w 56-tym i chciał zostać leśnikiem, ale takich jak on do tej pracy nie brali. Odwilż – odwilżą, ale do lasu – nie! I chociaż nic mu nie brakowało – nie ożenił się. Nawet nie zdążył się zakochać. Jeszcze w lesie za Rekowem dotarła kiedyś do ich schronu taka kruczowłosa łączniczka Rena. „*Masz włosy czarne jak kruk*” – chyba tak kiedyś powiedział jej. „*Kruk – to ptak nieszczęścia*” – odpowiedziała ze śmiechem ona. I miała rację. Miesiąc później zginęła w leśnej obławie. Partyzant musi być sam. I to dalsze życie upewniało go w słuszności tak właśnie obranej drogi. Kraj się odbudowywał, awansowali ludzie o życiorysach poplątanych bardziej niż leśne ścieżki. A Franciszek nareszcie znalazł pracę, która mu absolutnie odpowiadała. Jeden ze znajomych nieżyjącego już stryja Stanisława prowadził kursy zawodowe. I namówił go na kurs kotłowego. Fachowców nie było i każdy nowy spec, co miał łeb na karku a papier w kieszeni, był kimś.

I tak stał się partyzant – kotłowym w zakładach rybnych pod Wejherowem. Para i gorąca woda potrzebne były dla technologii okrągły rok i tak na okrągło pracował Franciszek. Trzy dni po dwanaście godzin, trzy dni przerwy, potem trzy nocne zmiany i trzydniówka luzu. I tak w koło Macieju, można było przewidzieć rodzaj zmiany za rok czy dziesięć. Siostra, która mieszkała w Tedzinie i miała czwórkę dzieci, mawiała – „*Franek ożeń się, będzie ci łatwiej żyć. Pracujesz, zarabiasz, tylko baby ci brak*”. A on – nie i nie.

Był zarazem i pancerny i bezbronny. Jak każdy idealista. W partyzantce świat był prosty i nie wymagający rewolucyjnej filozofii a logiki jedynie. Przyjaciel – wróg, życie – śmierć, odwaga – tchórzostwo...

Sam czuł momentami, że w jego postawie była i jakby wyczuwalna nuta szlachetnej rejterady. Kiedy miał te dni wolne i uciekał do lasu, błąkał się i błądził, odnajdywał i kiedy po raz pierwszy zapisał kilka myśli na skrawku papieru – pojął, że coś dziwnego się wydarzyło.

Coś istotnego. „*Poeta się znalazł*” – kpił w żywe oczy z samego siebie. Zaczął więcej czytać. Do kotłowni przywieźli mu kiedyś do spalania kilka worków książek sprzed odwilży 56. Z lubością palił tomami miczurinów, łysenek jak i rodzimych piewców „*słoneczka narodów*”, co usta miał słodsze od malin. Ale wśród tego badziewia i makulatury trafił i na „*Płomienie*” Brzozowskiego a trafiła się też „*Czarodziejska góra*” Manna. Nawet kiedyś z uśmiechem pomyślał, że w tej kombinacji losu coś jest z „*Latarnika*” – Sienkiewicza. Zresztą w życiu się wszystko powtarza... Oby tylko kotłów nie spalić. Solidne Steinmuellery dawały kilka megawatów mocy i parę ton pary do przerabiania i puszkowania ryb. A on siedział z książką przed rusztem kotła wpatrzony w wirującą otchłań płomieni. Pierwsze swoje zapiski rzucił był węń, ale już następnego dnia odtworzył je pracowicie. Kupił gruby zeszyt... I dużo później krążąc jak ryś po matecz-

niku bukowej puszczy doszedł do wniosku, że nie tylko partyzant jest sam. Sam jest też poeta... Poeta – to też taki partyzant. Czy poezja może ocalać - to było jego główne pytanie. Ba! Imperatyw. I tak zapętlił się w dociekaniu tej prawdy czy tylko przypuszczenia, że miał przeświadczenie, iż nagle i niespodziewanie wynalazł coś, co ma jakby fundamentalne znaczenie, ale warunkiem, by tak było, by spełniło się to, trzeba o takim szczęśliwym wynalazku – zapomnieć. Taka myślowa pętla. To musi być jak w poezji – nie wprost – a poprzez...

- No, taki papież – Polak, wielka postać, a pisze wiersze. Czyli, że on też musi pisać. Kiedy szedł na emeryturę jego papież-poeta właśnie odwiedził Wybrzeże. I z Sopotu, z hipodromu pozdrawiając szczególnie Kaszubów, co powiedział? Że w czasie wojny, „*aby bronić dwóch wartości – polskości i wiary – Kaszubi zorganizowali obronę – organizację „Gryf Pomorski”!* No tak, brzmiało to pięknie, wszyscy mieli łzy w oczach. A co te same oczy miały oglądać za 7 lat? Jak pomnik przywódcy Gryfa – Dambka – został wyrwany z fundamentu wraz z krzyżem przez nowego właściciela działki pod Golubiem... Słowo „tradycja” jak widać tylko ładnie i przekonywująco brzmi kiedy śpiewa o niej Tewje Mleczarz w „Skrzypku na dachu”. A siły kaszubskiej tradycji nawet w lokalnych urzędach są nikłe albo głuche i ślepe. Oślepl i też od wpatrywania się w ogień i Franciszek Trzcian. A i pamięć zaczęła zawodzić. Coraz częściej zdarzało, że w lesie znajdowano zziębniętego, zagubionego wędrowca. Siostra zabrała go z zakładowej kawalerki do siebie, do Tedzina. Ale i stąd też począł niebawem uciekać, gdzie oczy poniosą. Brał tylko swój gruby kajet i widywano jak coś w nim skrybał od czasu do czasu.

Słońce zaszło. Resztki czerwieni nieba ponad nadolańskim lasem przelewały się w czerń. Litery rozmywały się w otwartym zeszycie, ale on mógłby nawet nie patrząc tam, czytać czy też mówić na głos:

„...*gdy wokół tylko ciemny las i ciemna noc dokoła – dziś wolna Polska wzywa nas – w swe szeregi dziś nas woła...*”

Ten tekst pieśni, którą często pomrukiwał, podnucał, a czasem zmieniał choć jedno drobne słowo, przedstawiał przecinek. Dopieszczał każdy wers, każdą zrymowaną czwórkę. Pisał pieśń partyzancką, ba – hymn! Czuł, że skoro potrafi to jest to winien kolegom z lasu. Właśnie słowo „*dziś*” w kontekście „*wolna*” najczęściej go zastanawiało. W końcu nie był żadnym polonistą jak podobno - większość poetów. Bo Franciszek pisał pieśń partyzancką dla swojego nieistniejącego oddziału. Pisał tak długo, aż napisał. Dręczyło go kilka szczegółów, a najbardziej „*dziś*” i jak z tego zrobić jakby „*wczoraj*” lecz ażeby to jednak brzmiało „*teraz*”.

- „Ot dylematy emeryta, poetnika” – pokpiwał z samego siebie... Mieć dystans do siebie – to ważny element sztuki życia. I przeżycia.

Chłód już sunął powoli od ciemniejącego jeziora.

- *Panie Franciszku – czas już do pokoju – przeiębi się pan.* To młoda pielęgniarka pojawiła się w porę na tarasie.

- *O ho – ho – okrążają nas* – uśmiechnął się starszy pan i z ociąganiem ruszył w stronę domu.

Mignął mu przed oczyma jak żywy – kadr z filmu „Hubal”.

- No tak, czas – na pewno dziś ruszamy... Ta myśl dawno przekuta w pewnik była tylko dopełnieniem pucharu tą kroplą, co ją musi przelać...

Ruszył energicznym, sprężystym krokiem. Przecież wszystko już było, jak partyzancka akcja, przemyślane i przygotowane...

Tadeusz Buraczewski

* - fragment autentycznej relacji p. Stanisława Wicki (ur.1939 w Rumi).

Opowiadanie jest swobodnie snutą fantazją po lekturze artykułu z tabloidu „Fakt” z lipca 2008 roku.

III nagroda w kategorii dorosłych

Mamuśka

Dyskusji nie było. Polecenie naczelnego było jednoznaczne: to ty, Mareczku, pojedziesz i zrobisz materiał. Materiał, jak materiał, temat wydawał się dość banalny, ale na czasie. Młody, ponoć osiemnastoletni gówniarz przedawkował i bez oznak życia znaleziono go w hotelowym pokoju, skąd erka zabrała go na intensywną terapię. Nie wiadomo było, czy jeszcze żyje, czy nie. Kłopot w tym, że nie za bardzo miałem ochotę na wyjazd na Kaszuby. Właśnie teraz mi to nie bardzo pasowało ze względu na Iwonę.

Coś się między nami zaczynało psuć. Może to i była moja wina, tak przynajmniej twierdziła Iwona, choć moim zdaniem w tym wypadku, jak zresztą zawsze, wina leży po dwu stronach: żony i teściowej. W każdym razie wyjazd na kilka dni, a na to się zanosilo, na pewno nie pomoże ani mnie, ani Iwonie. Znowu usłyszę ten jej argument: no, właśnie, uciekasz, chowasz głowę w piasek... Ale co miałem powiedzieć staremu? On miał argumenty, bo miał władzę.

- Marek, ty pochodzisz stamtąd, znasz to środowisko - stwierdził krótko. - Chyba jeszcze znasz trochę ludzi, nie? Tobie łatwiej będzie z nimi gadać...

Fakt, to moje rodzinne strony. I w zasadzie przyjemnie będzie odwiedzić stare kąty. Nie byłem tam już ze dwadzieścia lat, czyli od czasu, odkąd zaczęli się na studia w stolicy i gdyby nie ta historia z Iwoną, na pewno bym się cieszył...

Już na dworcu w Gdyni poczułem się jak w domu. Ta sama eskaemka, tyle, że jeszcze bardziej brudna niż kiedyś, pomalowana przez graficiarzy, te same odrapane siedzenia i wciąż te same napisy na stojących przy torach budynkach. „Arka pany”, „Je... Lechię!”. Ach, gdzie te czasy, gdy jeździło się na „górkę” kibicować „Areczce”!

Dworzec w Wejherowie przeraził mnie. Dosłownie. Nigdy nie był okazem pięknym, ale to, co zobaczyłem, wprawiło mnie w stan lekkiego szoku. Będzie w sam raz od czego zacząć, pomyślałem. Opis jak znalazł pasuje do brudnego tematu o ćpunach. I te typy w poczekalni!

Obdarci, brudni, trzęsące się, nie wiadomo, czy z chłodu, czy z gwałtownego spadku ilości alkoholu w organizmie... Jeden z nich otaksował mnie wzrokiem i ruszył w moim kierunku.

Skąd ja znam tego typa? - przemknęło mi przez myśl.

- Mistrzu - typ załkał ochryple. - Poratuj człowieka! Daj choć dwa złote..

- Na co? - zapytałem.

- No, zobacz, co to ze mną robi - wyciągnął do mnie rozdygotane ręce. - Daj na piwo... Jak Boga kocham, na piwo... Ja jeszcze dykty nie piję, wiesz? Jeszcze tak nie upadłem... Dasz? Poratujesz człowieka?

Przynajmniej nie łął, że to na chleb dla głodnych dzieci, czy dla niego samego. No, cóż, nie da się ukryć, że znałem i ja ten ból. Kac bywa okrutny. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem garść drobnych.

- Masz, facet, za szczerłość...

Kilka monet wypadło mu z trzęsących dłoni. Niezdarnie schylił się po nie. Nagle mnie olśniło.

- Ty jesteś Bynio? - zapytałem. Gość rozpromienił się i wyprostował.

- Poznałeś mnie!? - zawołał zdziwiony. - Ja cię od razu poznałem, Marek. Tylko nie chciałem tak od razu, bo ty pewnie jesteś panisko, co? Słyszałem, że pracujesz w Warszawie, jesteś kimś... A ja? Zobacz, co się ze mną stało...

No, właśnie, co się z nim stało? Pamiętałem go jeszcze z podstawówki, z „czwórki”, byliśmy w tej samej klasie. Ja poszedłem do ogólniaka, on do jakiegoś technikum i nasze drogi się rozeszły. Potem chyba ożenił się, miał dzieci. Nie pamiętałem szczegółów, ale jego żona była chyba całkiem niezła. Pamiętałem też, że pracował na jakimś nie najgorszym stanowisku.

- No, co z tobą? - zapytałem. - Gdzie mieszkasz?

- Widzisz, co ze mną - wychrypiał. - Co tu gadać, przejechałem swoje życie, przepięłem... Ech - machnął ręką - zobacz, co ta wóda robi z człowiekiem. Wiesz, że miałem rodzinę?

- No, pamiętam: żonę, dzieci...

- Właśnie... Żona mnie w końcu wyrzuciła z mieszkania, dzieci nie chcą mnie znać... Wstydzą się, ja rozumiem - pokiwał głową i wydawało mi się, że łzy popłynęły mu po szczeciniastych policzkach, ale nie byłem pewny, bo szybko wytarł twarz w rękaw. - Wiesz, doszło do tego, że jak kiedyś przyszedłem do domu, bo chciałem, żeby mi choć talerz zupy dali, to syn... Wiesz, co on mi zrobił?

- No?

- Wpie... mi! Normalnie na kopach wyrzucił mnie z chałupy!

Co miałem mu powiedzieć? On nawet chyba nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi, bo sam jej sobie udzielił.

- Miał rację - dokończył po chwili. - Ja też bym tak chyba postąpił na jego miejscu. Co ze mnie za ojciec?.. A ty, co tu robisz? - zmienił nagle temat.

- Służbowo przyjechałem - odparłem. - Na reportaż.

- Wiem, pracujesz w gazecie, nie? A o czym?

- O takim jednym ćpunie, który przedawkował w hotelu... Słyszałeś coś?

- Nie - pokręcił głową. - To pewnie jakiś młody, nie? Oni są jeszcze głupszy ode mnie... Narkotyki... Ja w życiu bym na to nie poszedł... Słuchaj, a może napiszesz coś o mnie? O takich jak ja, którzy przepili swoje życie? Pójdziemy gdzieś i przy piwku opowiem ci.

- Teraz nie - odparłem. Prawdę mówiąc nie miałem ochoty na słuchanie jego zwierzeń. Co takiego nowego mógłby mi powiedzieć? Mało to razy pisałem o jemu podobnych? O jeszcze większych tragediach? I bez jego zwierzeń jestem w stanie opisać jego życie. No, może kwestia szczegółów, ale te zawsze można wymyślić. - Jak się obrobisz z moim tematem to pogadamy - dodałem.

- Dobra - zgodził się. - Jak zechcesz, zawsze mnie tu znajdziesz...

Tak, jak podejrzewałem, sądząc z nazwy, właścicielem hotelu był też dawny mój znajomy, jeszcze z ogólniaka. Dorobił się, nie to, co ja. Hotel, znajdujący się w dawnej siedzibie PZU, był całkiem niezły, choć drażniło mnie, że nie wolno było w nim palić, nawet w pokojach. Ceny pokoi, w porównaniu ze stolicą, były do przelknięcia.

- Właściciel, pan Wojtek, jest na miejscu? - zapytałem sympatyczną recepcjonistkę odbierając klucze od pokoju.

- Niestety, nie ma - odparła. - A coś się stało?

- Nie - roześmiałem się. - Byliśmy kumplami a nie widzieliśmy się ze dwadzieścia lat i po prostu chciałem pogadać.

- A to pan bywał u nas?

- Tu się urodziłem i wychowałem. Dopiero dwadzieścia lat mieszkam w Warszawie.

- Szef będzie później. Powiem mu, że pan chce się z nim widzieć.

- OK. A na razie mam pytanie do pani.

- Do mnie? - jakby się nieco zdziwiła. - Słucham?

- Pamięta pani tego chłopaka, który u was w hotelu zaćpał?!

Zmieszała się jakby.

- Nie było mnie wtedy na zmianie - powiedziała - ale z tego, co wiem, to zabrali go do szpitala. Mówili, że jeszcze żyje, choć jest nieprzytomny.

- Często się u was zdarza coś podobnego?

- No, wie pan! - oburzyła się. - To był jedyny przypadek. Koleżanka, która wtedy pracowała, opowiadała mi, że on przyszedł wieczorem i chciał wynająć pokój. Wyglądał normalnie... No, może był trochę taki blady i jakby zmęczony. Podobno włosy miał farbowane na różne kolory, ale poza tym nic podejrzanego. Był nawet dość elegancko ubrany. Mówił, że nie może wejść do domu, bo zostawił klucze, a jego matka przyjedzie dopiero rano. Miał dowód, więc koleżanka dała mu pokój... On mówił, że rano matka ureguluje rachunek. Przecież mogło się tak zdarzyć, nie?

- Mogło - zgodziłem się. -1 co dalej było? Wzruszyła ramionami.

- Dokładnie nie wiem - powiedziała - podobno w nocy ochroniarz słyszał, że mocno chrapie. Ale nie wchodził, bo na drzwiach wisiała kartka, żeby nie przeszkadzać. Dopiero rano, jak koleżanka chciała się zapytać, czy podać mu śniadanie, a on nie odpowiadał, tylko dalej charczał, zorientowano się, że coś chyba jest nie tak. Ochroniarz zadzwonił po szefa i gdy ten przyjechał, otworzyli drzwi zapasowym kluczem i go znaleźli. Był nieprzytomny, cały siny i tylko charczał. Szef z dowodu wziął adres i zadzwonił do jego matki...

- To ona była w domu?

- Chyba tak, bo zaraz przyjechała. Wezwali erkę i ta zabrała, go do szpitala. Ponoć mówili, że z nim bardzo źle było...

- Coś więcej pani wie o tym chłopcu?

- Chyba nie.

- A jak się nazywa? Gdzie mieszka? Ma pani jego dane?..

- Ale nie wiem, czy mogę panu powiedzieć? Wysiłem się na czarujący uśmiech.

- Ależ, pani Danusiu - takie imię widniało na plakietce zapiętej na niczego sobie biuście recepcjonistki. - I tak w końcu dowiem się tego, a pani oszczędzi mi mnóstwo czasu i zachodu... Przecież nie polecę na rynek i nie rozpowiem, skąd to wiem... Widać uśmiech podziąkał, a może sprawił to fakt przyznania się do znajomości z właścicielem, bo po krótkim krygowaniu się dostałem potrzebne dane. Nic mi one nie mówiły. Nazwiska nie pamiętałem, adresu, choć wiedzia-

łem, gdzie go szukać, nie kojarzyłem z konkretnymi osobami. Ot, na razie anonimowy ktoś.

Wojtek dopiero po chwili poznał mnie, a może tylko przez grzeczność udał, że przypomina sobie młodszego o dwie klasy kolegę z ogólniaka. Przyznani się, że też na ulicy chyba przeszedłbym obok niego obojętnie. Przecież ten siwiejący facet, z pokaźnymi ubytkami owłosienia, to nie był Wojtek, jakiego pamiętałem. Nie ważne. W każdym razie po zwykłych w takich przypadkach zwrotach „co u ciebie?”, „a co z tym, a co z tamtym?”, przeszliśmy do rozmowy na temat wypadku. W zasadzie jego relacja nie różniła się od tego, co powiedziała mi recepcjonistka.

- Ty o tym chcesz pisać? - zapytał mnie w pewnej chwili.

- Po to przyjechałem. Wiesz, że nasze pismo specjalizuje się w reportażach, między innymi na takie tematy.

- Wiem, czasem czytuję. Nie kojarzyłem tylko twego nazwiska z tobą. Zresztą, czy ja mam czas na czytanie?...

- Dobra, nie tłumacz się... Wiesz coś więcej?

- Więcej? Nie... Zresztą ty chyba będziesz dobrze znał jego rodzinę. Na pewno pamiętasz Majkę?

- Majkę? Którą?

- Ona była ze mną w jednej klasie... Czekaj - zastanowił się. - A może w niższej?

- Była Majka, ale Bednarek - powiedziałem. - Pamiętam ją doskonale, wysłała potem za męża za tego fotografa, nie? Ale ten ćpun nazywa się inaczej.

- Bo to z jej drugiego małżeństwa.

- Z pierwszego ma jakieś dzieci?

- Nie. Zresztą ona z tym pierwszym żyła dość krótko. Pamiętasz, że miała temperament jak mała która i niedługo po ślubie zaczęła go walić w rogi.

Pamiętałem i to. Majka, wysportowana, długonoga, szczupła dziewczyna, zawsze czerpała z życia pełnymi garściami. Była dwa lata starsza ode mnie. To z nią po raz pierwszy w życiu, ja, szesnastoletni chyba smarkacz, pocałowałem się „na prawdziwo”. Było to na jakiejś prywatce, gdy graliśmy w listonosza. Pamiętam, że miałem pietra, bo jeszcze nigdy przedtem z żadną się nie całowałem, a przecież nie mogłem się do tego przyznać, tym bardziej, że Majka, o czym większość z nas wiedziała, dość szybko odkryła uroki seksu. Miała chyba ze trzynaście lat, jak uwiodła starszego o dziesięć lat instruktora na obozie harcerskim. Dosłownie to ona go uwiodła. Facet, gdy zorientował się, z jaką małolatą miał do czynienia, nieco przeraził się, ale na szczęście dla niego, obyło się bez konsekwencji. Nie wiem już, czy Majka się zorientowała, bo mnie wtedy tak zamroczyło, że przez dłuższą chwilę nie wiedziałem, co się wokół dzieje. I pamiętałem jeszcze jak przyszedłem kiedyś, trochę już później, do jej

brata. Było ciepło, ona myła schody i te jej piersi dyndające bez stanika, luźne i okrągłe pod bluzką. Widziała, że się przyglądam, że wzroku oderwać od nich nie mogę i jeszcze szerzej odchyłała ręce... Specjalnie tak robiła. Lubiła, gdy się ją podziwiało.

Rozpakowałem się w pokoju i przez chwilę zastanawiałem się, czy jeszcze dziś coś zacząć szperać. Zrobiło się ciemno, ale postanowiłem pójść jednak do pobliskiego klubu, gdzie, jak mnie poinformował Wojtek, bywała złota młodzież i gdzie, jeśli chodzi o trawkę, skuna, czy inne świństwo, nie było problemów z dostaniem.

Klub był taki, jak większość tych, do których przychodziła głównie młodzież. Wszechobecnie królował łomot muzyki techno i hip-hopu. Na sali było niewiele osób. Kilka znudzonych małolatek i paru facetów. Dwóch napakowanych łysogłowych osobników pilnowało wejścia. Usiadłem przy barku. Barman, młody, szczupły chłopak o długich, kręconych włosach spiętych w koński ogon szybko podszedł do mnie.

- Słucham, co podać?

- Macie polskiego łyskacza? - zapytałem. To była, wstyd przyznać, moja ulubiona wódeczka.

- Jest - odparł. - Pięćdziesiąteczkę?

- Może być. Z lodem, bez wody.

Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się. Ciekawe, czy Romek tu bywał? Towarzycho wyglądało mniej więcej na wiek licealny, niektóre z dziewczyn były może nawet gimnazjalistkami. To by mogło pasować. Wypiłem drinka i przywołałem barmana.

- Proszę jeszcze raz to samo...

- Służę uprzejmie.

Taki barman wie sporo o bywalcach lokalu, warto chyba spróbować. Problem tylko jak go podejść, by chciał gadać. Postanowiłem zagadać po prostu.

- Długo pan tu pracuje? - zapytałem, gdy postawił kolejną szklaneczkę.

- Ponad rok - odparł.

- Szukam Romka Kałużę - brnąłem dalej. - Ponoć tu bywa?

- Romka? Kałużę? - zastanawiał się, albo dobrze udawał.

- Powinien pan go znać. Taki dość wysoki, chudy, z kolorowymi włosami... Spojrzał uważnie na mnie jakby chciał dociec celu, w jakim zadaję pytania.

- Nie było go od kilku dni - powiedział w końcu. - Ale jak chce pan coś bliżej, to jest jego znajoma, o, ta, dość przy kości... Stolik w rogu. Widzi pan?

- Widzę, dzięki... A jak ona ma na imię?

- Beata.

To już było coś. Dziewczyna siedziała razem z drugą nad szklanką jakiegoś drinka. Miała może z siedemnaście, może osiemnaście lat.

- Można na moment? - spytałem podchodząc do stolika, przy którym siedziała.

- My się znamy? - odparła jakby zdziwiona.

- Nie, przepraszam raz jeszcze, ale chodzi mi o Romka. Wiem, że się znacie, a ja szukam kontaktu z nim.

- Jakiego Romka?

- Kałużę.

- A skąd pan wie, że znam takiego?

- Masz na imię Beata? Spojrzała na koleżankę.

- Tak - przyznała. - I co z tego?

- Nic, Romek opowiadał mi trochę o tobie. Mogę? - wskazałem wolne miejsce obok niej. Łaskawie skinęła głową.

- Pozwolicie, że się przedstawię - powiedziałem siadając. - Marek jestem.

- Beata, jak już wiesz, a to moja koleżanka, Asia. O co chodzi z tym Romkiem?

- Szukam go po prostu.

- To go tu nie znajdziesz

- Nie? - udałem zdziwionego. - A co się stało?

- Jest w szpitalu.

- Coś poważnego? Wypadek? Spojrzały ponownie na siebie.

- Romek popełnił samobójstwo - odezwała się Asia.

- Żartujesz? - zdziwiłem się, tym razem bez udawania.

- Bynajmniej - Beata poparła koleżankę. - Są takie momenty, że ma się w życiu wszystkiego dosyć, nie?

- Na pewno - zgodziłem się - ale chyba nie w tym wieku? Co mu strzeliło do głowy? Zakochał się nieszczęśliwie?

- Żartujesz? Romek? - ni to stwierdziła, ni zapytała Beata. - On nie był zdolny do miłości - dodała po chwili z przekonaniem.

- A to niby czemu?

- Nie wychodziło mu z dziewczynami.

- Homuś?

- No, coś ty! Po prostu nie mógł z dziewczynami i tyle. I nie chodzi tylko o seks.

- Impotent? To może dlatego?

- Eee, chyba nie - pokręciła głowa i roześmiała się nagle. - Impotentem to on nie był na pewno! No, czasem może, jak był na prochach, ale tak to nie.

- Nie rozumiem - przyznałem. - Pedał nie, z dziewczynami też nie, to co? Ze zwierzątkami?

- Faj, jak możesz! - uśmiechnęła się.

- To mi wytłumacz. O co w tym chodzi?

Przez chwilę zastanawiała się pociągając drinka przez słomkę.

- Powiem ci - zdecydowała się w końcu. - To wina jego kochanej mamuski. Nie chciało mi się w to wierzyć.

- Teraz ty żartujesz - powiedziałem.

- Nie - odparła zupełnie serio. - Jak dobrze znasz Romka? - zapytała.

- Słabo - przyznałem. - Lepiej jego matkę.

- A ja jestem jego przyjaciółką. To właśnie u mnie nie raz i nie dwa wypłakiwał się ze swoich żalów. Wiesz, skąd się to wzięło? Romek mi opowiadał jak to, gdy był jeszcze małym chłopcem, jego najdroższa mamuska zostawiała go na noc samego w domu bo jechała na różne balangi. A on się w nocy budził i wył ze strachu. I nie mógł zasnąć. Czasem aż się porobił z tego wszystkiego. Potem już coraz częściej śniły mu się horrory i budził się mokry od potu i zsikany ze strachu. Było tak źle, że w końcu zawieziono go do lekarza i wtedy się wydało, skąd u niego takie strachy w nocy. Ty sobie wyobrażasz, co on musiał przeżywać? Pokiwałem tylko głową.

- No tak, ojca przecież praktycznie nie było - powiedziałem.

- Phi, ojciec! - prychnęła Beata. - Ty wiesz, co to było za małżeństwo?.. On ją po prostu kupił! Kupił sobie dupę za samochód, mieszkanie i pensję. Żył za granicą i jak przyjeżdżał do kraju, to miał gdzie i z kim się przespać, był oprany i nakarmiony. Ale w zasadzie żyli sobie zupełnie osobno.... A wiesz, czym jego stary się zajmował?

- Nie mam pojęcia.

- Prowadził burdel! Romek raz w życiu, rok temu, pojechał do ojca, nawet chyba chciał tam zostać, ale tak jak szybko wyjechał, to jeszcze szybciej wrócił. Powiedział, że nie chce znać ojca alfonsa.

- I myślisz, że to przez to ma problemy seksualne? - pytałem dalej.

- Czeka, zaraz ci dokończę. Dopiero wtedy, jak się okazało, że to przez te nocne mamuski balangi Romek jest tak chory, zaczęło się najgorsze. Jego stara wpadła w drugą skrajność. Nie od razu dała sobie spokój z nocnymi wypadami, ale jak wracała to użalała się nad syneczkiem. Że taki biedny, że tak mamusię kocha, a ona taka niedobra dla niego... No i dawała mu na wszystkie zachcianki. A to rower, a to konia mu nawet kupiła... I w dzień nie odstępowała go ani na krok. Wszędzie z mamuską. Miał wszystko, co chciał.

- Oprócz jednego - wtrąciłem.

- Właśnie - zgodziła się. - Ale to nie najgorsze jeszcze. Gdy był już większy stało się to...

- Co? - zapytałem, choć już w mojej głowie zaczęła kołatać się myśl. Paskudna jak diabli.

- Ona go normalnie zgwałciła! - potwierdziła moje przypuszczenie Beata. - Pijana wtedy była i mówiła, że swojemu kochanemu synkowi wszystko wyna-

grodzi, że będzie miał jak w niebie, że dla niego wyrzeknie się wszystkiego...

- Jasna cholera! - nie wytrzymałem. - Ile on miał lat?

- Piętnaście!.. W gimnazjum był...

Asia, która tylko przysłuchiwała się rozmowie, nie wyglądała na zdziwioną. Moje spojrzenie odczytała chyba jako zachęcenie do potwierdzenia słów Beaty, bo pokiwała głową.

- No i tak ciągnęło się to latami - zakończyła Beata. - Do czasu, aż Romek któregoś dnia nie wytrzymał i pierwszy raz ją pobił.

- Za to?

- Miał wtedy dziewczynę i gdy chciał się z nią normalnie kochać, to mu nie wyszło... A jeszcze na dokładkę mamuszką była o nią zazdrosna! Nie pozwalała mu spotykać się nią, bo to niby nie dla niego! Fakt, nie było to nic porządnego, ale nie aż taka dziwka jak jego stara... I gdy mamuszką w zamian chciała mu dogodzić, to nie wytrzymał i spuścił jej łomot.

- A poza tym, czym Romek się zajmował? Uczył się, może studiował?..

- Coś ty! Jak skończył gimnazjum, to już dalej nic... Ćpał tylko i balangował... Coś tam niby marudził, że pisze wiersze, gra na gitarze, ale to tylko takie jego gadanie... Nieprawdopodobna historia. I nieprawdopodobne, pomyślałem naraz, że Beata tak od siebie od razu mi ją opowiedziała. Co tu jest grane?

- Powiedz, czemu mi to opowiadasz? - zapytałem. - Z takimi szczegółami?

- Przecież jesteś dziennikarzem, nie? O, cholera!

- Taka bystra? - skąd wiesz?

- Tu się nic nie ukryje - roześmiała się. - Widziałam, jak wchodziłeś do hotelu a tam w recepcji pracuje moja kumpela. Niezłe ciacho z ciebie, więc ją zapytałam, a ona opowiedziała mi o tobie i po co tu przyjechałeś. Gdybyś sam nie poszedł, to chyba ja bym cię zaczepiła, wiesz? Tej sprawy tak nie można zostawić. Żal mi Romka. Nie mogę zapomnieć jego płaczu. Właśnie tego dnia, gdy to zrobił. A ja głupia... Gdybym tylko choć przypuszczała, że on to chce tak na serio...

- To co? Co byś zrobiła?

- No, nie wiem, ale pewnie coś próbowałabym... Ale ja nic... - smutno zwiesiła głowę... - Wiesz, on naprawdę traktował mnie jak przyjaciela. Nie wstydził się przede mną niczego. Był nawet moment, że myślałam, że coś między nami będzie... Wiem, że jest zły, że ćpa, wiem, że potrafi kraść, nawet swoją babkę okradał, że leje matkę, ale mi go żal. Bo to nie jego wina....

- Może nie tylko jego... - dodałem. - Chyba się napijemy, co? - zaproponowałem. Już dawno nie czułem się taki brudny.

Drugiego dnia rano, mimo niezłego kaca, bo nie skończyło się na tym jednym drinku, poszedłem na policję. Nie powiem, by byli tam zadowoleni z mojej wizyty. Komendant, zasłaniając się nawałem obowiązków i odsyłając mnie do rzeczniczki prasowej, bynajmniej nie starał się ukryć niechęci.

- To już prasa nie ma o czym pisać, tylko o ćpunach?

- A pan tego nie uważa za problem? - odpowiedziałem pytaniem.

- To pewnie i jest problem, ale u nas w mieście jeszcze niezbyt poważny. Co innego w Gdyni, czy Gdańsku. Mamy poważniejsze sprawy niż jacyś gówniarze trujący się świństwami... Rzeczniczka była nieco innego zdania. Młoda, ładna, nawet cholernie ładna policjantka, niewiele jednak miała do powiedzenia w tej sprawie.

- Sprawę staramy się wyjaśnić - stwierdziła. - Samo tylko branie narkotyków nie jest przestępstwem, choć jest to i u nas coraz szersze zjawisko. Co innego, gdyby ktoś mu celowo podał... Tu jednak taki przypadek nie zachodzi...

- A jeśli to nie było zwykłe przedawkowanie?

- Co pan ma na myśli?

- No, jeśli to była próba samobójcza? I to podjęta wskutek działania osób trzecich? A to chyba podpada pod paragraf?

- Skąd takie przypuszczenie? - zdziwiła się policjantka. - Ma pan jakieś informacje? Opowiedziałem jej o tym, czego dowiedziałem się od Beaty. Widać było, że za bardzo w to nie uwierzyła.

- On był nam znany jako narkoman, a raczej lekoman - powiedziała po chwili. - Podobno na różnych środkach i ich kombinacjach znał się lepiej niż większość lekarzy. Kiedyś prowadziliśmy postępowanie o fałszowanie recept, w którym był podejrzany razem z synem jednej lekarki. Ale wtedy jeszcze byli nieletnimi i sprawę skierowano do sądu dla nieletnich. Nie wiem, jak się zakończyła... Jak pan chce, skontaktuję pana z dzielnicowym, który go dobrze zna. Akurat jest na dyżurze.

Dzielnicowy, jak to w policji bywa, gdy dość długo ma swój rewir, jest istną kopalnią nie tylko informacji, ale i zwykłych ploteczek sąsiedzkich. Sympatyczny i rozmowny sierżant od ponad dziesięciu lat miał tę samą dzielnicę, nie dziwota, że znał ją od podszewki.

- Znam tego chłopaka od lat - powiedział na samym wstępie. - Jego mamuszkę też, może nawet lepiej. To jej wina, to ona zrobiła z niego narkomana. Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi, jak mamuśka przyszła na skargę na nauczycielkę, że specjalnie szykanuje jej synka. Co prawda, to nie sprawa dla policjanta, ale w końcu jako dzielnicowy poszedłem do tej szkoły, razem z inspektorką do spraw nieletnich. I wie pan, co się okazało? Polonistka dała dzieciom w ósmej klasie za zadanie napisanie opowiadania. Romek dostał za nie lufę, choć jego mamuśka była zachwycona opowiadaniem, mówiła, że synek ma olbrzymi talent, niezwykłą wyobraźnię i tylko ze złej woli nauczycielka dała mu lufę. A okazało się, że właśnie za tę wyobraźnię dostał jedynekę. Podobno to opowiadanie oceniła jako wytwór wyobraźni, ale chorej. Poprosiła wtedy na rozmowę mamuszkę, a ta obraziła się i przyszła do mnie. Stąd ta cała chryja.

A opowiadanie było faktycznie chore, co prawda, nie pamiętam szczegółów, ale to była istna makabra. Potem kilka razy rozliczałem Romka za jakieś drobne kradzieże w sklepach, w szkole, za uciezki ze szkoły, raz nawet chyba uciekł z domu i wylądował na melinie. Ot, takie tam sprawy.

- No, ale mówił pan, że to jego mamuśka jest bardziej winna? - przypomniałem.

- Jasne. Pan ją może zna?

- Nie - skłamałem.

- Ona sama jest szkolną bibliotekarką - pokręcił głową - ale jeśli ona tak samo wychowuje dzieci w szkole, jak swego Romusia, to nie daj Boże. Wie pan, ona jest alkoholizką według mnie. Zresztą niech pan podejdzie do jej szkoły i pogada z innymi nauczycielami. Oni panu powiedzą, jakie siupy nieraz potrafi odstawić podczas lekcji.

- A co na to dyrekcja? Uśmiechnął się lekko.

- Dyrektor nic - odparł. - Mówią, że kilka lat temu ona była jego kochanką. Razem balangowali. Chyba za jej pieniądze. Ona ma sporo szmalu, bo jej stary od lat siedzi za granicą i co miesiąc przesyła na konto niezłą kasę, a sam bywa raz na pół roku. Ja się dziwię, że tak się daje cyckać. Przecież ona razem z synkiem wszystko przepuszczają. Mają, co prawda, mieszkanie, niezłą gablotę, ale poza tym nic. A powiem panu, że za tę kasę, co jej stary przysyła, mogłaby w pałacu żyć!

- A co z tymi jej siupami w szkole?

- Opowiadali mi, że ona ma zwyczaj podczas pracy schodzić niby po coś do samochodu. Nie wydałoby się w czym rzecz, gdyby nie to, że po kilku zejściach coraz trudniej było jej wejść do szkoły. A dzieciaki szły za nią i przedrzeźniały ją...

- I co? I nic?

- Jakiś szum z tego był, ale nic poza tym. Teraz ona chyba od miesiący jest na zwolnieniu lekarskim. Wie pan, od psychiatry. Poza tym były podejrzenia, że coś niedobrego dzieje się z jej matką... Ona, ta jej matka, jest ciężko chora i ona z synkiem opiekowała się nią. Co to była za opieka! Więcej skarg niż pożytku. Nawet sąsiedzi dzwonili do nas ze skargami, że okrada matkę z renty, że jej synalek też to robi, a nawet potrafi babci dołożyć. Ale jak przyjeżdżaliśmy na interwencję, to babcia złego słowa na wnuka nie dała powiedzieć, ani też na córeczkę. To co mieliśmy zrobić? Kończyło się na rozmowach...

Nie pomyślałbym, że takie historie kiedyś usłyszę o Majce. Co się stało z tą dawną dziewczyną, postrzeloną, co prawda na punkcie seksu, ale także zafascynowaną poezją? Lubiła wiersze Pawlikowskiej, Leśmiana, a najbardziej chyba rosyjskich poetów. Pamiętam z jakim zapałem recytowała swojego ulubionego Onegina po rosyjsku, czy telegrafistę Płaksina. I te wieczory, gdy latem całą bandą siedzieliśmy nad Dobrym, przy ognisku, z butelką „patykiem pisane-

go", gitarą i Okudżawą. I potem jej wiersze, chyba całkiem niezłe... I te marzenia o czymś wielkim w życiu, takim do bólu...

Matka Majki zmarła kilka tygodni temu. Jedna z jej sąsiadek nie kryła oburzenia.

- Panie redaktorze, to ona razem ze swoim synalkiem wykończyła matkę. Jak mi Bóg miły! Nie dość, że przepuściła cały swój majątek, to jeszcze matkę okradała z tej bidnej renty. A ten jej Romuś! Sama słyszałam, jak mówił do babci: żebyś zdechła, stara k...! Na Śmiechowcie, wie pan, tam jest cmentarz, miejsce na ciebie czeka! Gdybym się nie bała tego wymalowanego bandziora, sama bym mu dołożyła, ale, panie, strach takiego! Dzwoniliśmy na policję, ale ci co? Przyjechali, pogadali i nic. A ona matkę otruła. Lekarstwami. Po to, żeby mieszkanie po niej dostać... Matka była ciężko chora od miesięcy, ale jak córeczki nie było przy niej przez kilka dni, całkiem jeszcze była kontaktowa, nawet do kiosku potrafiła zejść. A jak tylko córeczka była przy niej, to zaraz okazywało się, że z matką jest źle, że nieprzytomna... Jak nic truła ją tymi tabletkami, co to jej synalek przynosił! A pan wie, że on żadnej szkoły nie skończył, z każdej go wyrzucali? Że to narkoman?

- Wiem, teraz nieprzytomny leży w szpitalu.

- Dobrze mu tak! - powiedziała z nieukrywaną satysfakcją. - Żeby tak zdechł, jak wykończył babcię! Jego kuzynka opowiadała, że kiedyś w autobusie jechała razem z Romkiem, ale on jej nie widział, jechał z jakimś swoim kumplem... I on do tego kumpla powiedział, że jeszcze trochę trzeba poczekać, aż ta stara zdechnie. To o kim mówił, jak nie o babci? A ta Majka, tfu! Pijaczka! Już dwa razy była w szpitalu, bo jej wątroba wysiadła. A ona dalej chleje. Pan wie, jak ona wygląda?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Obraz nędzy i rozpacz. Gruba taka jakaś, jakby cała opuchnięta, twarz cała czerwona... Wie pan jak wyglądała na pogrzebie matki? Aż wstyd było patrzeć. Taka przepita. Założyła ciemne okulary, ale i tak widać było. Ledwie stała, a jechało od niej jak z gorzelnii... A ta jej gadka, że wzięła jakieś tabletki na uspokojenie... Kto w to uwierzył? I ten jej judaszowy płacz... Pewnie, może teraz i boi się kary za to, co zrobiła?

No, cóż, pozostała mi jeszcze wizyta w szkole, w której uczyła Majka, może w szpitalu, choć tam pewnie sobie nie pogadam z Romkiem, a lekarze nic ciekawego pewnie nie powiedzą. A na koniec zostawię sobie Majkę. Jak dobrze pójdzie, dziś powinienem mieć dosyć materiału. Cholera, najgorsze będzie spotkanie z Majką. Niby to ona jest nie w porządku, ale to ja mam jakieś skrupuły. Dawny sentyment? W końcu, psiakość, do czego? Była kumpelą, ale nigdy nic więcej. Na szczęście dla mnie chyba.

W szkole gadać ze mną na ten temat nie chcieli. Jakaś zmowa milczenia, czy

co? Początkowo, gdy zaanonsowałem się jako dziennikarz z Warszawy, same ochy i achy, dyrektor, oczywiście przyjął pana redaktora, zaproponował kawę, ale jak tylko padło pierwsze pytanie na temat Majki, jakby piorun w niego strzelił. Aż go uniosło z fotela.

- Na ten temat z panem rozmawiać nie będę - stwierdził stanowczo.

- A to dlaczego?

- Bo to jest dla mnie temat do rozmowy z panem!

- A z kim?

- Nie wiem, ale na pewno nie z panem. To jest sprawa prywatna, nie dla dziennikarzy!

- Czyżby? - pozwoliłem sobie na kpinę. - To, że nauczycielka upija się, że zatacza się po korytarzu a dzieciaki robią sobie z niej jaja, to jest sprawa prywatna?

W miarę jak mówiłem, twarz dyrektora purpurowiała coraz bardziej. Jeszcze trochę, a zabraknie czerwieni. Nie podobał mi się gość. Czekaj, pomyslałem, zaraz zzieleniejesz.

- No, mógłbym się ewentualnie zgodzić, że romans dyrektora z nauczycielką jest sprawą prywatną, rzecz jasna, jeżeli nie rzutuje na pracę w szkole i opinię wśród uczniów - powiedziałem z naciskiem. Nie zzieleniał jednak. Zrobił się tylko błądy.

- To są kalumnie - wysyczał.

- Jeśli pan to napisze, podam pana do sądu!

- Wie pan, co napiszę? - zapytałem. - Napiszę, że takie plotki usłyszałem i zapytałem pana o to, czy są prawdziwe... A pan, oczywiście z oburzeniem im zaprzeczył. I może pan sobie iść do sądu - zakończyłem nie bez satysfakcji. Wolałem nie czekać, aż mnie wyprosi i sam się wyniosłem nie dopiwszy kawy.

W szpitalu kicha. Romek nieprzytomny nadal i mimo całkiem sympatycznego przyjęcia przez lekarzy, niewiele nowego. Rokowania co do szans wyjścia Romka ze śpiączki nie najlepsze. Okazało się jedynie, że przedawkował jakąś mieszaninę środków psychotropowych. Leżał teraz podłączony do różnych aparatów, siny w blasku przyćmionych lamp, chudy, z jakimś takim olbrzymio wystającym na kształt dzioba nosem. Jednostajne pikanie monitora jakby usypiało go jeszcze bardziej. Do kogo on jest podobny?

- Szkoda chłopaka - powiedział dyżurująca lekarka. - Taki młody, na studiach...

- Student? - zdziwiłem się.

- Tak powiedziała jego matka - potwierdziła lekarka. - Jest na drugim roku psychologii...

Nie chciało mi się, ale wiedziałem, że rozmowa z Majką mnie nie minie. To monstrum, które po kilku dzwonek otworzyło mi drzwi, to chyba, do cholery,

nie Majka? To nie może być ona! Jakieś stare, opuchnięte, czerwonogębe bab-sko w ciemnych, mimo szarości, okularach to ona? Mój ty Boże!

- Słucham? - wybełkotała trzymając się futryny.

Kurczę, przeniknęło mi przez myśl. jak się zachować? Może dać dyla? Może nie pozna?

- Cześć - powiedziałem jednak. - Ja do ciebie.

Widać było ogromny wysiłek na jej twarzy, gdy starała się skojarzyć mnie z kimś znajomym. Z głębi mieszkania dolatywał trudny do opisania zapach, kwaśny taki, trochę stęchły.

- Cześć - odpowiedziała po chwili. - Przepraszam, ale nie mogę wpuścić...

Zrobiła jakiś nieokreślony gest ręką lekko straciwszy przy tym równowagę. Oddech miała jeszcze bardziej intensywny, niż zapach mieszkania.

- Proszę przyjść później - dodała po chwili. - Może wieczorem?

Cholera, przecież to już wieczór! Jeszcze raz spojrzałem na jej twarz. Chyba mnie nie rozpoznała. Tym lepiej. I tak rozmowy żadnej w tym stanie nie będzie.

- Dobrze - zgodziłem się - wpadnę wieczorem. Do widzenia.

Odwrociłem się i zacząłem schodzić po schodach. Nie odwracałem głowy, ale wiedziałem, że wciąż stoi w drzwiach. Gdy byłem na parterze usłyszałem nagle jej głos:

- Marek!?!.. Marek, to ty!?

Nie zatrzymałem się jednak. Wyjście było blisko.

Miałem trochę czasu do pociągu, postanowiłem więc przejść się przez miasto. Było już ciemno. Na ulicy 12 Marca, jej nazwy na szczęście nie zmieni-ono, żółto paliły się latarnie nadając jej zupełnie inny wyraz, niż ten zapa-miętany przeze mnie. Tak samo rynek. To już zupełnie inny plac z pomnikiem przypominającym Batmana. I ten bruk! Jak jakaś starówka! I deptak, trzeba przyznać, że całkiem ładny. Nie ma co, to już nie miasto, jakie pamiętałem. I ludzie nie ci sami jednak.

Trzeba jednak będzie przyjechać tu kiedyś jeszcze na kilka dni. Szkoda, że tak się porypało z Iwoną, że muszę jak najszybciej wracać. Gdy dzwoniłem do domu przed wyjściem z hotelu, nikt nie odbierał telefonu, na komórce też tylko poczta głosowa. Wiem, że robi to specjalnie, znam ją...

Dworzec znowu zrobił wrażenie jakby to był zupełnie inny kawałek świata, z innego miasta. Na szczęście Bynia nie było, nie musiałem szukać drobnych, czy wymigiwać się od rozmowy. Gdy wsiadałem do kolejki, tak jakoś nagle dopadła mnie myśl, że na troje spotkanych znajomych z dawnych lat, aż dwoje spaprało swoje życie. Ciekawe, jak inni?- A co ja?... Gdy dojeżdżałem do Gdyni, przyszedł esemes od Wojtka: „Romek nie żyje”...

Mirosław Odyniecki

Michasia

Wielki głaz umiejscowił się prawie na środku pola. Wokół czarna ziemia poprzetykana była gęsto różnej wielkości kamieniami, ale żaden nie sprawiał kłopotu. Mieściły się swobodnie między zębami brony i tylko czasem przypominały o swym istnieniu głośniejszym zgrzytem o lemiesz. Przez dziesiątki lat ludzie wydobywali co większe, by oprzeć na nich ściany domu, chlewika i stodoły albo umocnić gliniasty trakt prowadzący do wsi. Nieprzydatne uścieliły miedzę i doły pod lasem. Chociaż głaz zawadzał podczas każdej pracy, przez wiele pokoleń daremnych trudów nikomu nie udało się go pozbyć. Ostał się i drażnił oczy kolejnych gospodarzy. Zbyt potężny, by ulec ludzkim dłoniom wspomaganym siłą niejednego konia. Porosła mchami różowawą głowę ledwie wychylał ponad powierzchnię gruntu, głęboko pod ziemią skrywając swe przepastne brzuszysko. Majestatycznym milczeniem kpił z mijających lat, jakby były ledwie sekundami. Tyle już miał za sobą przecudownych wschodów i zachodów słońca, że już wszystkie wydawały się mu jednakie. Niekończący się kalejdoskop nocy i dni, suszy i deszczu, upału i śniegu, ludzkiej krzątaniny i ciszy nie robił na nim żadnego wrażenia. Tysiące najbarwniejszych obrazków przewijając się przed oczyma i tak stają się szare. Bezmiar czasu sprawiał, że wszystkie wydarzenia zaprzatające ludzi, powodujące łyzy, smutek lub radość, były jedynie mgieniami. Ludzki żywot był dla niego drgnięciem jednego listka na koronie nieśmiertelnego dębu.

Na skraju pola, jeśli tylko widoku nie przesłaniały wybujałe zboża, widniał niewysoki dom z czerwoną dachówką, kryta strzechą obszerna stodółka, lichy, na wpół murowany chlewik i sterczące nieopodal zabudowań dzikie grusze, co to nie mają nic innego do roboty ponad wiosenne cieszenie oczu białym szaleństwem kwiatów. Pożytku nie było z nich żadnego, bo owoce były prawie niejadalne. Gustowały w nich jedynie chmary much i os pracowicie buszujące pod nimi słoneczną jesienią. Ale nie wadziły nikomu, więc oszczędzono im siekiery. Tylko przeogromna liczba wilków strzelających w niebo świadczyła, że kiedyś gospodarz przy pomocy piły próbował zaprząć je do rodzenia jadalnych owoców, ale mróz zaraz pierwszego roku ściał wszystkie delikatne zrazy, dał przeto spokój. Podczas wiosennych upałów, kiedy wśród bieli hałasowały tysiące pszczoł, przystawał na chwilę, zadzierał głowę, aby lepiej wsłuchać się w ich

muzykowanie, wzdychał i odchodził do zwykłych zajęć, których szczególnie wiosną nigdy nie brakowało.

Majątność obejmująca trzy zabudowania i nieliczy szmat ziemi z kawałkiem lasu, była wszystkim, co posiadał. Dawniej podwórko rozbrzmiewało śmiechem dzieci, pokrzykiwaniem dorosłych i całą gamą odgłosów gospodarskich zwierząt, ale od lat dominowała na nim cisza. Przywykł do niej i pies w kulawej budzie. Zdawał się zapomnieć szczekania. Machał zamasyżycie wielkim puszystym ogonem na powitanie pana, skomlał, gdy w misce pojawiało się żarcie, lecz nie wydawał zwyczajnych jego gatunkowi ujadów z byle powodu. Nawet koty mu zobojętniały. Gdy czasem pojawiły się zbyt blisko końca łańcucha, stroszył sierść, wydawał cichy pomruk i tyle je widział. Nie ryzykowały, po cóż więc było szczekać?

Od wielu dni cały dom żył oczekiwaniem. Brzuch Michasi był wielki jak bania, a ona sama człapała jak obżarta zbożem kaczka, ale maluch nie kwapił się do przyjścia na świat. Widać nie był ciekawy, jak to też wygląda jego mama. Wystarczyło, że jest bezpiecznym płaszczem chroniącym przed zimnem i wiatrem. Przyjemnie było wymachiwać rączkami i nóżkami, gdy nawet najgwałtowniejsze harce pozostawały bezkarne. W każdej chwili mógł spać wtulony w miłe ciepło ciasnego mieszkanka. Cóż lepszego mogło go oczekiwać na zewnątrz?

Michasia nie bardzo rozumiała, dlaczego jej brzuch tak rośnie i rośnie. Zdawało się, że bez końca. Mama wśród łez wytłumaczyła wiele miesięcy temu, że tak właśnie będzie, ale chciała już z powrotem biegać po łąkach i fikać koziołki. Tylko tata ją chyba rozumiał, ale od pamiętnego dnia ani razu się nie uśmiechnął i nie pogładził jej jak dawniej po rudej czuprynce, nie potargał za sterczące warkoczyki. Zapewne przez ten wielgaśny brzuch. I jakoś tak nie miała odwagi wziąć go za rękę i prowadzić do domku utkanego ze szmatek i patyków pod gruszą, gdzie mieszkały jej lalki, a każdy kamyczek miał swoją historię. Każdy pochodził z innego miejsca i chował w sobie wielką tajemnicę. Opowiadała je tacie głośnym szeptem zaraz po tym, jak sama ją poznała.

Dobrze było siedzieć na taty kolanach, czuć szorstkość jego palców na głowie i wiedzieć, że słucha. Mówiła i mówiła, a kamyk błyszczał w dłoniach, jakby malutkie słońeczko w nim zakłęte przesączało się mikroskopijnymi szparkami, pomiędzy ziarenkami, z których ułożona była jego cudowna skorupka. Brakowało teraz takich chwil.

Długie oczekiwanie z reguły przytępiło wrażliwość. Łatwo przegapić sygnały, w innych razach wystarczające do alarmu. Wszyscy pilnowali każdego kroku Michasi, aby nie była w decydującym momencie sama, by wszystko mogło skończyć się najlepiej, skoro nie udało się przedtem. Rodzice za wszelką cenę pragnęli naprawić to, co nie nadawało się do naprawy i co było poza ich zasięgiem.

Dzień zapowiadał się podobny do poprzednich. Codzienne zajęcia naznaczone były tymczasowością jakby na serio wszystko mogło być tylko po.

Pogoda sprzyjała pracom w ogrodzie i w polu. Nie padało, nie było upału ani silnego wiatru, czyli wszystko akurat, by nie siedzieć w murach. A zawsze się znajdzie jakieś pilne zajęcie, nawet jeśli głowa zaprzątnięta jest czymś innym. Wprawdzie nie idzie wówczas tak, jak powinno, ale wystarczy do wypełnienia całego dnia z okładem. Tylko późniejsza noc jest trudniejsza. Nawet, jeśli uda się zasnąć, nie ma co liczyć na sny, po których człowiek wstaje wypoczęty. Nic nie odbywa się ot, tak sobie. Za wszystko trzeba zapłacić. Jeśli zdało się za dnia udawać, że jest to dzień, jak co dzień, przeznaczony do pracy, nocą powrócą sprawy, nawet najbardziej odpychane i upomną się o swoje. Nie ma co udawać, że ich nie ma. Nic to nie daje. Nie jeden raz się o tym przekonał. Rzucił narzędzia, zapalił papierosa i poszedł prosto przez świeżo zielone zboże. Daszek czapki zsunął głęboko na oczy i zdawał przyglądać się pasemkom zieleni kołyszących się leciutko na popielatym tle gleby. Zawsze lubił podziwiać, jak jego zboże pnie się coraz wyżej i wyżej, jak cudownie zmienia barwy i odcienie, jak pachnie tumanami pyłków. Inne pola mało go obchodziły, tylko to jego przyciągało wzrok i tylko na tym jednym zachodziły prawdziwe cuda corocznych narodzin chleba. Nawet, gdy wracał ze wsi, długą polną drogą wśród pochylających się przed nim wysokich żyt i pszenic, spieszył się do swoich łąnów. Nie, by porównać. Szkoda czasu gapić się na coś, co niczym się nie wyróżnia. Te obce, zwyczajne łąny przypominały po prostu, że dawno nie był na swoim polu. I nie musiała to być wcale prawda.

Teraz jednak widok delikatnego dywanu pod nogami wcale go nie cieszył. Nie mógł skupić oczu tak samo, jak nie udawało mu się myśleć. W głowie miał szarą pustkę. Taki męczący, milczący ciężar. Jakby tam nic nie było i to nic dotkliwie przeszkadzało.

Doszedł zakosami do miedzy, gdzie rośla pokrzywiona dzika jabłoń. Usiadł na trawie. Zapalił kolejnego papierosa. Wokoło brzęczały niezliczone owady, ale nie było na tyle ciepło, by z nadto dokuczały. Pomyślał, że przyjemnie jest siedzieć i nic nie robić. Wszystkiego nie da rady. Może lepiej nie męczyć się ciągle pamiętaniem, ile to jeszcze do roboty? Właśnie tak się i odpocząć. Położył się na plecach i począł przyglądać się obłokom. Słońce co rusz prześwitywało przez puszysty obłok, to znów kryło się na ciemniejszym kocykiem. Może popadać, pomyślał. Dobrze, bo trochę już za sucho. Ale wiatr ledwie, ledwie, więc jeszcze czas. Można leżeć i podziwiać te stwory na niebie, jak kiedyś, gdy był chłopcem. Próbował wyobrazić sobie, że ma znowu niewiele lat i układa z chmur mapy wysp, które chciałby odwiedzić, zwierzęta i rośliny, które na nich spotka. Nie były jednak tak kolorowe, jak niegdyś. I nie udawało mu się wymyślić żadnych historyjek, dzięki którym na tych wyspach pojawiała się

prawdziwe życie. Już tylko Michasia potrafi tak opowiadać, że zdaje się to prawdą, choć wiadomo, że zmyśla. Szkoda, że tak często tylko udawał, że słucha. Podniósł się. Wrócił na pole. Czar bezmyślnego próżnowania znikł.

Z daleka widział swój dom, lecz nie bardzo miał ochotę wracać. Jeszcze nie. Przysiadł na głazie, do którego przyzwyczał się, jak do wszystkiego, co jest od zawsze. Mimo że przywykł, kamień ciągle go drażnił. Mógłby nie sterczeć tak, akurat na środku jego pola. Niechby przynajmniej był bardziej widoczny. Ileż to już razy były przez niego kłopoty? Ojciec mawiał, że to przez myślenie o niebieskich migdałach, ale przecież nie tylko jemu zdarzało się zagapić. Cholerne kamienisko. Musi być na niego sposób.

Ręką gładził chropawą powierzchnię, jakby chciał poznać tajemnicę bycia głazem. Cholerny zawalidroga. Nic go nie obchodzi. Nie wiadomo, po co istnieje? Urągać ludziom? Ze złością walnął w bezduszne pyszczysko. Cholera! Ból rąk uświadomił mu, że zachowuje się niedorzecznie. Przecież nie o kamień mu chodzi...

- Boże, spraw, by było wszystko dobrze. Nie proszę Cię, byś wrócił mi nadzieję, ale spraw, by było przynajmniej tak dobrze, jak dawniej, gdy już pogodziłem się z losem. Nie dałeś mi tego, który był najłżejszy, przyjąłem, ale spraw przynajmniej, bym nie patrzył na ciągle nowe cierpienia. Spraw, by było dobrze, Boże. Nie dość już kar bez winy? Bo czymże ona Ci zawiniła? Małoś jej przysporzył? Boże!

Postanowił wrócić do domu. Już czas. Nic nie da roztkliwienie się. Trzeba myśleć o tym, co na ziemi. Jak nie on, to kto utrzyma to wszystko w kupie? Zdjął czapkę.

- Przepraszam Cię Ojcze.

Skierował się w stronę domu.

- Pomóż mi jednak.

Przyśpieszał kroku, bo mu się wydało, że zostawił swoich na nazbyt długo. Gdy był już sporo kroków oddalony odwrócił głowę i rzucił przez ramię półgłosem:

- Ciebie diabie i tak dostanę! Nie myśl sobie!

Drzwi były otwarte na oścież. Znowu much napędzą do sieni, że spać nie dadzą, pomyślał ze złością. Nigdy nikt nie zważa, co mówi. Jakby w stodole mieszkali, ciągle pootwierane nie to, co potrzeba. Palnąc raz, to by poskutkowało. Z pokoju, zza zamkniętych drzwi dochodziły dziwne dźwięki. Od razu złość mu przeszła, tym bardziej, gdy uświadomił sobie, że żony nie było w ogrodzie, jak się spodziewał. Czyżby wreszcie?

Ale nie było tak, jak miało. Na nic zdały się wcześniejsze przygotowania. Michasia nie chciała do szpitala. Zaszyla się wśród rozmaitych gratów w drewnutni i mimo przerażenia siedziała jak trusia, by nikt jej nie odkrył. Dopiero, gdy ból

był już ponad ludzki wyrwało się jej z gardła coś w rodzaju skowytu. Zaraz go siłą gasnącej woli stłumiła, ale było za późno, mama usłyszała. Przybiegła natychmiast. Starła się ukryć zdenerwowanie, ale nie było to możliwe. Michasia na widok rozdygotanej mamy zaczęła szlochać jak malutkie dziecko i przez łzy wołała: mamusku, mamcio, mamulku... Objęła ją za szyję i tak objęte przekuśtykały do domu. Nie było po co myśleć o szpitalu, lada moment powinno być po wszystkim. I tak się stało zaraz za progiem. Musiały zatrzymać się na moment i właśnie wtedy poród zaczął się na dobre. Mama nie miała siły dotargać córki do pokoju. Wyrwała się na moment z panicznego uścisku córki, by przynieść jakąś poduszkę, jakiś koc, prześcieradło i ręczniki. Wymościła podłogę najlepiej, jak to było możliwe i starała się uspokoić córkę, chociaż jej samej palce zderzały się bez przerwy, jakby każdy pochodził od innej dłoni. Serce waliło gdzieś wysoko w krtani, zdawało wyrywać się z ciasnego, dusznego wnętrza na powietrze, którego nagle zabrakło. Przez tą szamotaninę jeszcze trudniej oddychać. Czuła wielkie krople potu na całym ciele i z przestachem dostrzegła, jak zachlapała nimi czoło Michasi. Wierzchem dłoni przetała buzię córki i nie mogła zorientować się, czy jest gorąca, czy też lodowata. W każdym razie, było coś nie tak. Krzyknęła na męża. Przez niedomknięte drzwi powinien usłyszeć. Ale był nie tam, gdzie powinien i nie usłyszał. Poczowała do niego straszliwy żal. Nie powinien ich opuszczać w takiej chwili. Przecież wiedział. Boże, zawołaj mi go. Boże, on jest tak potrzebny, jak nigdy, przywołaj go. Niech przyjdzie. To przecież jego córeczka. Bardziej nawet niż moja. To on nosił ją na rękę, gdy nie miałam już sposobu. Boże, gdzie on jest? Niech przyjdzie przynajmniej do Michasi, Boże.

Maluchowi nie przeszkadzało, gdzie przyszło mu rozpocząć wędrówkę po świecie. Miejsce jak inne, niczym się nie odróżniało od tych wszystkich, które dorośli uznają za właściwsze dla narodzin. Każde jest tak drastycznie inne od tego, co było dotąd, jakaż między nimi różnica? Nie wybierał miejsca, bo przecież nie miał pojęcia, gdzie akurat się z mamą znajdują, po prostu przestało mu podobać się mieszkanko. Nie dość, że ciasne, to jeszcze przestało być przytulne i bezpieczne. Działo się coś złego. Coś, co kazało wyjść w nieznane, jakiegokolwiek by nie miało być. Maluch wiedział, że musi teraz, jeśli chce być, a bardzo chciał, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, co to oznacza. Głupiutki maluch, a niczym się nie różni od nas, którzy też nie wiemy, co właściwie oznacza tak banalne słowo, życie. Maluch pewnie cofnąłby się z obranej drogi, gdy doświadczył, jaka jest trudna, ale było za późno. Z żalem stwierdził, że skoro pierwsze kroki ku nowemu światu są takie, trudno oczekiwać, że ten świat jest czegoś wart. To, co było przedtem, nawet w ostatnich chwilach, było chyba lepsze. Szkoda, że nie można zawrócić.

Michasia omdlała. Mama z noworodkiem w rękach nie wiedziała, co najpierw, cucić córkę, czy zająć się maleństwem. Łączyła je pępowina gruba jak powróż, a już były dwiema różnymi osobami. Tak samo oczekującymi jej pomocy. A ona oniemiała i zatrzymała się w dziwacznej pozie, z kwilącym wnukiem, niesamowicie umorusanym czarno-krwawą mazią, pochylona nad wpół żywą córką, niczym zegar, któremu podczas wybijania godziny pękła sprężyna i wskazywał ciągle ten sam miniony czas, tym odleglejszy, jak cichło wspomnienie echa wybijanych godzin.

- Boże, gdzie jesteś. Michasiu, oddychaj złotko moje, tylko oddychaj. Wszystko będzie dobrze, tylko nie bój się, oddychaj złota. Tatko zaraz przyjdzie. Do ciebie. Jezusinku kochany, pomóż.

Przetargła jakoś i córkę i wnuczkę do pokoju. Bez niczyjej pomocy, chyba Pan Bóg się od nich odwrócił, tak było ciężko. I strach, bo Michasia ledwie oddychała, a maluch tak cichutki, że nie wiadomo, czy wszystko z nim dobrze. Powinien przecież płakać, a tu cisza. I cały czas nasłuchuj, czy oba niebożęta oddychają i czekaj na zmiłowanie, na męża, na olśnienie, co robić? Nawet nie wie, czy wnuczka, czy wnuk, tak się spieszyła powycierać małe ciało i opatulić, by nie zmarzło. Może nawet widziała, on czy ona, ale tak bała się o Michasię, że to nie miało znaczenia. Nawet nie chciała zauważyć, jak bardzo jej się podoba maluszek. Nie mogła przecież pomyśleć, jaka szkoda, że tylko Michasią mogła się cieszyć i to tak króciuteńko.

Cucenie Michasi nic nie dawało. Wprawdzie nie wyglądała już tak strasznie, jak z początku, jeszcze w sieni, ale dogadać się, nawet byle jak, nie było sposobu. Coś mamrotała zupełnie niezrozumiale, jakby do siebie lub do kogoś, kto wprawdzie jest tu gdzieś, ale nikt poza nią nie może go dostrzec, bo są sobą tak zajęci, jakby nic poza nimi nie istniało, jakby świat rzeczywisty był mgiełką, a nie na odwrót. Ów ktoś słuchał chyba Michasi jak niekiedy tato, bo wargi prawie nie przestawały się poruszać. Wiele miała do powiedzenia i wcale się nie śpieszyła. Wiedziała na pewno, że zdąży, że ma bardzo dużo czasu. Mama nic nie rozumiała, ale spokój córki w końcu i na nią spłynął. Mogła czekać na męża bez dotychczasowej trwogi. Wiedziała, że sama nic nie poradzi a on zaraz przyjdzie i wszystko będzie dobrze, jak obiecała Michasi. Kiwała się nad łóżkiem niczym Żydówka i bezmyślnie, ale z tą wielką żarliwością osób, którym Bóg dał znać o swym istnieniu, klepała kolejne zdrowaśki.

Michasia nie przychodziła do zdrowia. Za to wnuczka rozkwitała mimo braku mamusinego pokarmu. Babcia latała wokół niej niczym fryga, jakby lat jej ubyło. Nie ciążyło ani nocne karmienie ani nieustanne pranie pieluch w cynkowanej balii, która ostała się z dawnych lat i służyła niekiedy, jako podręczny basenik dla podlewania ogórków. Przypasowała teraz do babcinych krzątanin z wnuczką i ani słyszeć chciała o pralce. W tej nieustannej gonitwie od garnków

do obejścia, od pieluch do codziennych kąpeli i karmień, jakby zapomniała o córce. Zresztą i dawniej Michasia chadzała swoimi ścieżynami, a jak już obcowała z ludźmi, to przesiadywała prawie wyłącznie z ojcem. Jak stało się, to nawet i on przestał dla niej istnieć. Więc teraz aż tak bardzo nie doskwierał jej brak. Wnuczka wypełniała czas z nadmiarem. Nawet pomyśleć nie bardzo było kiedy.

Dzielił czas sprawiedliwie: pół na pół. Działo się tak samo z siebie, wcale nie układał dnia. Po prostu, gdy przyjeżdżał ze szpitala nogi go niosły na pole. A gdy już tam był, nic go nie obchodziło, nawet wyrzuty gasły, że wszystko zaniedbuje. Po drodze bał się spojrzenia żony, ale na miejscu czuł się bezpieczny. Albo siedział w wykopanym pośród zielonego zboża dole i milimetr po milimetrze podsypywał, podważał, podkopywał, wbijał obmyślane starannie kliny i podpórki, albo ocierając pot z twarzy zerkał z tępą złością na głąz i wymyślał kolejne sposoby. Ręce miał popuchnięte, poobdzierane miejscami do krwi, żaden bąbel nie zdążył się zabliznić. W krzyżu czuł ustawicznie dotkliwy ból tak, że odwracać się mógł jedynie niczym robot, całym tułowiem, ramiona czuł jakby były przyrośniętymi do kości balonami, ale kiedy mocował się ze swoim diabelskim przeciwnikiem, był szczęśliwy. Nawet wówczas, gdy trud wielu godzin poszedł na marne, kamienisko obsunęło się na bok, musnąwszy go złowrogo przy okazji. Ponury głuchy odgłos gniecionej ziemi zabrzmiał jak ostrzeżenie. Zaklął ohydnie, splunął na umazaną skorupę głązu i z sarkazmem syknął:

- Ja nie dla ciebie. Mnie nie dostaniesz. Rzucę cię w najgłębszy dół, byś światła nie ujrzał...

Wypadek miał ten skutek, że kamień odkleił się od gliny, która go od spodu trzymała niczym w spazmatycznych objęciach porzucana kochanka-ziemia. Teraz był pewien, że podoła. Uśmiechnął się nawet:

- Będzie dobrze.

Nie mógł wiedzieć, że nie.

Michasia wpatrywała się w białuśny sufit. Dziwiło ją, że jest tak wysoko. Czyżby zapadała się coraz głębiej? W podłogę, a potem jeszcze głębiej i głębiej, aż ta biel przed oczyma zupełnie zniknie? I cóż pozostanie? Nic? Przecież nad tym sufitem powinno być niebo. Takie błękitne, jak czasem nad ranem, kiedy już gwiazdy gdzieś pouciekały, a słońce nie zdążyło jeszcze wrócić na swoje właściwe miejsce. Albo takie słodko pomarańczowe, gdy już pora wracać do domu, a wcale się nie chce, bo i nie wszystkie jaskółki wróciły do gniazdek. Jeszcze łowią ostatnie muchy i komary na kolację dla swych wiecznie rozdziawionych dzieciaczków. Albo prawie popielate, gdy wielkie słońce, a wokół trzaskający mróz lub niemiłosierna spiekota. Dlaczego ten sufit jest tak wysoko? Nie tak, jak powinien w znajomych ścianach pokoju? Dlaczego jest tu tak mrukiwie cicho?

Spotkali się na przystanku. Benek może uciekłby gdzieś w krzaki, ale nie zdążył. Nim się spostrzegł, ojciec Michasi szedł szybkim krokiem skrajem asfaltu kilkanaście metrów od niego. Nie mógł nic zrobić, bo wyglądałoby, że się boi. Odwrócił się szybko i zaczął udawać, że studiuje rozkład jazdy. Prawie czuł oddech na plecach, ale wytrwał w udawaniu, postanowił doczekać, aż usłyszy autobus. Cóż może mu zrobić taki chudzina? Niech się odwali.

Nie wiedział, co zrobić, gdy niespodzianie zobaczył Benka pod przystankiem. Pociemniało mu w oczach. Wcisnął pięści w kieszenie, przygarbił się mimowolnie jak bokser przed atakiem. Powrócił mu przed oczy obraz bezczelnej gęby, gdy miesiące temu starał się porozmawiać, jak z człowiekiem. Nie chciał powtórki. Po co? Diabli go nadali, niech go wezmą. Tfu. Pomóż, Boże, jakoś go nie widzieć. Niech zniknie, jak mara. Stał pod drzewem kilka kroków dalej i czekał na autobus.

Na drodze nie było ruchu, żaden samochód nie zakłócał ciszy świergotania porannych ptaków. Daleki warkot na pewno był oznaką zbliżającego się autobusu. Zgasił papierosa na korze drzewa i podszedł bliżej. Zaświtała mu nadzieja, że może...

- Michasia urodziła. Córeczka śliczna, jak lalka. Tylko Michasia...

Na ułamek sekundy spotkali się wzrokiem. Oczy wyczerały zza wąskich szparek drwiny, jak kocie. Gdzieś na ich dnie czał się strach, ale na zewnątrz widać było tylko nieludzką drapieżność.

- A co mnie to...

Pożałował swojej głupoty, naiwności, czy czego tam jeszcze. Nie miał czasu na nic innego, autobus zatrzymał się przy nim na wyciągnięcie ręki. Nie usłyszał wcześniejszego pisku hamulców i trąbienia klaksonu. Wsiadł szybko, bo Michasia czekała.

Usiadł jak zwykle na krześle przy łóżku i milczał. Nie miał nic innego do roboty, tylko patrzeć na pomarańczowe, pozlepiane kosmyki porzrzucone na poduszce. Co najwyżej odgarnął jakiś spadający na oczy lub drażniący spękane wargi. Już dawno nauczył się nie mówić. Mówienie nie sprawiało mu przyjemności. W dodatku ilekroć miał coś do powiedzenia, nic nie wychodziło. Nawet wówczas, gdy zdołał się wysłowić. O ileż lepiej było słuchać Michasi. Żałował, że nie zawsze miał czas i cierpliwość. Teraz słuchałby bez przerwy. Bardzo doskwierało mu jej milczenie. Te dźwięki, które niekiedy wydobywały się z jej piersi, nie były słowami córki, a ruchy warg nie były opowiadaniem niesamowitych historii, jak niegdyś. Już nie przeszkadzałyby niedorzeczność wielu z fantazji, pozorny brak sensu i logiki. Byleby znów usłyszeć.

Przypomniał sobie, jak kiedyś pożałował jej życia, jakimkolwiek by nie było. Nie miał pojęcia, o co prosi, ale nigdy nie żałował. Żał mu było Michasi, to praw-

da, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że źle się stało. A cóż teraz? Leży sobie nieboga i nawet nie wie, jak boli, gdy nie można nic zrobić.

I kiedy tak siedział, myślał nie wiadomo o czym, bo trudno było myśleć, gdy ponad wszystko przebijał się żal i poza nim nie było nic, Michasia otworzyła szerzej oczy, popatrzyła bardziej przytomnie po sali i chciała się podnieść, jakby przestraszona, że znajduje się nie tam, gdzie powinna. Już uniosła się na łokciach, nogi zaczęła wysuwać spod koca, aby je postawić na podłodze, kiedy niespodziewanie dostrzegła ojca. Popatrzyła, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. W oczach pojawiły się małe kropelki łez. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tą zasępioną twarz.? Wsparła się na łokciach i przez chwilę zastygła w bolesnym bezruchu. Przed oczyma nachodziły różne czarno-białe obrazy, ale żaden nie był tym, którego szukała. Jakże to tak? Nie zobaczy niczego, do czego zawsze tęskniła, kiedy tylko przymknęła powieki? Niczego, prócz białego sufitu?

Coraz bardziej wyteżęła wzrok i w końcu spoza łez zobaczyła oczy taty. Te same, co zawsze. Takie, do których mówiła, opowiadała kolorowe, jak barwny film historie. Tuż obok, na wyciągnięcie ręki siedział on. Po raz pierwszy w tym beznamiętnym miejscu zobaczyła kogoś, kto naprawdę żył. Nic to, że wyglądał tak jakoś inaczej. To był on.

Łzy zrobiły się większe i ciepłą strugą pocięły po policzkach, przykleiły się do podbródka i jeszcze większymi kroplami spadały na białawą powłóczkę. Czuła ich ciężar, kiedy cichutko stukały o materiał i słyszała, jak niektóre rozpryskują się na miliony okruchów. Chciała się uśmiechnąć. Nie wychodziło. Twarzą wstrząsnął dziwny grymas, zupełnie nierozpoznawalny. Zmrużyła oczy, aby z rzęs strącić mgłę, co utrudniała widzenie, też nie pomogło.

- Tato, zabierz mnie do domu...

Zerwał się na nogi przestraszony. Niewiele zrozumiał z zachowania Michasi, ale był pewien, że dzieje się coś ważnego. Na pewno wraca do życia. Ale co on ma zrobić? Potrzebuje pomocy, to pewne. Wybiegł na korytarz. Gorączkowo rozglądał się na wszystkie strony. Nikogo. Gdzie lekarze, pielęgniarki? Wrócił się do Michasi. Póleżała, tak jak ją zostawił. Wydawało mu się, że porusza ustami. Podbiegł bliżej. Nadstawił ucha, aby na wszelki wypadek nie uronić słowa. Nie wierzył, że coś powie, ale ruch warg był taki łudzący...

- Tato... do.. domu... proszę...

Zdawało mu się, że usłyszał jak coś szepce. Boże, gdzie wszyscy są? Jak oszalały wybiegł jeszcze raz na korytarz, wpadł do pierwszej z brzegu sali, ale tam tylko chorzy, szarpnął jedno drzwi, potem drugie, to samo. Ostatnie z drzwi prawie wyrwał z zawiasami. Spostrzegł kogoś w białym kitlu, wrzasnął: szybko! i nie czekając na reakcję pociągnął w kierunku, gdzie córka... Ten ktoś bardzo był ciężki, ledwie udało się go zaciągnąć pod drzwi. Tu siły go na

moment opuściły, musiał zaczerpnąć powietrza, na sekundę oparł się o ścianę. W tym momencie lekarz zdołał złapać równowagę i pierwszy wpadł do sali. Kiedy podążył za nim, zobaczył tylko włosy rozrzucone na poduszce i ręką bezwładnie przewieszoną przez krawędź łóżka.

Lekarz odwrócił się do niego i nim cokolwiek powiedział, zrozumiał...

Pozwolili mu posiedzieć do prawie wieczora. Wziął w swoje ręce jej dłoń i tak patrzył to na nią, to za okno. Wytarł łzy z jej oczu, bo jakoś tak nie chciały wyschnąć, a wydawało mu się, że nie powinna płakać. Prawie nigdy nie płakała, to i teraz nie powinna. Nie ma po co. On też nie będzie, chociaż w gardle czuł nieznośny ucisk, jakby coś bardzo chciało wyjść na światło, a musiało pozostać na zawsze w ukryciu. Wodospad łez uwieźły w głębokiej, bezdennej studni.

A może powinien pozwolić jej płakać? Bo to może nieprawda, że nie płakała? Może nie chciał widzieć, jak płacze? Które dziecko nie płacze?

Gładził ją kilka razy po buzi, po zamkniętych powiekach, po zapadłych policzkach. Tylko włosów bał się dotykać. Pozostały porozrzucane na pościeli niczym płomyki ognia.

Wróciwszy do domu nie miał ochoty się odzywać. Usiadł za stołem i koniuszkami palców rysował na blacie kolisty figury. Nie zapytał o jedzenie, bo nie czuł głodu. Tylko pić strasznie się chciało, jakby był wielki upał. Musiał wstać i duszkiem wychylić cały kubek lodowatej wody. Wydawało mu się, że woda ugasi pragnienie, lecz nadal na piersi miał piekący gorącym kamień, a w gardle łykowate struny głosowe, przez które nie zdoła powiedzieć żonie, co się stało. Wolałby odwlec te jej lamenty jak najdłużej, ale milczał nie dlatego. Dopóki nie wypowie, będzie mógł się łudzić, że to sen. Koszmarny, bo taki wzięty z życia, gdzie nie tylko wszystko było już znajome, ale nawet było pewne, że tak właśnie się potoczy, że taki będzie koniec i nie da się obudzić. Może to stąd spiekota w piersiach, co ledwie pozwala oddychać?

Usiadła na przeciw, tak jak kiedyś siadali, gdy mieli dużo gości za stołem i czekała. Nie na wieści ze szpitala, bo poznała je już u progu, gdy odmykał drzwi, zupełnie inaczej niż zwykle. Przez lata nauczyła się rozpoznawać nie tylko kto, ale i z czym przychodzi do domu. Zawsze, jak było to coś niedobrego, wiedziała pierwsza. Może dlatego inni sądzili, że nie umie płakać. Płakała już wcześniej, a jeśli ktoś miał już tyle do płakania, umiał łzy poskromić, by nie wylewały się na zewnątrz po próżnicy. Co miała do powiedzenia i tak powiedziała, czy były to złorzeczenia, czy lamenty. Teraz czekała, co z nimi będzie? Żeby powiedział, jak teraz będą żyli? Jest ich troje, ale nie tak, jak było. Nawet wtedy, gdy dowiedzieli się o krzywdzie Michasi, tak nie było. Czasami rozmawiali. I wtedy, dawno, gdy wspólnie się o nią modlili, by żyła. A teraz? Jak żyć?

Nie mógł zasnąć. Przez szyby wlewało się zimne światło księżycy. W jego blasku wszystkie domowe sprzęty wydawały się obce, jakby przeniesione z ja-

kiegoś nieludzkiego wnętrza. Takiego, w którym nigdy nie przebywali żywi ludzie.. Szafa nie mieściła ubrań i pościeli, tylko jakieś dymy, cienie i opary, stół nie ożywiony nigdy kwiatami w wazonie, tylko połyskujący metalicznie blat, nieruchomy i chłodny niczym katafalk. Przewracał się z boku na bok, przykrywał głowę poduszką, aż w końcu musiał wstać. Poszedł do kuchni. Nie zapalał światła, tylko namacał w półmroku kran i łakomie zaczerpnął wielki łyk wody. Stał chwilę przy zlewie. Nie mógł się zdecydować na powrót do łóżka. Tam zapewne znowu będzie się męczył. Zarzucił na plecy kufajkę i wyszedł przed dom. Zapalił papierosa, potem drugiego. Bezmyślnie gapił się po podwórzu. Ze zdziwieniem dostrzegł od wschodu nieba pierwsze zwiastuny brzasku, bardzo jeszcze niewyraźne, ale niedwuznacznie wskazujące schyłek nocy. Popatrzył na księżyc, aby się upewnić, że jasność jeszcze od niego pochodzi, że nadal tkwi na swoim miejscu, na tym samym, na którym go zostawił przed chwilą, wychodząc z pokoju. Był tak jaskrawy, że aż musiał zmrużyć oczy.

- Ciągle ta noc- powiedział półgłosem. Echo odbiło słowa od ściany stodoły i przstraszył się, jak głośno. Myślał, że szept nie mógł się wydostać poza wargi. Zaczął stąpać tak, jakby nie chciał czegoś lub kogoś wypłoszyć, albo jakby chciał, by nikt nie mógł usłyszeć, że idzie.

Szedł już drogą pośród swoich pól. Długi ruchomy cień ślizgał się po seledynowych listkach pokrytych mikroskopijnymi kropelkami. Co krok dziesiątki cząsteczek rozpylonej wody, choć tak nikłe, kopiowały w tęczowym rozbłysku barwę księżyca. Panowała prawie zupełna cisza. Taka, która pozwala usłyszeć tętno kołoczące się w skroniach.

Poszedł prosto do dołu otoczonego kupami świeżej ziemi, Wierzchołek kamienia odznaczał się licznymi jaśniejszymi rysami zadrapań. Niektóre, najjaśniejsze były płytkie i ostre, to ślady szpadla. Starsze ściemniały i bardziej przypominały szramy, niż świeże cięcia żelaza. Połowa kamienia kryła się w czarnym jak sadza cieniu. W takim oświetleniu przypominał wykrzywionego w szyderczym uśmiechu upiora. Stał nad nim. Po raz pierwszy mocno zwątpił, czy go wyciągnie. Po cóż ma to robić? Tkwił tysiąc lat, a całe to zmaganie trwa sekundkę. Sekundka wobec miliarda. I na co? Nic nie zmieni jedna sekunda. Żaden kamień niczego nie zmieni i niczego nie przywróci.

Schylił się po łopate, której ostatnio zapomniał. Potarł dłonią o wymuskaną rękojeść. W dotyku, mimo wilgoci, drewno wydało mu się pokryte jedwabiem. Nic nie jest takie, prócz wypracowanego drewna. Trudno się z takim rozstawać mimo zmęczenia. Zawsze ma się ochotę na jeszcze jeden wysiłek, ten ostatni przed końcem pracy, a jeszcze lepiej, gdy jest to ostatni ruch wieńczący dzieło, taki ostatni szlif. Nieważne, czy to przypasowany do dłoni hebel, ciesielska siekiera, czy najzwyczajniejsza łopata.

- A ja cię i tak...

Zmęczył się tak bardzo, że chętnie położyłby się do łóżka i leżałby, leżał... Może nawet przyszedłby sen? Ale już było zupełnie widno, więc nie było najmniejszego sensu, i tak zaraz musiałby wstać, tyle do załatwiania. Ale rozciągnąć się na gołej ziemi może. Odsapnie, to siły wrócą. Niewiele zostało, ale zawsze. Musi skończyć. Nie wróciło pytanie dlaczego, po co? Musi i tyle. Tak będzie najlepiej, jak skończy właśnie dzisiaj.

Ręce włożył pod głowę i przymknął oczy. Od ziemi przenikało wilgoć i zimno, ale było przyjemnie. Na twarzy czuł delikatne ciepło nieśmiały jeszcze promieni słońca. A gdzie księżyc? Jeszcze przed chwilą zaglądał prawie na samo dno dołu, jakby niedowierzał, jaki głęboki. Niebo było soczyście błękitne, na pewno byłby go dostrzegł, gdyby był. Pewnie uciekł, a niech go...

Przypomniawszy mu się, jak zeszłego roku leżał na grabionym sianie, jeszcze nie dość wyschniętym do zwózki, ale już trzeszczącym pod plecami i pachnącym zapachem stodoły. Bardzo lubił ten zapach. W środku zimy przypominał o skwarze lata, o kropelkach potu na gołym ciele. Chciał zdrzemnąć się po skończonej pracy, dać wytchnienie obolałym plecom i omdlewającym dłoniom. Kołysały do snu roje świerszczy, ptaki uwieszone nad łąką i leciuchny szum pobliskich drzew. Zbliżający się bieg bosych stóp zmacił sen. Był nawet zły, że mu przeszkadza. Z daleka wołała: tato, tato. Wiedział, że nic ważnego. Zawsze tak do niego biegła z dala od domu. Szukała, szukała i kiedy znalazła, zasypywała tysiącem słów. O lalkach, trawie, napotkanych i wymyślonych zwierzętach. Nigdy nic nie chciała, tylko opowiedzieć. Niby za każdym razem to samo, ale nie. Czasami śmiała się do rozpuku, czasem żaliła. Nie pamiętał, aby o cokolwiek prosiła... Nawet, gdy mówił, by nie przeszkadzała, nie prosiła, by wysłuchała do końca, bo to strasznie ważne. Odstępowała najczęściej o pół, dwa kroki i mówiła jakby nigdy nic. Tak samo głośno lub cicho, z tym samym przejęciem. Aż czasem szlag trafiał. I żał, że taka bezbronna...

Podniósł się, popatrzył na swoje dzieło i wbrew wcześniejszej ocenie uznał, że wszystko gotowe. Otrzeptał kufajkę z piasku, jako nieprzydatną zarzucił ją sobie przez ramię i poszedł po traktor. Odpalił silnik bez zaglądania do domu i wrócił na pole. Żał mu się robiło, gdy wielkimi kołami tratował pysznie zielone zboże. Będzie urodzaj, takie ładne. Podczepił liny i pociągnął delikatnie. Nie chciał pośpiechem wszystkiego zmarnować. Mimo tego jedna z lin zsunęła się z wielkim zgrzytem. Musiał wycofać i poprawić. Gdy zlął już na ziemię opanowała go głucha złość. Pięścią walił po głazie i mimo bólu nie mógł się opanować. Rzucił czapkę na ziemię i poszedł prosto do wioski.

Koleiny polnej drogi były ledwie widoczne. Obciążona tysiącami kropelek trawa zwieszała się do ziemi niczym winne grona tuż przed zbiorem. Nogami roztrącał zielone mokre smużki, a one moczyły mu nogawki aż po kolana. Przed nim droga i pola migotały seledynową poświatą, a zostawiał za sobą wą-

ski, lekko poskręcany pasek soczystej zieleni oczyszczonej z rosy. Słońce odkleiło się już od horyzontu, ale jeszcze nie wyzbyło się krwistego poblasku, jaki niekiedy zwiastuje piękną pogodę, a w pogodne wieczory potrafi zalać całe niebo i wszystko na ziemi. Ptaki jeszcze nie mąciły ciszy i szmer rozdzieranej krokami ścieżki był jedynym odgłosem, który mógł konkurować z pulsującą mu w skroniach krwią. Starał się iść powoli. Miał nadzieję, że dzięki temu przyjdzie mu do głowy coś mądrego. Czasami, gdy spacerował po polu w niedzielę lub jakieś święto, udawało mu się rozwiązać problem, któremu nie dawał rady przez cały tydzień. Niekiedy potem się dziwił, że to takie proste. Z biegiem lat nauczył się odkładać nierozwiązywalne dylematy na później. Przespaceruje się, gdy będzie czas, to i da się jakoś zaradzić. Miało to i ten walor, że cosik i samo się rozwiązywało albo zgoła zapominał, co go dręczyło. I dobrze. Widać nie było ważne aż tak, jak to wyglądało na początku. Ale było i tak, że ciemne chmury narastały i było coraz gorzej. Nic nie dawało się rozwikłać, kamień na sercu ogromniał i nie było po czasie sposobu, aby go zepchnąć. Teraz jednak wolał pamiętać tylko o tym, jak dobrze było wracać do domu z jasną głową i pogodą na duszy.

Z lekkiego wzgórzka rozciągała się panorama całej wsi, jakiej nie widział nikt podążający szosą. Przy asfalcie płotki i ogródki, pomalowane jaskrawo ganki i okna poutykane doniczkami, białe koronkowe firanki i zasłonki, drzwi lśniące świeżą farbą lub nowością lakierowanego drewna. Od tej strony szerniały drewno stodół, ściany obórek, chlewni i stajni popstrzone wilgotnymi naciekami, kawałki tynku na różnobarwnej cegle, gnojowniki, stare sterty słomy, pryzmy chrustu, gałęzi do palenia w kuchennym piecu, nierówne gospodarcze podwórka poprzerastane u brzegów kępami pokrzyw i wystające spod nich stare żelastwa maszyn, dawno nieużywanych lub niesprawnych. Tu wieś odgradzała się od równego brzegu pól lichymi płotkami, w których było więcej dziur niż całych fragmentów i które to składały się z niezliczonych pomysłów gospodarzy, jak to najmniejszym kosztem wydzielić swoje zabudowania i jednocześnie nie oddzielić się zbyt od swoich pól. Od każdej wygodniejszej dziury w płocie prowadziła na pola ścieżynka, niekiedy podwyższona miedzą. Z oddalenia sprawiało to wrażenie korzeni wrastających w zieloną, życiodajną darń.

Powoli zbliżał się do wsi. Nim skręcił na właściwą ścieżkę przysiadł na skraju drogi. Nie wahał się, czy ma iść dalej, lecz było jeszcze zbyt wcześnie. Była to też okazja do zebrania rozbieganych myśli. Nie był ani odrobinę mądrzejszy niż kilkaset metrów wcześniej, chociaż szedł coraz wolniej i wolniej. To już nie był nawet spacer. Noga za nogą, niczym w żałobnym kondukcie.

Kiedyś spacerował sobie, ot tak. Wyszedł po obiedzie zapalić, a że było ładnie, nogi go poniosły hen daleko, aż chaty nie było widać, ani nawet dymu z kominu. Na przedwiośniu rzadko bywa tak zimno jak wtedy, ale słońce już grzało zza nielicznych chmur i nie chciało się wracać do ciepłej wprawdzie, ale i tro-

chę dusznej izby. Wkoło tylko szarość i czerń, ale oziminy powoli już jaśniały. Na niektórych łąkach trawy też, a nawet w cieplejszych miejscach można było znaleźć pierwsze nieśmiałe stokrotki. Wiał lekki wiaterek, chwilami mroźny, lecz już nie taki, jak z miesiąc wcześniej, kiedy zapierał dech w piersiach, a kiedy zawiął od lasu, niósł fale przyjemnego ciepła niczym taki, co kołysze kwiaty w kwitnącym sadzie. Szedł sobie drożynami i miedzami i zupełnie nie myślał. Wszystko jakoś będzie, po cóż myśleć po próżnicy. Po prostu szedł.

Musiał bezwiednie zrobić wielkie koło wokół swoich zabudowań, bo gdy je z powrotem dostrzegł, był po przeciwnej stronie. Tam, gdzie czerniły się bruzdy przeznaczone pod kartofle. I właśnie na tym przyszłym kartoflisku dostrzegł Michasię. Biegła wprost na niego, widać dostrzegła go pierwsza. Wymachiwała rękoma jakby się bała, że jej nie zauważy. Trochę trwało, nim usłyszał, jak woła: tatko, tatko, tatko! Po chwili była przy nim i nie przestawała wołać: tatko! Nie od razu spostrzegł, że ma gołe nogi, brudne od ziemi i zaczerwienione z zimna. Na dużym palcu przez piasek sączyła się strużynka krwi, widać uderzyła o jakiś kamień. Wyciągnęła rączki. W zaciśniętych piąstkach coś ścisnęła. Gdy rozprostowała palce ukazały się na dłoni zmiętoszone niemiłosierne malutkie pączki stokrotek. Kilka z nich zaraz spadło na ziemię. Nawet tego nie zauważyła, cały czas miała oczy wlepione w jego. Kwiliła rozradowana: tatko, tatko, ale już inaczej, radośniej, gdy spostrzegła, że się uśmiecha. Wziął ją na ręce. Wciskała mu swoje kwiatki w policzki, do ust, w oczy. Tatko, tatko... Przytulił mocno. Kufajką starał się okryć lodowate stópki. Ona nic, tylko tatko, tatko. Położyła główkę na ramieniu i nadal swoje, wprost do ucha. W oczach poczuł wilgotną mgiełkę. Szkoda, że nie umie powiedzieć nic więcej. Ale i tak słuchał z przejęciem. Dziecka trzeba słuchać uważnie, tak gdzieś zasłyszał. Po niewielu krokach dostał zadyszki. Szedł przez pole i co chwilę zapadał się po kostki, to znów potykał. Jaka ona ciężka. I nagle zorientował się, że mówi do niego. Nie dało się zrozumieć, przynajmniej niewiele, ale nie było to dotychczasowe "tatko". Najwyraźniej coś opowiadała. Może swoją ciężką i daleką drogę, aby go odszukać? Przytulił ją jeszcze mocniej i wsłuchiwał się w każdy dźwięk. Oddychał otwartymi ustami, by nic nie uronić świszczącym oddechem. Na policzek spadła mu łza. Nie miał jak jej zetrzeć. Nic to, była radośnie ciepła...

Nie było co dłużej marudzić. Trzeba iść, skoro postanowił powiedzieć, że umarła. Tak powinno być lepiej. Powiedzieć. Musi powiedzieć.

Gdy był za drewnianym w tym miejscu płotkiem, niewysokim na tle zwalistej ściany obory przesłaniającej większą część podwórza, nadal się wahał. Przez moment chciał nawet zawrócić. Nie mógł znaleźć żadnych słów na zaczęcie. Pochwalony? Nie bardzo wierzył, że w nim mieszka. Grzech tak myśleć, a jednak wątpił. Wiedział tylko, że On jest gdzieś blisko, by natychmiast wejść w najskromniej uchylone serce. Może właśnie teraz patrzy i czeka. Boże, dopo-

móz. Jezu, daj mi jakiś najmniejszy znak. Najmniejszy. I odpędź wszystkie złe myśli, bo zbyt dużo ich, bym sam poradził. Boże. Przeżegnał się ukradkiem i jednym krokiem wychylił się spoza ściany. Przed sobą miał obszerne nad miarę podwórze. W odległych drzwiach domu akurat się ukazała sylwetka rosnącego mężczyzny. Przeciągnął się, popatrzył wokoło i nieśpiesznie podążył w kierunku obory. Zamarł na tę chwilę, gdy lustrował podwórze. Był pewien, że go dostrzegł. Nie mógł nie widzieć, ale potraktował jak powietrze. Nogi zrobiły się ołowiane i z trudem stawiał kroki. Nie zdążył przeciąć mu drogi. Gdy podszedł, on był już na drabinie. Nie odwracając się rzucił gniewne: Czego? Stał dwa kroki przed drabiną. Oglądał czubki swoich przemoczonych do nitki buciorów. Dopiero, gdy ustało kołatanie serca w zaschniętym gardle, przełknął ślinę i mógł się odezwać. Zadarł głowę, ale na drabinie nikogo nie było. Stał więc z zadartą głową i czekał. Chyba się modlił, sam nie wiedział. W każdym razie, gdy na wysokim poddaszu ukazała się głowa, był całkiem uspokojony. Wiedział, co ma powiedzieć.

- Michasia umarła wczoraj w szpitalu... – nie zdołał dokończyć.

- No i co z tego?

Jakby nigdy nic zarzucił sobie worek na plecy i zaczął schodzić. Już na drabinie dodał:

- No to leć do grabarza... - worek był ciężki i musiał zaczerpnąć powietrza, by dokończyć zdanie - Albo...

Wydało mu się, że słyszy chichot. Pociemniało w oczach, ale tak jakoś dziwnie, że widział każde włókienko drewna drabiny i każde ziarenko nierównego betonu pod butami. I cień wysoko, teraz na tle krawędzi rozgraniczającej czarny dach od niebieskiego nieba. Ona tam, gdzieś w tych niebieskościach... Z całej siły kopnął drabinę, jakby to ona była winna, że widzi tylko tyle błękitu. Cień poszybował wielkim trzepoczącym łukiem, bezgłośnie, jakby oniemiały ze zdziwienia i z głuchym jękiem upadł na ziemię. Zapadła taka cisza, że słyszał każde ziarenko odbijające się od ściany i zaścielające wielki półokrąg wokół obory. Pojedyncze wkleiły się czerwona kałużę, która pojawiła się wokół pękniętej czaszki. Popatrzył chwilę na zastygającą twarz. Nie było w niej nic. Odwrócił się i powolnym krokiem poszedł tam, skąd przyszedł. Nie śpieszył się. Wiedział, że głąz mu nie umknie. Teraz już nie. Teraz będzie finał najważniejszej pracy, którą przyszło mu dźwigać w życiu. Teraz go wyrwie. Wyszarpie z wilgotnego dołu i zawlecze hen, z oczu.

Wsiadł na traktor od razu. Niczego nie sprawdzał, nie poprawiał. Odpalił silnik, wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg i nie odwracając się ruszył. Liny stęknęły, rozległa się seria trzasków, zgrzytów, stuków i kłąśnieć. Koła zaczęły buksować zgarniając coraz większy wał ziemi. Tył osiadał niżej, silnik wył nieludzko. Z rury wydechowej strzelały w niebo czarne kłęby dymu rozświetlane co jakiś czas

garściami iskier. Pochylił się na kierownicy jakby chciał pomóc swoim ciężarem, ale wydawało się na próżno. Głaz pozostawał nieruchomy. Milimetry dzieliły podwozie od wsparcia się na ziemi. Nie zważając na to, że pewnie lada moment przyjdzie mu odkopywać ciągnik i wszystko nieomal będzie trzeba zaczynać od początku, nie ustępował. Chciał wyłączyć silnik, gdy usłyszał inny odgłos pracujących opon. Wydawało się, że traktor siedzi, aż niespodziewanie drgnął minimalnie do przodu. Prawie niezauważalnie, lecz za moment znowu, tym razem nieco silniej i jeszcze raz i jeszcze... Wszystko wpadło w rodzaj dygotu, drgawek pulsujących coraz gwałtowniej, aż w końcu pękate brzuszysko pokazało się na powierzchni w całej okazałości i poczęło się ślizgać potulnie za traktorem, tylko co jakiś czas obracało się nieznacznie na linach, jakby chciało się uwolnić z więzów, wówczas silnik prychał ostrzegawczo, bezdusznie i bezwzględnie egzekwował przez siebie obrany kierunek. Nawet gwałtowniejsze kolebania na boki i szarpnięcia do przodu, jakby w zamiarze zgniecenia prześladowcy ustępowały wobec powolnej, lecz nieustannej pracy opon. Z tyłu pozostawał coraz dłuższy pas zdartego z ziemią zboża, głęboką czarną koleiną znaczący pole ukośnie do drogi prowadzącej do zabudowań.

Ani razu nie odwrócił się za siebie. Słuchał jedynie huku spalin wystrzeliwujących z komina. Po każdej zmianie natężenia dźwięku serce biło nieco gwałtowniej w niespokojnym oczekiwaniu, ale zaraz wszystko wracało do normy. Nie zastanawiał się, gdzie jedzie. Kiedy sobie uświadomił, że jest już prawie na podwórku, nie chciało mu się zawracać. Tym bardziej, że przez te liczne dni zmagania nie znalazł żadnego miejsca, do którego chciał zepchnąć kamień. Odgrażał się wielokrotnie, klął i zarzekał, że wynajdzie jakieś najbardziej ponure dla niego miejsce, najokrutniejszą karę, ale nie było to nic konkretnego. Przyjdzie czas, to znajdzie. Teraz jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Kiedy wyłączył silnik poczuł wielkie znużenie. Najchętniej położyłby się. Tak zwyczajnie i spokojnie. Wyciągnąłby nogi na świeżej pościeli, policzek oparłby na miękkiej poduszce. I spał.

W kuchni czekał na niego świeżo włączony czajnik, na stole kubki z wysypaną porcją herbaty. Usiadł u rogu i czekał, aż woda zakipi. Trwało to jednak za długo. Chciało mu się pić. Duszką wypił szklankę napełnioną pod kranem i już nie czekając na herbatę począł się szykować. Tyle spraw trzeba załatwić, a tu już późno niemiłosiernie.

Wrócił do domu, gdy już szarzało. Nóg nie czuł, ale był zadowolony. Wszystko załatwił, w dodatku tak, jak chciał. Nawet trumnę, jaka być powinna. I wszystko inne, a było sporo drzwi po drodze. Teraz może się położyć. Dobrze.

Zdjął buty na środku kuchni. Jak przyjemnie czuć chłód posadzki po całodziennej męczarni przyciasnych odświeżonych butów. Poczł ssanie w żołądku. Prawda, nic przecież nie jadł. Ale czy warto przed snem? Chyba tylko się napije.

Herbaty? Lepsze byłoby wino z wodą, mniej zachodu i sen lepszy. Ale po wino trzeba by pójść do piwnicy. To już niech będzie herbata, ale taka słodka, nie, jaką lubił na codzień. Włączył czajnik do gniazdko i rozglądał się za szklanką, łyżeczką, cukrem i herbatą. Gdzie to wszystko do diabła? Potrącił niechący stos talerzy. Jeden potoczył się na podłogę i rozbił z hukiem na drobne kawałki. Wzdrygnął się mimowolnie. Stał ze szklanką w ręku i nie wiedział, co dalej? Najpierw posprzątać, czy też zaparzyć i wypić w spokoju, jakby nigdy nic? Nim się zdecydował, weszła ona. Zabrała mu bez słowa szklankę, postawiła na stole. Wsyła kilka czarnych listków i zalała wrzątkiem. W torebkę z cukrem wetknęła łyżeczkę i postawiła obok. Z szafki wyjęła chleb i nie pytając poczęła kroić.

- Co stoisz? Siadaj.

Wziął szklankę w obie dłonie i parząc się chleptał głośno małymi łyżkami. Był szczęśliwy, że nic nie pyta. Język i wargi piekły delikatnie, tak jak lubił. Jasna mgiełka unosiła się znad powierzchni płynu. Chłonał znajomy aromat, jakby była to jedyna rzecz na świecie warta w tej chwili uwagi.

- Czym ci posmarować?

Cisza pękła i już nie było jak przez moment, błogo.

- Nie chcę.

- Jadłeś coś?

- Nie jestem głodny.

- To po co kroję?

Zostawiła chleb na stole i poczęła sprzątać rozbite skorupy. Sapała pod nosem, ale nie wiedział, czy ze złości na stratę, czy na niego. Sięgnął po suchą kromkę. Nim się spostrzegł, po następną. Więcej mu się nie chciało. Spać. Nawet za stołem. Przymknął oczy. Prawie zasnął. Nie dała mu jednak spokoju.

- Benek dzisiaj...

- Wiem, odpowiedział chyba za szybko, ale jej to nie zdziwiło. Chciała coś powiedzieć, coś usłyszeć. Taka wiadomość wydawała się dobra na początek rozmowy. W końcu muszą rozmawiać. Tak nie można, bez słów żyć.

- Zabił się...

- Nie, to ja... – znowu jej przerwał.

Nim ponownie otworzyła usta zakomunikował:

- Idę spać.

Nie zrozumiała nic. Była wściekła na siebie, że nie potrafiła w jakikolwiek sposób go zatrzymać. Którego to już raz? Może i nie potrafi, ale tym razem poczuła się bezsilna. Cokolwiek by nie zrobiła, nic by nie dało. Nie wiedziała, dlaczego tak myśli, ale była nieomal pewna racji. I to ją drażniło najbardziej: beznadzieja.

Na żalobnej mszy było ludzi więcej, niż się spodziewali. Może przez ciekawość? Albo przez współczucie? Jakaż to różnica? Było jej jednak miło widzieć jak przed konfesjonałem ustawia się spora kolejka. Może Michasi przez to lżej

będzie tam, dokąd poszła? I patrzeć będzie z góry, jak za nią się modlą i ci, których znała i ci całkiem obcy.

Do spowiedzi poszli osobno, zresztą chadzali tak od lat. Tylko kiedyś, na początku, wszystko robili wspólnie, nawet się modlili. Już nie pamięta, od kiedy zaczęło być inaczej. Jeszcze gdy Michasia się urodziła, byli razem u Komunii. I później jeszcze też. Więc od kiedy? Chciała sobie przypomnieć, ale przyszedł czas na nią. Pomyśli później, może do czegoś dojdzie?

Kiedy klęczała, kątem oka zobaczyła, jak on odchodzi od konfesjonału. Usiadł w ławce i patrzył tępo na zamkniętą trumnę. Pomyślała, że lepiej odmówiłby pokutę. Kiedyś, przed laty, zawsze zapominał, to mu przypominała. Teraz by ją zrugął. Wołała milczeć, szczególnie dzisiaj.

Do Komunii szedł prawie cały kościół. Tak zawsze bywało. Nie jeden już raz była na takiej mszy, to wie. Ale dzisiaj było więcej nawet niż zwykle. Była szczęśliwa, że to dla Michasi i dzięki niej. Bóg na pewno widzi. Modliła się i za córkę i za tą malutką kruszynę, którą jej zostawiła. Taką malutką cudowną kruszynę, jakiej jeszcze świat caluśki nie widział. Jezusiczku, daj jej więcej, niż dałeś matce. Wystarczy, że ona tak miała, jak chciałeś. Teraz niech będzie inaczej, jak być powinno. Wiesz przecie, jak...

Wracając od ołtarza zobaczyła jedną osobę w całym kościele, która siedziała w ławce. Tak, jak siedział nim go zostawiła, trącając uprzednio znacząco. Popatrzyła uważnie na twarz, którą znała od lat. W oczy, które znała na pamięć. To nie były te same oczy. Każdy mógłby się pomylić, ona nie. Zrozumiała.

Kilka dni później pojechała do siostry w mieście. Chociaż nikt nie powiedział słowa na ten temat, oboje wiedzieli, że nie wróci. Oboje wiedzieli też, że on za nimi nie pojedzie. Zostanie. Więc został.

Andrzej Podgórnjak

Wejherowska Wigilia

Moim Dziadkom

W Wejherowie w jednej z wielu szkół podstawowych, w jednej z wielu czwartych klas uczyła się mała Dorotka Drech. Dorotka nie była wysoka, ale nie była też niska, miała brązowe loki, czarne oczy i dwa rozkoszne dołeczki w miejscu, gdzie kończył się jej uśmiech. Była mądrą dziewczynką, szczególnie upodobała sobie język polski, historię i geografę. Poza nauczycielami niewiele osób mogło jednak o tym wiedzieć - Dorotka była bowiem bardzo nieśmiała. Nie krzyczała, nie wyrywała się do odpowiedzi, rzadko rozmawiała z koleżankami. Nie to, że nie chciała - chciała bardzo, ale Marysia, Ula czy Amelka stwierdzały, że ich koleżanka jest „nudna”. Dorotce było więc bardzo przykro.

Gdyby mogła znaleźć kogoś, komu mogłaby opowiedzieć swoje niezwykle pomysły, z kim mogłaby również poskakać po drzewach, obejrzeć ulubione filmy, pobawić się zabawkami w księżniczki uwięzione w zaklętym zamku. Koleżanki mówiły, że nie wypada się już bawić. Dorotka nie miała rodzeństwa, a mama i tata byli wiecznie zajęci. Mama była bardzo piękna, chodziła ubrana tak elegancko jak elegancko może ubierać się pani i sprzedawała obrazy ważnym osobom. Tata całymi dniami siedział przed komputerem i bardzo się męczył swoją pracą. Dorotka kochała swoich rodziców, bo jak nie kochać mamy i taty. Było jej jednak smutno, gdy podchodziła do nich z grami planszowymi czy zabawkami, a oni znów byli zmęczeni, a ona znów zawracała im głowę. Nie chciała zawracać im głowy, chciała się z nimi pobawić i jej nie wyszło.

Dorotka rzadko widywała dziadków, do których od czasu do czasu prowadzili ją rodzice, a dziadkowie to byli czarodzieje. Mieszkali w dzielnicy Śmiechowo, na skraju lasu, a żeby do nich dojść trzeba było wysiąść z samochodu i troszeczkę pójść piechotą. Przy drzwiach dziewczynkę witała wielka, czarna, kudłata sunia imieniem Fraza, a w środku unosił się najczęściej dym z kuchni babci. Dorotka uwielbiała dziwny sposób bycia dziadków. Z uwagą oglądała u nich stare, czarno-białe filmy, które tak bardzo różniły się od wychodzących z ekranu postaci z filmów 3D. Lubiła też wielkie płyty, które włączał w dziwnej maszynie jej dziadek. To był rytuał - przychodziła do dziadków, babcia częstowała ją kluskami ze śliwkami polanymi śmietaną a dziadek wyciągał płyty prawie dwakroć większe od jego głowy, kładł je na dziwnym sprzęcie, który nazywał adapterem i nagle, gdy przycisnął igłę do płyty rozlegała się muzyka. Płyta

krążyła i krążyła, a melodia tak dziwnie chropowata wydobywała się z olbrzymich głośników. Dorotka była urzeczona tym zjawiskiem - prawie tak bardzo jak głosem dziadka, który po wysłuchaniu utworów siadał na fotelu, wyciągał książki i powoli, swoim melodyjnym głosem przenosił rozmarzoną dziewczynkę do dziwnych, dalekich krain, mówiących zwierząt, dzieci wychowanych w dżungli i cudownych handlarzy starzyzną. To były najlepsze, bezwzględnie najlepsze chwile w ciągu tygodnia. Codzienne znoszenie przykrości było warte tego, by przez ten moment posłuchać wspaniałych historii, których bohaterowie byli tak wspaniali i mężczyźni - nie tacy, jak ludzie, których znała. Dziadków niestety Dorotka odwiedzała coraz rzadziej.

Nadeszła zima - czas zabaw na śniegu i świątecznego barszczu. Dorotka osamotniona siedziała w kościele św. Anny. Na dworze uparcie padał śnieg zdobiąc drzewa pobliskiego parku srebrną poświatą. Dziewczynka uwielbiała zimę. Za tą srebrną poświatę i za zmarznięty różowy nosek gdy wracała sama na ulicę Świętego Jacka, i za żółtki, które w okolicach Bożego Narodzenia można było zauważyć w kościołach. Dorotka właśnie siedziała przed najpiękniejszym z nich, jej zdaniem najpiękniejszym na całym świecie - przed szopką Franciszkanów z kościoła św. Anny. Niesamowita stara kolejka okrążała całą masę zabawek, które były postaciami Marii, św. Józefa, małego Jezuska, Trzech Króli. Z boków po lewej i prawej stronie stały wiatraki, obok owieczek i aniołków. Nad całością widniał wielki świetlisty napis „Gloria”. W tle widniała wielka fotografia starej złotej Jerozolimy. Dorotka była szczerze zakochana w tej szopce betlejemskiej, zwłaszcza wieczorem, kiedy całość była podświetlona przez mnóstwo lampioników i świec. Wówczas wyłaniająca się z mroku kościoła szopka wyglądała naprawdę, jakby ciemność rozświetlił mały Bóg. Starsze kobiety, tak licznie zebrane na popołudniowym różańcu zaczęły się już rozchodzić. Kościelny powoli zamykał boczne refektarze klasztoru.

Dorotka wstała z ławki kościelnej i powoli powędrowała w kierunku drzwi wyjściowych kościoła. Na dworze śnieg padał wielkimi płatami, pokrywając ulicę Klasztorną białym puchem. Większość sklepów była już zamknięta, ulice były puste i wyludnione. Po lewej stronie mijała - jak jej to tłumaczył dziadek idąc ulicą z nią i Frazą - miejsce, gdzie dawniej mieściła się firma „Las”. Teraz miała już przed sobą biały park ze wspaniałym Pałacem Przebendowskich i mieszczącym się w nim Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej. Dziadek opowiadał jej, że to w tym pałacu odkryto stare rysunki z dawnych czasów. Dorotka dumiała nad tym, jak możliwe jest znalezienie tak starych obrazków i jak się zachowały do dzisiejszych czasów. Obecnie jednak budynek przypominał jej nie miejsce, gdzie znaleziono stare rzeczy, ani nie zamek bogatych ludzi, ani nawet nie Muzeum. W tej chwili pałac był pięknym zamkiem pokrytym wiórkami kokosowymi jaki widziała kiedyś w bajce

„Dziadek do orzechów”. Potem tą bajkę czytał jej dziadek. Kaczorki, które nieśmiało wystawiały główki z gniazd, grzejąc się przed zimnem idealnie spełniałyby rolę wielkich łabędzi, na których Klara wraz z Dziadkiem ulecieli do magicznej Krainy Słodocy.

Dorotka otuliwszy się w wielki pluszowy szal w szaro-zielone paski ruszyła dalej idąc wąską ścieżką biegnącą równoległe do parku. Skręciła w ulicę świętego Jacka - na samym jej rogu mieścił się stary, przedwojenny dom z numerem 19 w którym mieszkała. Nieco dalej po drugiej stronie jezdni znajdował się Dom Pomocy Społecznej. Dziadek mówił, że całe wieki temu mieścił się tam szpital. Z tego szpitala dziadek, będąc małym chłopcem uciekł, gdyż dowiedział się, że ma świnkę i musi leżeć w sali dla chorych dzieci. Biedny ojciec mamy nie wiedział czym jest świnka, która kojarzyła mu się raczej z chrumkającym zwierzątkiem niż z chorobą. Dziadek nie zdołał niestety uciec za daleko i pielęgniarki szybko przetransportowali go z powrotem do szpitala.

- Jak minął dzień Dorotko? Pomyślnie? - zapytała się mama oglądając różne dziwne obrazy leżące na sztaludze. Mama do oglądania obrazów wkładała stalowe, wąskie okulary i robiła minę osoby bardzo ważnej. - Dobrze mamo, byłam na zajęciach, potem poszłam do świetlicy, gdzie zrobiłam wydzierankę z kolorowego papieru. Wydzieranka przypomina choinkę i prezenty pod nią, zobacz... A potem... - Wszystko to bardzo ładnie moje dziecko, bardzo się cieszę. W kuchni w siatce na ławie leżą udka kurczaka pieczonego. Podgrzej sobie w piekarniku.

I kiedy Dorotka jadła podgrzane udko kurczaka pieczonego kupione na Dworcu Głównym, w jednej z tamtejszych budek z gotowymi daniami, myślała o dziadku, babcynych kluskach i małym Jezusku, który tak niedługo ma przyjść znowu na świat. Myślała też o płatkach śniegu, z których każdy jest inny i o tym jak wspaniale byłoby pojeździć na sankach albo polepić bałwanka z marchewkowym nosem. Dziewczynka wstała, zmyła talerz i poszła do pokoju taty, zobaczyć jak sobie radzi wojując z całym światem przez komputer.

Hej tato, jak tam? - Dobrze dziecko, właśnie zaprogramowałem program nowy program psia krew coś się zawiesiło... a co tam u Ciebie stokrotko? - zapytał tata patrząc zamglonym wzrokiem w przestrzeń ogromnego, świeżo kupionego monitora. - Tato, właśnie zaczęła mi się przerwa świąteczna! Może poszlibyśmy na sanki, co? - Dziecko, sanki są zimne. Znaczą się na dworze jest zimno no nie przecież tak nie można i co zaczniesz mi... nie po prostu się zawiesił! I cała praca na nic. O co pytałaś? A o sanki. Przecież mówię ci, że nie. Idź do pokoju, mama kupiła ci gazetkę, poczytaj sobie. No odpal się! Już...

Dorotka spuściwszy głowę powędrowała do swojego pokoju. Jasno błękitna tapeta na ścianie, fioletowa pościel na łóżku i olchowe meble powitały ją, gdy zapaliła światło po wejściu. Na łóżku leżała gazeta „Brawo dziewczyny”,

której Dorotka nie czytała, nie rozumiała bowiem o czym dziewczynki tam pi-
szą. Zamiast tego ubrała się w piżamę, przytuliła swojego Lubisia - pluszowego
misia z jednym uszkiem i zabawnym kubraczkiem w kwiatki po, czym wycią-
gnęła ze swojego plecaka grubą książkę pt. „*Opowieści z Narnii, część I*”. Pogra-
żywszy się w lekturze z czasem usnęła, czytając o tym jak mała Łucja dostała
się przez szafę do śnieżnej krainy. Lubiś zatroskany o nią wyłączył lampkę swą
jednopalczastą łapką.

Dorotka uwielbiała Święta u dziadków. Niestety rodzice odwiedzali ich co-
raz rzadziej, uważając ich za „biednych starzejących się dziwaków”. Dorotka
uważała więc wyraz „dziwacy” za najwspanialsze słowo na świecie, oznaczają-
ce tyle niesamowitych zalet i cnót, że żadne inne słowo ich wyrazić nie mogło.
Wychodzenie na kapciach po gazetę, czytanie głośno starych książek o rycer-
zach i damach w opresji, puszczenie Frazy luzem w lesie, codzienna herbatka
popołudniowa, oswojona wiewiórka przychodząca na balkon i jedząca babci
orzechy z ręki - tyle niesamowitych rzeczy zamykało się w wyrazie „dziwacy”.
Niestety i tym razem to wspaniałe słowo zaważyło nad sytuacją Dorotki.

Był 24 grudnia, poranek. Śnieg padający całą noc całkowicie pokrył Plac
Wejhera, wraz z ulubioną fontanną Dorotki, kościołem Farnym, a nawet całą
Kalwarię. Dziewczynka przez przymarznione okna ozdobione przez zimę w mi-
sterne wzorki oglądała jak opatuleni w ciepłe szale chłopcy i dziewczynki dziel-
nie maszerują w zaspach. Dorotka uwielbiała dźwięk buta wchodzącego z opo-
rem w wały śnieżne. Niestety tego dnia i to nie zostało jej dane. Mama wyszła
z domu dość wcześnie, oznajmiwszy córeczce i mężowi, że broń Boże nie mają
nigdzie wychodzić, zwłaszcza zaś do dziadków, ona zaś idzie dokonać „finali-
zacji sprzedaży dzieła sztuki” komuś bardzo ważnemu. Tata zostawszy sam-
mrugnął okiem do córki. - Co Dorotko, to jak, święty Mikołaj musi jeszcze zro-
bić zakupy nim mama wróci prawda? - tata zawsze kupował świąteczne pre-
zenty w ostatnim momencie, ale mimo to podarki od niego były zabawne i ciekawe.
- Co moja mała dziewczynka chciałaby na Gwiazdkę dostać, co? Książkę,
zabawkę, puzzle hmm? Na pewno zgadnę, znaczy się Mikołaj zgadnie. O tak, on
wszystko widzi i nic nie umknie jego uwadze. To lecę, żeby go jeszcze złapać
i powiedzieć mu, jak bardzo moja mała dziewczynka była grzeczna i zasłużyła
na prezent - mówił nakładając buty i jednocześnie kończąc tosta z miodem.

- To pa pa kochanie, tata będzie niedługo, w każdym razie na tyle niedługo
by odebrać garmaż ze sklepu.

Ojciec pocałował ją w czoło i wyleciał na dwór niczym Piotruś Pan na pod-
bój Nibylandii. Dziewczynka została sama w domu za jedynych towarzyszy
mając miskę z chrupkami kukurydzianymi zalany zimnym mlekiem oraz Lu-
bisia, który patrzył na nią smutno. Dorotka postanowiła poczytać. Właśnie
dziewczynki - Zuzanna i Łucja płakały po lwie Aslanie, myszy zaczęły przegry-

zać sznury, którymi był związany, gdy Dorotkę zmorzył nagle przyjemny sen.

Gdy się zbudziła w jej pokoju było już ciemno. W domu było pusto i cicho, najwyraźniej rodzice jeszcze nie wrócili. Dorotka podeszła do okna w pokoju gościnnym i zatrzymała wzrok na wielkiej zaspie śniegu. Która godzina? Lepiej nie sprawdzać. Lampki na choince wystrojonej w bombki koloru czerwonego idealnie komponujące się z obrusem, nagle same włączyły się. Dorotka mocno zaniepokoiła się. Czyżby zwarcie? Już miała podejść do drzewka, gdy usłyszała znajome szczekanie. Wyjrzała przez okno - stała tam Frazza. Frazza! Pies stał za oknem i merdał wesoło kudłatym ogonem rozpraszając lekko prószący śnieg. Dorotka zastanowiła się chwilę. Może Frazza tym razem szła wyjątkowo niepokojnie i urwała się dziadkowi? A może dziadkowie właśnie stoją pod drzwiami, a ona nie słyszała ich pukania? To by była niespodzianka! Dorotka włożyła na siebie ciepłe palto, czapkę z pomponem, buty zimowe i wyszła przed dom. Frazza przedtem stojąca pod oknem teraz odbiegła w stronę Rynku i nadal szczekała zaczepnie. Na ulicy nie było żywej duszy. Dorotka mocno zaniepokojona zamknęła drzwi w domu na klucz i ruszyła za czarnym, wielkim psem.

Ulica lśniła ozdobiona lampionami i świątecznymi błyskotkami, w oknach z domów po obu stronach dobiegało ciepłe światło, zapewne domownicy siadali właśnie do świątecznej kolacji. W wielu domach przez okno można było zobaczyć wielkie choinki, prawdziwe, z lasu, mieniające się tysiącami barw bombek i światełek. Mama Dorotki co roku stawiała sztuczną, „ze względów pragmatycznych”. Dorotka biegła za Frazzą pomijając wzrokiem wszystkie te wspaniałości. Dobiegła do Rynku. Na placu Jakuba Wejhera jak co roku stała największa choinka w całym Wejherowie. Nad Ratuszem krążył świetlny anioł, zwyczajowo zainstalowany na szczycie budynku. Frazy nie było. Dorotka zwolniła kroku i stanęła przed ratuszem. Zaczęła się rozglądać, wzrokiem szukając psiaka. Coś tu nie grało. Dorotka podeszła do rzeźby Wejhera i już wiedziała, co jest nie tak. Na statule nie stał posąg słynnego założyciela miasta, lecz rzeźba przedstawiająca bardzo wysokiego mężczyznę o dziwnej aparycji. Pan ten był równie wysoki co chudy, na głowie zaś miał śmieszoną czapkę z baranka. Twarz jego była cała pomarszczona, znaczy się tak roześmiana, że pomarszczona, a na dodatek spomiędzy tych zmarszczek wyglądała para figlarnych małych oczu. Mężczyzna lewą ręką podpierał swój bok, w prawej zaś trzymał mnóstwo grubych książek. Dorotce twarz miedzianej statuy bardzo przypominała jakąś inną twarzyczkę, dobrze jej znaną. Nie zmieniało to faktu, że dziewczynka była oburzona. Jak można dopuścić się czegoś takiego? I to jeszcze w Wigilię! A kto by miał tyle siły, by przenieść posąg Jakuba Wejhera? I gdzie go przeniesiono?

Tak rozmyślała Dorotka, gdy nagle stało się coś, co wprawiło ją w jeszcze większe osłupienie niż kradzież pomnika. Miedziany posąg mężczyzny zaczął się powoli poruszać. A może było to złudzenie? Ależ nie! Twarz starszego pana nabrała nagle kolorów, jego czapka okazała się zrobiona z czarnego baranka, a on sam zszedł ze statuy i uklonił się przed Dorotką. Dziewczynka przetarła oczy ze zdziwienia.

- Ju czas krolevjonko? Smrocno tu - powiedział posąg, podczas gdy Dorotka stała oniemiała ze zdziwienia.

- Kto ty jesteś? Czemu stałeś na miejscu naszego pomnika? - zapytała dziewczynka wciąż wielce zdziwiona.

- Ja jem Remus, drech. Ja beł na kalvarijach ve Vejrovje v karnje nobožnich ludzi sem z mjmi pjelgrzimovał po tich przidkijch gorach wod staceji do staceji. Na vjedno sę vroceł do kochanich Kaszub.

Dorotka poza własnym nazwiskiem Drech niewiele zrozumiała, choć pamiętała, że dziadkowie niekiedy rozmawiali ze sobą tym dziwnym, melodyjnym językiem jakim teraz mówił do niej Remus.

- Proszę, ja niewiele rozumiem, chociaż bardzo bym chciała. Czy mówisz choć troszkę po polsku?

Remus zdziwił się, nastroszył swój gęsty zarost na twarzy i powiedział:

- Aliteli jo. Tjochę potjafię. Ale dlaczego moja kjolewianka nie mówi w moim języku?

Dorotka zrozumiała, że jej nowy znajomy, który przed chwilą był rzeźbą zdobiącą rynek Wejherowa nie tylko słabo mówi po polsku, ale też - że ma wadę wymowy.

- Dlaczego tak dziwnie mówisz? Skąd jesteś? Czemu nie siedzisz z rodziną na kolacji Wigilijnej? - zapytała podejrzliwie Dorotka.

- Ja mówię jak potjafię, move nje wużiczeł Pan Bog litoscevi. Jestem od Zabłockiego na Lipskijch Pustkach. Tam pjacowałem, ale potem gdzim nie był! W Strzeczcu, Mjirachovskijim lese, wod Borzestova do Mjechucena, w Łeb-skijch Błotach, Kóscerznje... Wsządzie! A teraz jestem znowu na kalwarijskich gorach! Z rodziną a jakże - moją kjolewianką!

Dorotka nie rozumiała. Tak, wiedziała oczywiście o Kalwarii, na którą w ciepłe letnie dni chodziła z dziadkami. Brała też chętnie udział w Odpuszcie Wniebowstąpienia Pańskiego. Jednak przedziwna mowa Remusa, na wpół przez nią zrozumiała wzbudziła w niej niepokój. Poza tym było zimno, i mimo, że nieczęsto rozmawia się z posągami, mogła zachorować i na tym skończyłaby się jej przygoda. Remus tymczasem patrzył na nią, a zza jego pomarszczonej twarzy wyglądała para przenikliwych, mądrych brązowych oczu.

- Boisz się? Wyzdźej wkole, dze się, tejaz jesteśmyn - powiedział do niej. I w tej chwili Dorotka obejrzała się za siebie.

Wejherowo doskonale dziewczynce znane zniknęło. Znikł aniołek z wieży ratuszowej, znikło przepiękne srebrne drzewo mieniące się lampkami, znikła nawet niezwykła coroczna szopka umieszczana przy kościele Farnym. Wszystko stało się nowe i stare zarazem. Ratusz za dziewczynką był jakby ze starszej zabudowy, otaczały go mniejsze domki, zupełnie inne, niż te, które tu pamiętała. W północnej części Rynku znajdowały się kamieniczki już dziewczynce nie znane. Kościół Farny właśnie przebudowywano. Dorotka przetarła oczy ze zdumienia. Zaśnieżonym, brukowanym rynkiem przejeżdżała właśnie najprawdziwsza bryczka! A w bryczce oczywiście - woźnica. Remus skinął ręką w stronę jadącego i powóz konny zatrzymał się.

- Skokaj, moja kjolewianko! - wykrzyknął i wepchnął dziewczynkę do bryczki.

Ruszyli, za oknami mając stare Wejherowo z początku minionego wieku, jakiego Dorotka nigdy na oczy nie widziała. A Remus zaczął swoją opowieść. Opowiadał Dorotce o tym, jak kiedyś, kiedy był jeszcze mały, przed nim stanęło zadanie „przeniesć krolewjonkę przez głęboką wodę” i “webawjic zapadli zomk”. I o tym, jak tu niedaleko, w Mirachowskich Lasach spotkał stolemy, o kamieniach diabelskich i pielgrzymce do Wejherowa, i o tym, jak zgodził się podczas jednej z pielgrzymek ofiarować swemu ludowi swoje życie i światło... A Dorotce przed oczami migał Bank Kaszubski, spółdzielnia “Kupiec”, “Hotel Prusińskiego” i budynek “Gazety Wejherowskiej” i cegielnie, młyny, drukarnie, fabryki tytoniu... A wszystko wokół było nieznane, i nim dziewczynka zdołała powiedzieć, by woźnica się zatrzymał - już krajobraz się zmieniał, obrazując co chwila nowy budynek, miejsce, park, którego Dorotka wcześniej nie widziała. Jednocześnie migające obrazy śmigały równie prędko co historia Remusa, a światło latarni (z końca XIX wieku!) raz padało, raz nie na twarz towarzysza wyprawy, tak, że Dorotka sama już nie wiedziała, czy jedzie z sędziwym starcem czy z młodzieńcem. Bryczka w końcu się zatrzymała.

Remus i Dorotka wysiedli przed Parkiem Aleksandra Majkowskiego. Dziewczynka nie mogła wierzyć własnym oczom - tak, przed jej oczami znajdował się park, ale jakiś inny. Drzewa i klomby nie były tak liczne, rozmieszczone rzadziej, niższe niż do tej pory. Samo Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki - no cóż... Wyglądem niewiele się różniło od tego, które Dorotka doskonale знаła.

- Idziemy do Muzeum Piśmiennictwa? - zainteresowała się dziewczynka.- Muzeum? Jakie muzeum? Poedzem do Pałacu Keyserlingków!

I ruszyli w stronę Pałacu brodząc po kolana w zaspie śnieżnej. Było już zupełnie ciemno, Dorotka zaczęła nawet martwić się o swoich rodziców, którzy zapewne zauważyli zniknięcie dziewczynki i powinni bardzo się niepokoić.

Weszli po schodach, zupełnie takich jakie znała Dorotka a Remus otworzył wielkie drzwi. Drzwi rozwarły się i oczom dziewczynki ukazał się doskonale znany przestronny hol. Jednak coś było inaczej - na ścianach wisały poupinane

jasno-błękitne płachty lekkiego materiału. Po prawej stronie od drzwi wejściowych znajdowała się mała, przystrojona w złocie, błękicie i czerwieni choinka. Remus szedł dalej, za nim zaś maszerowała Dorotka. Kolejno weszli do sali doskonale Dorotce znanej, Sali Zielonych Liści jak ją nazwała. Zielone liście faktycznie zdobiły wszystkie ściany pokoju, znakomicie pasując do głęboko turkusowego koloru obrusu, znajdującego się na małym, okrągłym stole. Dorotce przyszło do głowy, że pokój ten chyba jest pomieszczeniem jakiejś dziewczynki lub małej kobietki - drobna drewniana toaletka znajdowała się w lewym koncie pokoju, na kanapie leżały rozrzucone książki a obok nich drzemał sobie mały rudo-biały szczeniaczek. Dorotka już chciała podejść i zaprzyjaźnić się ze zwierzątkiem, gdy Remus chwycił ją za rękę i zaprowadził do następnego pomieszczenia - pokoju gościnnego.

Dziewczynka przetarła oczy ze zdumienia. Po lewej stronie w starodawnym piecu skwierczało od płonącego wewnątrz ognia. Po prawej stronie stała olbrzymia choinka, najprawdziwsza, z całym mnóstwem świeczek umieszczonych we flakonach, z setkami, nie - tysiącami bombek, z których każda była inna. To Święty Mikołaj, to choinka, to wróżka, to chochlik, to znów sopele lodowe czy okrągłe bombki w najpiękniejsze na świecie wzory. Pod choinką znajdowały się misternie pakowane prezenty w wielkich, kwadratowych, prostokątnych i okrągłych paczkach. Dorotka nie posiadała się z radości i zdumienia, tymczasem Remus podszedł do niej i powiedział:

- Kiedyś sobiem pomyślał: Kjej v tobje zapoleła moc Bosko volę vebavjenjo zaklętego zomku, czimuž ta sama moc nji mo ji zapolic v lnjannovłosich głovach tich, co jesh dziecinnimi nožkoma bjegają po svjece?- schylił się, uśmiechnął swoją pomarszczoną twarz i powiedział: Bąc moją krolevianką.

W tej chwili światła na choince zaczęły wirować, zegar na kominku zadzwonił a Dorotka poczuła, że unosi się w powietrzu wyżej i wyżej... potem zapadła w ciemność.

Zaczęła się wybudzać i od razu poczuła silny zapach zupy grzybowej. Pomyślała o piecu w sali i o tym, że może właśnie przyjdzie jej zjeść posiłek w towarzystwie Remusa. Otworzyła oczy. Dorotka była w swoim pokoju! W pomieszczeniu było ciemno, jednak na korytarzu i w kuchni paliło się światło. Dziewczynka wstała i podbiegła do pokoju rodziców.

- Remus? Remus jesteś tu? - zaczęła nawoływać. Weszła do pomieszczenia i zobaczyła nie Remusa, lecz... dziadków! Dziadek ubrany w swój wizytowy sweter uroczyście stał z opłatkiem przy choince, a babcia właśnie wchodziła do pokoju niosąc olbrzymi półmisek gorących pierogów z kapustą i grzybami polanymi masłem.

- Dziadku? Babciu? Co wy tu robicie? - wykrzyknęła uradowana Dorotka na moment zapominając o całej niezwyklej przygodzie z Remusem.

- Twój tata nas zaprosił dziecinko. To miała być taka miła niespodzianka. Spałaś tak słodko, że nie chcieliśmy cię budzić - powiedziała babcia kładąc półmisek na stole wigilijnym.

Mama weszła odświętnie ubrana w swoją czerwoną, długą suknię, pogłaskała Dorotkę po głowie i zastanawiała się, czemu dziewczynka jest tak rozgrzana. Uśmiechnęła się też tajemniczo i powiedziała, że teraz będzie miała lepszą pracę. Wszyscy czekali na tatę, który się spóźniał jak zawsze. Dorotka postanowiła wykorzystać moment, by opowiedzieć historię, jaką przeżyła, gdy ruszyła za Frazę, potem o Remusie i o dziwnym wystroju muzeum, które kiedyś nie było muzeum. W tym momencie wszedł przez drzwi opatulony tata, trzymając w rękach stertę prezentów.

- Wiecie co - powiedział - ktoś zrobił numer i umieścił na głowie naszego Wejhera na Rynku czapkę z czarnego baranka. No nic będzie miał ciepło w Wigilię... O Dorotko weź przytrzymaj ten podarek, o tak, bo już leci... no właśnie - ojciec chaotycznie rozrzucił podarki, gdy babcia uroczyście zaprosiła wszystkich na kolację.

Kolacja była przepyszna i zupełnie inna niż to sobie wyobrażała Dorotka. Dziadek przeczytał fragment Nowego Testamentu o narodzinach Jezusa. Potem wszyscy połamali się opłatkiem. Dziewczynka dodatkowo poczęstowała opłatkiem Frazę, która tego dnia wpatrywała się w nią szczególnie mocno. Potem były babcine specjały - barszcz z kołdunami, zupa grzybowa, ryby, pierogi i ulubiona sałatka Dorotki. Na deser babcia sporządziła kutię, a mama zrobiła samodzielnie, co wprawiło dziewczynkę w stan absolutnego osłupienia, piernika. Nagle Dorotka uświadomiła sobie, że być może mówienie w takim czasie o wielkiej podróży konną bryczką, oglądaniu Wejherowa z końca XIX a może i początku XX wieku i poznaniu niezwyklej postaci Remusa musi zostać odstawione na później.

Przyszedł czas otwierania prezentów. Mama uroczyście rozpoczęła obrzęd, wyciągając spod choinki paczki. Po chwili tata siedział już w nowym, błękitnym swetrze, mama miała na szyi piękne, perłowe korale, dziadek trzymał pod ręką nową książkę opowiadającą o królu Arturze, babcia zaś oglądała przepiękne drewniane puzderko. Ostatnia swe prezenty otrzymała Dorotka. Dziewczynka powoli otwierała zapakowany w grube papiery prezent, spodziewając się po raz kolejny sukienki. Dorotka rozerwała w końcu resztki papieru i osłupiała. Były to trzy tomy książki Aleksandra Majkowskiego „*Życie i przygody Remusa*”.

Co kochanie, znasz tą książkę? - zapytała babcia.

Dorotka potrafiła tylko pokiwać głową. Nagle kątem oka zauważyła twarz dziadka, która uśmiechała się w dziwnie znajomy sposób. Dziadek puścił oczko dziewczynce, ta zaś uśmiechnęła się szeroko.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi. Tata wstał, krzyknął, że „on idzie” i potykając się o dywan ruszył w stronę drzwi. Po chwili wrócił trzymając na rękach maleńką, biało-rudą kulkę.

- To chyba dla ciebie Dorotko - powiedział wręczając jej podarek.

Dorotka dostała maleńkiego pieska, takiego samego jakiego jeszcze dziś widziała, gdy leżał na kanapie w pałacu Keyserlingów! Maleństwo przeciągnęło się powoli i wtuliło głowę w sukienkę małej pani.

- Jak go nazwiesz kochanie? - zapytała mama.

- Nazwę go Remus - odpowiedziała spokojnie Dorotka.

Wanda Ditrich

Wyróżnienie w kategorii dorosłych

Dotrzeć do przystani

Kolejką i piechotą

Wysiadam z kolejki z bólem kręgosłupa. Jakiś nawiedzony „dizajner” zaprojektował ławki z oparciami wygiętych wprost przeciwnie do kształtu kręgosłupa przeciętnego człowieka: oby dostał dożywocie i siedział na takiej ławce w ciemnicy. Schodzę do tunelu - jadownicie szafirowa poręcz nie zachęca do przytrzymania się. Powiedziano mi, że w kierunku starego miasta mam zmierzać po kolorowych kafelkach: faktycznie, spod warstwy brudu coś tam kolorowego wyziera. Nic nowego - polski dworzec.

Najlepsza informacja- taksówkarze. Stoją w grupce i bardzo uprzejmie informują mnie, jak iść. A zatem prosto, ulicą Dworcową (jakżeby inaczej!) do głównej, w prawo, do świateł. „Coś takiego - myślę - a więc mają tu główną ulicę i nawet światła!” Zapatrzona na jakiś ponury budynek z dumnym napisem Centrum Kultury wchodzę na jezdnię i stwierdzam, że oto stoję na pasach a po obu stronach samochody zatrzymały się i że przechodzę tylko ja, i jeszcze jakaś młoda osoba i że te samochody nie zatrzymały się gwałtownie, ale spokojnie z widocznym zamiarem przepuszczenia nas. „No, no” - pomyślałam.

Dochodzę do skrzyżowania. Faktycznie. Mają tu światła.

Wróble w krzaku

Ulica jest czysta i spokojna, domy niewysokie, przestrzenie między nimi zagospodarowane. Nie potrafię jednak wykrzesać z siebie niczego, poza jakąś po-

błażliwą wyższością: przecież to nie Trójmiasto, nie moja ulica, nie moje osiedle. Z zakątka świadomości odzywa się głos: ale podjęłaś decyzję. Podjęłam? Los wymusił. Wymusił, bo moje dotychczasowe mieszkanie za wielkie i za drogie. Bo po kilku miesiącach poszukiwań niczego odpowiedniego nie ma dla mnie w całym Trójmieście. Nie ma DLA MNIE! Użałam się, wobec tego na wszelki wypadek wszyscy są winni temu. Jednocześnie jest we mnie zarozumiałstwo paniusi z wielkiej aglomeracji, która łaskawie zamieszka w tym, pożał się Boże, powiatowym miasteczku.

I nagle dociera do mnie głośnie ćwierkanie wróble. A więc są jeszcze miasta, w których mieszkają wróble? Wśród idealnie przyciętych żywopłotów rosną ostrzyżone w kule krzewy, a wśród nich całe rodziny - nie, całe klany wróble i wydaje się, że to ten krzak szeleści i ćwierka, coś tam po wróblemu oznajmiając światu. „Może nie będzie tak źle”, myślę łaskawie.

Okno pełne nieba

Mieszkanie zaniedbane straszliwie, ale w wyobraźni widzę już tą bombonierkę, w którą je przerobię. Balkonu nie ma, ale za to okno na całą ścianę. A za oknem....widzę tylko spadziste dachy poprzetykane czubkami drzew i jakąś samotną, zielonkawą wieżyczkę. Żadnej betonowej ściany, żadnych na wyciągnięcie ręki cudzych okien, tylko te dachy i drzewa i niebo, do którego nie trzeba się wychylać by ujrzeć choć skraweczek, ale które pcha się wprost do tego mieszkania i czyni je tak jasnym. Co tu dużo mówić, podoba mi się jak nie wiem co. A tu grom z jasnego (właśnie) nieba!

Bo się okazuje, że właściciele, choć im się bardzo spieszy do sprzedaży, to nie do mnie akurat i że ja, jako kupiec tego mieszkania nikomu nie czynię łaski, bo kandydatów na nabycie jest jeszcze paru. Mam poczekać tydzień - dwa. Obiecują, zadzwonią... No, to mam za swoje. Ale jeszcze nie spuszcza z tonu, choć ten to jakby nieco ciszej mi zabrzmiał.

Rozmyślania nad filiżanką

W kawiarni jestem jedynym gościem. Lokal przytulny, urządzone z gustem: malutkie stoliczki, wygodne fotele, lampki z przytłumionym światłem. Kawa podana jak należy, drożdżówka świeżutka. Ale nie wróżę dobrze temu lokelowi: drzwi wychodzące z narożnika w kierunku północno-wschodnim... kto nie chce, niech nie wierzy, jednak w tym feng-shui kryją się tajemnice wieloletniej tradycji. No i te drewniane stoły i ławy w ogródku jako żywo kojarzą się ze świętem piwa a nie z miłą kawiarnią.

Narazie jednak siedzę w ciszy i tak pogwarzam sobie ze swoim losem: na ogół na Ciebie nie narzekam. Wręcz przeciwnie, przeważnie, wychodzę z zawziętości życiowych obronną ręką, zatem raczej mam dla Ciebie uczucia wdzięczności. Nigdy też od Ciebie zbyt wiele nie oczekiwałam, spraw więc teraz, żeby tych

wszystkich kupców... no nie, za ostro. Więc może raczej tak: spraw, aby to mieszkanie nikomu się nie podobało, żeby się nikomu nie pomieściły te wszystkie regały, bo przecież każdy jakiś regał ma, a ja właśnie nie mam. I spraw, żebym mogła sobie patrzeć przez to okno.

Wysłałam z kawiarni z zamiarem obejrzenia miasta, bo kielkuje we mnie jakaś nieśmiała myśl, że może jednak to miasto nie jest jakieś takie niegodne mojej osoby, może jest - poza tym ładnym mieszkaniem - miastem, do którego będę mogła przynajmniej przywyknąć, skoro o polubieniu go narazie nie myślę. Idę sobie niespiesznie, zatrzymuję się na skrzyżowaniu i nagle zdaję sobie sprawę, że na tym skrzyżowaniu, gdzie ulice biegną w cztery strony, nie ma wiatru. Że ja już trzeci raz tego dnia idę różnymi ulicami, kapelusz tkwi na głowie, a ja tego kapelusza NIE MUSZĘ BEZ PRZERWY TRZYMAĆ jedną ręką i, że jeżeli tu zamieszkałam, w tym mieście, to sobie będę chodzić w kapeluszu nawet w tym z większym rondem, tym moim ulubionym, który zakładałam tylko czasem w wyjątkowo bezwietrzny dzień. I kiedy wracam kolejką znowu siedząc na tej koszarnej plastikowej ławce, to jakoś jakby mniej ugniata mnie w plecy.

No, to się wprowadziłam. Mam już za sobą cały szereg urzędowych przerosin i dziwię się każdego dnia: bo jeżeli nawet w ZUS-ie i Urzędzie Skarbowym są uprzejme urzędniczki, to jest to doprawdy jakieś niedzisiejsze miasto. Paniienka wręczająca mi nowy dowód osobisty jest wręcz zachwycona faktem, że staję się pełnoprawną obywatelką miasta i życzy mi wszystkiego dobrego „na nowej drodze życia”. Pracowników, którzy mają mi remontować mieszkanie umawiam na jeden i ten sam dzień będąc głęboko przekonaną, że z pewnością będą zjawiać się w ciągu kilku dni i to po wielu monitach. No i narobiłam sobie.

Za pięć ósma trzech chłopaków wnosi moje nowe, gigantyczne okno i poza zdawkowym „dzień dobry” w całkowitym milczeniu i w zawrotnym tempie robią, co do nich należy. Po paru minutach przychodzi elegancki pan w garniturze i krawacie i powiada, że zostawiłam mu wiadomość na sekretarce, więc teraz sobie obejrzy, co jest do malowania.

Dobrze. Hydraulik będzie za tydzień albo i nie. Hydraulicy są przysłowio- wi, wszyscy Polacy pamiętają, co na ten temat mówił Jan Kobuszewski. Więc kiedy dziesięć po ósmej przychodzi i przeprasza, że się o te dziesięć minut spóźnił, że tu obok miał zlecenie, idzie do łazienki jakby był u siebie i za chwilę powiada, że jutro po pracy zabierze mnie swoim samochodem do sklepu i doradzi, co kupić oraz przeprasza, ale będzie pracował po godzinach, bo musi być w swoim zakładzie, wiedziałam. To nie może być hydraulik. Jutro wywiezie mnie do lasu i zamorduje.

Wielkie małe sprawy

Wciąż jeszcze nie jestem „u siebie”, choć czuję, że żyje mi się tu spokojniej i bezpieczniej. Nikt tu nie demonstruje, nie maszeruje w zbiorowych protestach,

nie pali opon, a przecież różne się sprawy dzieją, jak to w stolicy, wprawdzie powiatu, ale jednak.

I jakież to sprawy? Czy nowa restauracja na głównym placu miejskim plac ten „zawłaszczy tak, że już nie będzie gdzie posiedzieć” - słyszę od jednej pani, a od drugiej - „noszą się, proszę ja kogo z tym czołgiem, jak by od tego kogoś życie zależało”. Coś takiego, ale mają tu... czemu ten parking jest tu, a nie tam? I co to się wogóle buduje i dla kogo i wogóle po co?

Jednak przychodzi dzień, kiedy „mają tu” zamieniam na „mamy”. Dzień, kiedy odnajduję pałac i widzę jego zachwycające wnętrza i kiedy w jednej chwili dociera do mnie świadomość, że rycersko-królewska historia tego miasta jest znaczącym fragmentem historii mojego państwa i że ulica główna to nie jakaś tam główna, ale królewski trakt. Niby małe sprawy. A stają się wielkie, bo obchodzą prawie KAŻDEGO. Tu mieszkańcy wiedzą o wszystkim, ich to obchodzi. Tu nie ma spraw anonimowych. I dlatego te małe sprawy są wielkie.

Idę sobie więc tym królewskim traktem a wzrok prześlizguje się po fasadach domów. Mają po sto i więcej lat i rzadko gdzie jeszcze mogą być wizytówką polskich miast tyle razy burzonych i odbudowywanych. A tu - proszę: kto dziś stawia na budynku attykę albo wieżyczkę? kto zawiesza kwietne girlandy, kolumienki, kto zdobi fasadę maskaronami, kto dziś rzeźbi futryny drzwi i okien? Gdzie znaleźć balkony z balustradami w kwiaty i bluszcze kute z taką precyzją? Jakoś nie potrafię pomyśleć „coś takiego, mają tu nawet”, bo ta architektura i ci ludzie, którzy potrafili tak pięknie budować zasługują na nabożny podziw.

A któregoś dnia, pośród tych staroci, tych pięknych stuletnich murów zaroiło się od dzieciaków jednolicie na biało-granatowo poubieranych. Wiedziałam, że jest tu sporo szkół, ale ten wysyp przeszedł wszelkie oczekiwania. Obsiedli wszystkie kawiarniane stoliki, ławki na rynku i w parku, schodki pod Wejherem i wokół fontanny i wcale nie wyglądali na takich, którzy cierpią z powodu niemal jednolitego ubioru na pozbawionych „wolności osobistej”. „Coś takiego! Mały, polski Oxford” - pomyślałam. Z podziwem. Nie z niechęcią.

Koncert na wszystkie głosy

Wychodzimy z kolegiaty, późny wieczór wydaje się być bardziej jeszcze cichy po tym koncercie. Ulice wokół wchłaniają swoich mieszkańców, idziemy nieśpiesznie, wreszcie, po pożegnaniach przemierzam sama ostatnie metry. Co za koncert, co za akustyka. Co za dyrygent, który po wszystkim odwraca się i dyryguje nami a my i ta wspaniała orkiestra razem, czysto, równo, potężnie. Są tu wszyscy: od notabli po zwykłych, najzwyklejszych. Znają się na muzyce i jeżeli ktoś zaklaskał nie w porę, to natychmiast - zażenowany - przestawał uciszony syknięciem znawców.

Kamery, reporterzy, zdjęcia, kwiaty, przemówienia - no, po prostu święto. Święto muzyki. Nigdy czegoś takiego nią przeżyłam, nigdy na żadnej sali koncertowej nie dzieją się takie rzeczy, chyba że jakiś benefis czy premiera. A tu po prostu koncert. I ta orkiestra: nie gra dla „jakiegoś Prowincjonalnego Miasteczka”. Gra tak, jak zawsze: pięknie i profesjonalnie. Z najwyższym szacunkiem dla słuchaczy i dla dzieła. A skoro tak, to dlaczego ja - jedna z tych właśnie „najzwyklejszych” uważałam że jest to „jakieś tam miasteczko”?

I w ogóle, jak i kiedy to się stało, że zmieniałam „mają tu nawet” na MAMY TU? Jakie to małe sprawy tak mnie odmieniły - napotykanie na drodze tych kilkunastu miesięcy - czy to drobne troski tego miasta, czy solidni i uczciwi ludzie, ich serdeczność, ich zaakceptowanie mnie, czy w końcu te wróble, które z innych miast uciekają a tu znajdują bezpieczne gniazda?

I wreszcie może to jednak ja zaakceptowałam to miasto czy może raczej ono mnie przygarnęło i dało poczucie spokoju i bezpieczeństwa? I czy w innym mieście mogło by mi się to, właśnie to, przydarzyć?

Jestem pewna, że nie. Tylko tu. Tylko w TYM mieście.

Bogusława Zubrzycka

Wyróżnienie w kategorii dorosłych

Zawieruszony szept przeszłości

Mijałam ich. Przemykałam slalomem pomiędzy tyczkami z krwi i kości. Bo tylko tyle z nich było. Bo to jedyny budulec ich postaci. Żadnej głębi, żadnej duchowości. Landrynkowe panienki, brylantynowi chłopcy. Uciekałam. Uciekałam przed nimi do mojego azylu. Oazy spokoju, wytchnienia. Chciałam jak najszybciej znaleźć się na moim piedestale. Na moim ryneczku. Gdzie szczęśliwi rodzice wraz ze swoimi szczęśliwymi dziećmi karmią szczęśliwe gołębie, które szczęśliwie zostawiają swoje szczęśliwe odchody na moich ramionach. Na mojej zatroskanej głowie. Szczęśliwe psy, szczęśliwie szczekają spacerując ze swoimi opiekunami, którzy z uśmiechem malowanym na twarzy usuwają z bruku pozostawiane przez czworonogi gówienka. Pod parasolami zakochani popijając kawę i karmiąc się wzajemnie plackiem cynamonowym patrzą sobie głęboko w oczy i obsypują delikatnymi pocałunkami. Grupy młodych ludzi sącząc

chmielowy napój toczą ciekawe dyskusje, a staruszkowie na utrzymanych w starym stylu ławeczkach upajają swoje zmęczone twarze delikatnym muskaniem promieni słońca. Wszyscy są tacy szczęśliwi. Śmieją się. Są mili dla siebie nawzajem. Proszę, dziękuję, dzień dobry, dowidzenia przeplata się z chichotem biegających szkrabów. Uwielbiam to. Jestem wtedy razem z nimi szczęśliwy. Choć to tylko obłuda, choć to fatamorgana. Zapominam wtedy o wszystkim. Tak jak oni. Oddaje się tej atmosferze, oddaje się nastrojowi. Smutne to...

Bo ja wiem jak jest naprawdę. Bo znam tę schizofreniczną rzeczywistość. Tak, tak. Jako strażnik mego miasta. Jako wódz grodu z gryfem w herbie mam obowiązek pod niewidzialnym płaszczem przechadzać się po wąskich uliczkach, nowych osiedlach, parkach, klubach, restauracjach, kalwarii. Właściwie to bywać we wszystkich, nawet tych najbardziej skrytych zakamarkach mojego ukochanego Wejherowa. Obserwuję wtedy, nie raz zaskoczony, innym razem przerażony jak dziś gdy czmychałem zalanymi deszczem uliczkami by oderwać się od tego co widzę, tego co czuje. By uciec na moje stałe miejsce gdzie stoję i kontempluję często uśmiechnięty. Staram się zapomnieć o tym co zobaczyłem...

Był piękny lipcowy poranek. Postanowiłem, że nie ma co siedzieć w tej kamiennej, martwej postaci i powędrowałem tam gdzie mnie nogi poniosą. Mijałem przechodniów, którzy z pośpiechem kierowali się do pracy, do swoich obowiązków. Jacyś tacy nieobecni. Nikt nawet nie podniósł głowy i nie zatrzymał się choć na sekundę by docenić dar Stwórcy. A było co doceniać. Niebo było przecudne. Na chabrowym kobiercu spowitym puszystymi, leniwie wędrującymi obłokami swoje trele urządzały przeróżne ptaki. Wyłaniające się ze zmiernych nie wiadomo dokąd owieczek delikatnie lecz jakże uroczo świetliste ciepło pieściło swymi ramionami wszystkich i wszystko co tylko dane było mu dotknąć. Nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale znalazłem się przed wspaniałym pałacem moich starych, dobrych, wyzbytych materii znajomych. Familii Przebendowskich. Rozpostarł się przede mną przecudny, przewspaniały widok. Wielobarwny dywan utkany z oddających swą słodką woń kwiatów zapraszał do siebie wszelkiego rodzaju motyle, które przy akompaniamencie przeróżnych bzyków tańczyły, co jakiś czas przysiadając na płatkach i łapiąc oddech przed kolejnymi płasami.

Jakiś przygarbiony staruszek spacerował różaną aleją zatrzymując się co chwila by z szelmowskim uśmiechem zawracać swoją wysłużoną już trzecią nogą próbując przedostać się na drugą stronę ślimaki. Zainteresował mnie ów człowiek. Poczciwa twarz, na której zapisane było pewnie jakieś osiemdziesiąt lat życia. Zmęczona, jednakże bijąca jakimś wewnętrznym ciepłem. Dobrocią. Po chwili przysiadł na drewnianej ławeczce. Rozpiął mleczno czekoladową, sztruksową marynarkę, wyciągnął z niej niewielką płócienną chustkę i ocierając zroszone czoło wzdychał ciężko próbując uspokoić galopujący oddech. Za-

raz potem schował chustkę na powrót do prawej kieszeni i z przeciwległej wydobył ciut mniejszy kawałek szmatki. Zdjął z nosa podstarzałe okulary i trzymając je w lewej dłoni rozpoczął rytualne zdawałoby się czyszczenie szkieł. Pięć razy w lewo, chuchnięcie by zaparowały, pięć razy w prawo, chuchnięcie, trzy razy w lewo, trzy razy w prawo. Rzut okiem pod słońce po czym ponownie trzy płynne ruchy nadgarstka w lewo i prawo. Binokle na powrót zawisły na szpakowatym nosie i płótno powędrowało po omacku za podszewkę okrycia. Wtem, przy wysuwaniu już drgającej lekko dłoni coś wypadło z pod marynarki i niczym liść leniwie opadło na zielony kobierzec. Staruszek natychmiast zerwał się z siedzenia. W mgnieniu oka chwycił kawałek papieru i równie prędko zajął powrotem miejsce na ławce. Wglądało to tak, jakby za pomocą czarodziej-skiej różdżki odjęto mu jakieś trzydzieści lat. Ruchy pełne zdenerwowania, szybkie, zadziwiająco zwinne powoli zamieniały się w te starcze z przed chwili. Mężczyzna ścisnął mocno w dłoniach starą fotografię. Baczenie się w nią wpa-trywał, a jego kąciki ust drgały próbując zarysować coś, co można by nazwać uśmiechem. Z czasem kąciki skierowane już do nieba wskazywały na oczy, w których było coś co dane jest posiadać tylko nielicznym z nielicznych. Widy-wałem już ten błysk, ten bijący blask, to zawieszzone spojrzenie. Jako postać nie-materialnie stąpająca po świecie mogę więcej aniżeli śmiertelnicy. Potrafię we-drzeć się w ludzki umysł i odczytywać myśli niczym obrazki z bogato ilustro-wanej książki.

.....

Dziwne. Co najmniej dziwne. Zdawało by się całkiem nie do ogarnięcia. A jed-nak. JA. Niczym w „Krzyku” Muncha...

Zagubiony, nie potrafiący przyswoić rzeczywistości otaczającej zdawałoby się w tej chwili mą malutką, mizernie wątłą postać. Próbuję rozprawić się z myślami, które nie nazbyt kolorowe, ba... najszarsze z szarych szarości.

Przygniatają. Przygnębiają.

A co najgorsze w tej mózgowej sieczce odkrywają nowego mnie. Nieporadnego. Pierwszy raz nie potrafiącego wyprzedzić czegokolwiek co ma się wydarzyć, bez scenariusza na następne godziny. Żle mi.

Żle z tym co dookoła. Żle z samym sobą. A właściwie to jakby z karykaturą mnie. Tego nie było nigdy wcześniej. Nie było.

A miało być tak pięknie ...

Bo to mój dom. Od pokoleń bezpieczna przystań. Ale nie tym razem. Za ścianą intruz. Zło.

On. Król. Cham. KRÓL CHAMÓW...

Prosty i głośny niczym targowisko w godzinach szczytu. Brrrrr... Dreszcze zmie-niają tor zimnego potu budząc grymas niezadowolenia na spierzchniętych, po-pękanych ustach.

A teraz. Intruz. Ja. Obcy. Wyrzutek. Chcę uciec. Daleko. Zaszyć się gdzieś w wyimaginowanej krainie. Moim świecie. Innym świecie. Zamykam oczy. Zamykam uszy. Chcę być Tam, tam gdzie zawsze uciekam gdy jest mi zimno. I żaden gruby pled wtedy nie pomaga, żaden gruby wełniany sweter, żaden kubek gorącego kakao. Nawet gdybym wskoczył do rozgrzanego hutniczego pieca też by nie pomogło. Bo to zimno pod skórą, a właściwie pod wszystkimi organami. Ono w głębi się kryje niezmierzonej. I ja uciekam niczym wypłoszone zwierze. A teraz nic. Dupa. Nie można uciec. Nie można ciałem być tu, a całą resztą tam.

Co się stało? Dlaczego?

Nie chcę tak, a to się dzieje. Czy poznam kiedyś odpowiedź? Czy poznam kiedyś tego, który we mnie, a którego dotąd nie znałem? Czy skończą się kiedyś pytania? Przy boku Ona.

Ukołysane powieki opatulają rzęsami górną część policzków. Oddech cichutko szemra kołysankę. Jest spokojna. Śpi, niczego nieświadoma. Piers podnosi się i opada miarowo. Dłonie jej złożone na moim udzie. Przebudziła się. Nie. To tylko uśmiech delikatnie pojawił się na jej twarzy. Śni. Co śni? Nie wiem. Ale jest chyba szczęśliwa. O tak, na pewno jest tam teraz szczęśliwa. Kąciki ust skierowane w stronę słońca. Znam to. Znam to dokładnie. Kiedyś zawsze tak było, a teraz... Ogniste, puszyste, pachnące dymem włosy oddające jej wrodzoną dzikość i szaleństwo, sprawiają że głowa spoczywa na jeszcze mniejszym puchu.

Jest Piękna... Kocham ją... Delikatna...

A jednak się boję. Nie jestem szczęśliwy. Umarło coś i coś się narodziło. Wtedy gdy brał Ją. Krzyczała, wierzgała, szarpała się, gryzła. Nawet gdy uderzył Ją kilka razy nie dawała za wygraną mimo, iż nieprzytomna prawie. A ja zakuty w kajdany, przytwierdzony do ściany musiałem na to patrzeć. Nie mogłem nic zrobić. Przeguby poranione do kości od prób wyrwania się... Nic nie mogłem zrobić.

Nie chcę o tym myśleć...

Boże pozwól mi. Nie! Pozwól jej, tej przecudnej, przedobrej istocie wymazać to wszystko w pamięci. Mnie nie. Ja muszę pamiętać. Muszę. Bo dzisiaj ta noc. Dzisiaj musimy uwolnić się od tego szatana, który na ten czas przybrał postać tego pierdolonego szwaba.

Jest noc. Skurwiel nieprzytomnie śpi po tym jak opróżnił pół gąsiora bimbru. Nie wie o niczym, niczego się nie spodziewa. Dwa miesiące to przygotowywałem. Dwa najdłuższe w moim życiu miesiące. Hak zamocowany do ściany, luźny. Wyjmuję go. Cichutko. Ona musi spać. Nie może nic teraz wiedzieć. Nie może się obudzić. Łańcuch brzęczy. Zdejmę koszulę, a raczej te skrawki materiału, które po niej pozostały. Owinę metal. O już. Idę.

Za zasłoniętą kotarą nie było już nic, a może NIC było za zasłoniętą kotarą. Lecz czym jest owo NIC? Kotara przesłaniała całego mnie. A może było tam coś

czego nie widzę? Bo czy NIC to JA? Czy ja to nic? Myśli kotłują mi się w głowie.

Jestem. Półmrok. Na stole obok ćwiartki bochenka chleba leży on - w tej chwili mój najlepszy przyjaciel. Mocna drewniana rękojeść zdobiona wypaloną swastyką i wysłużone porzewiałe z lekka, ostre ostrze zakończone uszczerbionym końcem. Złapałem mocnym uściskiem mego zbawcę jak mi się zdawało i rozejrzałem się dokładnie po izbie. W prawym rogu spał. Z pod poduszki wystawała lufa pistoletu, nie dało by się go wyjąć bez przesunięcia tego opastego, obleśnego ciała. A wtedy by się na pewno obudził.

Podchodzę cichuteńko do niegdyś mego łóżka. Pamiętam jakie jest wygodne. Jak gdy byłem jeszcze dzieckiem mama przysiadła na jego skraj i opowiadała mi najbardziej niewyobrażalne historie. Opowiadała o smokach, księżniczkach i królach, o przepięknych pałacach i chatkach czarownic. O zwierzętach które mówiły ludzkim głosem. Uśmiechałem się wtedy szeroko, a ona przytulała i całowała mnie na dobranoc.

A teraz? Teraz na tym magicznym meblu śpi on, ten śmieć, ten nieludź. Śpi spokojnie. Niczego się nie spodziewa. Z ust wydobywa się smród trawionego alkoholu. I stoję tak nad nim, czas zatrzymał się na tę chwilę. Nie mam odwagi. Płomień lampy naftowej odbija się od ostrza. On dalej śpi. Chcę żeby się przebudził, żeby dostrzegł w moich oczach to wszystko co do niego czuję. Żeby moja twarz była ostatnim co ujrzy, ostatnim co zapamięta. Ale nie mogę tego zrobić. Nie wiem czy to brak odwagi, strach czy coś zupełnie innego, czego nie potrafię nazwać. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem. Ba, nigdy nikomu nie wyrzodziłem krzywdy. A teraz, stojąc w obliczu tego na co tak długo czekałem, czym karmiłem się przez te ostatnie tygodnie, znowu jestem nieudolny. Zdawało mi się, że mijają godziny, a ja tak stoję i stoję. Przerazony, że zaraz może się obudzić. Coraz to mocniej zaciskałem nóż w dłoni. A co jeśli się obudzi? Jeśli wtedy spanikuję. Powinienem to zrobić teraz, kiedy śpi. Niczego się nie będzie spodziewał. Ale jak? Wbić w serce? A jeśli nie trafię. Jeżeli będzie w stanie wstać. Poderżnąć gardło? Nie potrafię. Jezu, co mam zrobić? Pomóż, proszę. Błagam... Ojczy nasz któryś jest w niebie święć się imię Twoje, przyjdź królestwo... Nie!..Aniele Boży Stróżu mój Ty zawsze przy mnie stój. Rano wieczór. Kur...! Muszę to zrobić. Dla Niej. Dla siebie. Przecież jak nie ja jego, to on nas w końcu ukatrupi. Jak się nami znudzi. Jak będziemy mu już niepotrzebni.

Ale gorąco. Pot zlewa mi się strugami po poranionych plecach, po poranionym czole. Jedna z kropel zatrzymał się na czubku nosa. Zawisła niczym bombka na bożonarodzeniowym drzewku. A jeśli spadnie, jeśli go obudzi? Muszę natychmiast ją wytrzeć. Przed nosem zabłysło mi ostrze noża, który tak mocno zaciskałem. Zrośnięte z palcami jak huba z drzewem. Tylko, że huba to pasożyt. A tutaj? Kto jest pasożytem? Nóż w mej dłoni czy dłoń w uścisku noża? Dostrzegłem w nim moją twarz. Mimo, iż zniekształcona jak postaci w gabinecie luster,

które nigdy, jeszcze przed wojną zawitało w mieście wraz z obwoźną trupą akrobatów, to można w niej dostrzec strach. Przeważenie. Smutek. Wzdrygnięciem się na ten jakże okrutny dla mych oczu widok.

Zachrapał. Wróciłem do rzeczywistości. Nie obudził się. Ale ulga. Ale ja nie posunąłem się ani krok dalej. Stoję nad tym chamem z dłońmi tak zaciśniętymi, że zaczynają kolorem przypominać świeżo wyłowionego topielca. I co? I nic. Muszę coś zrobić. Muszę go zabić. Muszę nas od niego uwolnić...

- Halo? Proszę pana? Czy wszystko w porządku? Czy dobrze się pan czuje? – niespodziewanie rozbrzmiał ciepły, dziecięcy głos.

Tak wnikałem w umysł owego pana, tak zatraciłem się w buszowaniu po jego myślach, gmeraniu w jego przeszłości, iż nie zauważyłem zbliżającej się nastoletniej dziewczynki. Pochyliła się ku niemu, a jej grube, rdzawo-rude dwa warkoczki kłaniały się przed jego obliczem jak poddani na audyencji u samego króla.

- Przepraszam, że przeszkadzam lecz siedział pan taki nieobecny, tak głośno pan oddychał... Pomyślałam, że to przez to słońce. Tak niemiłosiernie praży, a pan na tej ławeczce, w samym centrum tego lejącego się z nieba żaru. Może lyka wody? - i wskazała na małą, błękitną, przezroczystą, plastikową butelkę.

Nastąpiła chwila ciszy. Dziewczyna trochę jakby zmieszana odsunęła się lekko od staruszka, nie wiedząc chyba jakiej reakcji może się teraz spodziewać. Mężczyzna po kilku sekundach powrócił z tej swojej odległej podróży, uśmiechnął się ciepło do dziewczynki i niskim, spokojnym, dostojnie brzmiącym głosem powiedział:

- Drogie dziecko wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Odpłynąłem tylko z falą wspomnień, dałem się jej ponieść w odległe czasy. I straciłem kontakt z tym co ziemskie, materialne. Ale już jestem i bardzo tobie dziękuję za zainteresowanie. W tych czasach mało kto interesuje się innymi. Niewielu obchodzi cudzy los, czyjaś krzywda.

Starzec przyjrzał się uważnie stojącej przed nim prawie już małej kobiecie po czym uśmiechnął się jeszcze przyjaźniej i powiedział:

- Wiesz. Bardzo mi kogoś przypominasz. Kogoś, kto był kiedyś dla mnie najważniejszy. Kogo Kochałem najpiękniejszą miłością jaką można sobie wyobrazić. Kogoś kogo już nie ma, a za kim bardzo tęsknię.

Dziewczyna złapała za pomarszczoną rękę, uśmiechnęła się bardzo szeroko i rzekła:

- Wie pan. Ci wszyscy ludzie którzy odeszli z tego świata nie odeszli od nas. Są jeszcze silniej z nami. Pamięć nasza sprawia, że są zawsze blisko. Moja babcia mawia, że anioły potrafią nam się ukazywać w postaciach innych ludzi. I choć nic się w nich wtedy nie zmienia, w tych ludziach, tak powierzchownie, to osoba która ma widzieć dobrze wie kto ją odwiedził. I może właśnie przed

chwilą dostrzegł pan we mnie kogoś kto chciał pana otulić teraz swoim ramieniem.

Nagle w oddali rozległ się trzykrotny dźwięk bicia dzwonu poczym wybrzmiał hymn wygrywany z wierzby miejskiego ratusza.

- Ojej, już piętnasta, Muszę odebrać braciszka z przedszkola. Bardzo przepraszam, ale muszę już lecieć. Bardzo miło się z panem rozmawiało.

Dziewczyna ukłoniła się z przykucem tak jak to mają w swoim zwyczaju dziewczynki i rozpoczęła marsz w kierunku fontanny. Obróciła się jeszcze by pomachać na dowidzenia co spotkało się z takim samym odzewem. Także i z mojej strony lecz tego nie mogła widzieć.

Dziadunio jak tylko zniknęła z oczu wstał, wziął głęboki oddech, chwycił swą wysłużoną lagę i powolutku podreptał w stronę wyjścia z parku.

Stałem tak wpatrując się w niego i zastanawiałem się co było dalej. Co się wydarzyło wtedy w tamtej chacie, nad tamtym łóżkiem? Nie wiem czy się tego dowiem. Nie wiem czy chcę wiedzieć. Rozbity wróciłem na mój kamienny monument. Całą drogę zastanawiałem się czy ten człowiek mógł to zrobić, czy był do tego zdolny. Tylko, że właściwie do czego? Morderstwa. Czy też uwolnienia siebie i ukochanej z rąk jakiegoś nazistowskiego szaleńca. Czułem, że to dobry człowiek.

Postanowiłem, że nie będę już nad tym debatował. Pozostawię to Tobie drogi czytelniku. A ja? Ja może dowiem się tego kiedyś, gdyby danym mi było spotkać raz jeszcze owego człowieka. Choć może dowiem się wtedy czegoś zupełnie innego. Tego nie wiem.

Wiem za to jedno. Takie wydarzenia, tacy ludzie...

To się mogło zdarzyć tylko w Wejherowie.

Tomasz Lipowski

I nagroda w kategorii młodzieży

„To się mogło zdarzyć tylko w Wejherowie”

„Wszystko w twoich rękach” – usłyszałam to zdanie kolejny raz. „Będzie dobrze” – słyszałam wtedy, gdy wiedziałam, że nie będzie. „Życie jest mało ciekawe i oparte na schematach” – mówili mi milion razy. „Dobra, spokojna praca, dużo pieniędzy, dom, rodzina i życie jest udane” – powtarzali. „Musisz być uło-

żona , ryzyko jest w życiu najgorsze, musisz je sobie ułatwić” – niemalże krzy-
czeli. Musiałam ich wszystkich choć troszkę zawieść.

Na ulicach spotykam ludzi mądrzejszych niż ja , zdolniejszych niż ja , bawią-
cych się lepiej niż ja . Jedni piją kawę , jedzą lunch , czytają „Gazetę Prawną”
gdzieś w parku na ławce. A ja ? Do jakiej grupy należę ?

Okej. Znają mój talent – wiem. Niektórzy mnie cenią – też wiem. Nudne i mo-
notonne , zabijające i złośliwe jednocześnie.

Spotykam wielu ludzi. Wielu z nich jest flegmatykami, pesymistami , optymi-
stami, realistami , inni nawet sięgają wyżej – Ci asceci na przykład.

Biegnę swoją drogą , dochodzę do mety kilka lat, odstawiam na bok przyjem-
ności... z jakiej przyczyny właśnie ? Bo życie bez przygód jest lepsze ? Tkwić
w mieście bez polotu i finezji ? Cóż mi da ułożone życie miłej i grzecznej panienki ?
Wejherowo. Kilka piekarni , Centrum Kulturowe, latem koncerty w parku
i na rynku, Dorota Masłowska z książką pt. „Wojna polsko–ruska pod flagą biało-
czerwoną”, Szlak Zagórskiej Strugi, Kalwaria Wejherowska , Jezioro Żarnowiec-
kie – Piotr Dunin i jego wojsko, zwycięska bitwa – 1462 , młyn wodny , stary
cmentarz . Zwykłe miasto , ze zwykłą historią , jak każde inne. Czy tam Wrocław,
czy Warszawa , albo Kraków. Co w tym ciekawego ? Jakies grotty, jakies puszcze, ja-
kies szlaki , paru sławnych ludzi tutaj urodzonych . Też do tej pory tak myślałam .

Pozbawione przygód życie małej dziewczynki wywodzącej się z małego
miasta , zamieniło się w lawinę.

Zamknęło jej pogląd na świat.

Owładnęło umysł i serce.

Z mózgu zrobiło wodospad pomysłów.

Z dymu spalin stworzył się dym nadziei.

Z Wejherowa zrobiło niemalże Hollywood.

Z jego szlaków i grot – miejsca cudowne.

Z niczym nie doświadczonej , prowadzącej monotonne życie panienki – los
pełen przygód.

*

To ja i mój byt . Ja i moja nadzieja. Ja i mój pociąg SKM. 06:59 , dworzec kolejowy ,
często nieczynne kasy , budynek niczym z czasów II wojny. Nic niezwykłego ,
tym bardziej nic zachwycającego – ja i moja praca.

Byłam pierwiastkiem mojego życia , byłam jego częścią , nie będąc w nim. Mo-
je życie spełniło się tak , jak chcieli tego inni. Nie tak , jak ja bym chciała.

Aż pewnego dnia ...

„Uwaga , uwaga. Pociąg SKM odjedzie z toru drugiego przy peronie czwartym”
Wsiadam. Jedni śpią , drudzy czytają „Przyjaciółkę” , jeszcze inni słuchają Boba
Marley’a . Niewygodne siedzenia , wszystkie w graffiti , czyli to , do czego przy-
wykłam. Zezłoszczonym wzrokiem oglądam ludzi. Ta pani miała ciężką noc –

podkrążone oczy i czerwony nos. Ten pan z brodą ... faktycznie , dawno się nie golił . To dziecko – chce do domu , ma gdzieś zabawki i grzechotki. I jakiś pan siedzący obok mnie.. skąd ja go znam ? E tam. Skąd , no znikąd, no a skąd. Ale jakiś taki znany. Nie tam. Tak wcześniej , a ja sobie umysł czymś zaprzętam. Koniec tego dobrego.

Zamykam oczy . Już usypiam, choć pewnie nie usnę. Nasze polskie pociągowe „kołysanie” temu nie sprzyja. Już jestem w niebie, płynę sobie łódką , są wakacje , chodzę stopami po zielonej trawce , śpiewam „I believe , I can fly” ... i nagle ...

- Przepraszam , coś Pani upadło...

Rozglądam się , znowu ten mężczyzna. Podnoszę gazetę z podłogi.

- Bardzo mi miło – słyszę - Pewnie Pani mnie zna.

- Nie proszę Pana, ja tam sceptycznie do ludzi podchodzę – odpowiadam.

- Ech, nic nowego , po tej aferze z pociągami już nikt mnie nie poznaje. Cezary Grabarczyk jestem.

Dociera coś do mnie. Grabarczyk , czekaj , czekaj , mówię w duchu. Skąd ja to nazwisko kojarzę ? Miliony myśli. TVN 24, 2007 rok , infrastruktura. O, matko !

- To Pan ?! Mój Boże , miło mi . Tak mi wstyd...

- Bez problemu – mówi – nic się nie stało. Od kiedy jestem nieważnym pierwiastkiem w tym rządzie Tuska , nikt mnie nie poznaje. Nawet własna matka.

- Ojej , miło mi , tak strasznie mi miło pana poznać ! – czuję czerwoność moich policzków – co Pan tu robi , Panie ministrze ?

- Od kiedy chcą lepszych pociągów to ja sobie jeżdżę. Sprawdzam , czy faktycznie są takie złe.

- Ale w Wejherowie? Przecież tu nigdy nie było żadnego polityka! Poza tym , wy to tylko samolotami albo limuzynami jeździcie. No w SKMce , wie Pan. Pana bym się nie spodziewała.

- Obrąłem jeden kurs. Narzekają , narzekają na te pociągi , to mówię , pojeżdżę też sobie , a co ! Sprawdzam , czy wygodne siedzenia, ubikacje, papier, śmietniczki . Ale tu coraz gorzej widzę.

- Dlaczego ?

- Bardzo chciałem kiedyś iść do pociągowej toalety. Byłem Wałesę w Gdańsku odwiedzić i już chcę wejść , już naciskam klamkę , aż nagle spostrzegam treść napisu na toalecie : „Zabrania się korzystania z WC na odcinku Gdańsk Główny – Wejherowo”. Myślę – o co chodzi ? Ledwo co wsiadłem i mam czekać do Wejherowa? To się naprawdę mogło zdarzyć tylko w Wejherowie. To mnie zaniepokoiło. Dlatego sobie jeżdżę i szukam jeszcze dziwniejszych rzeczy .

- Wie Pan . Ja tam nie wierzę , że to Pan za tę infrastrukturę i to, co się dzieje na polskiej kolei odpowiada. Ja tam myślę , że Pan taki przystojny, postawny, człowiek z klasą, Pan w Harcerstwie był .. Pan to na pewno taki , taki dobry człowiek.

- Ojej , dziękuję , jestem zachwycony . No ale ... niech Pani spojrzy przez okno!

Spoglądam, patrzę, billboard, a na nim premier Donald. Z hasłem obok twarzy – „Polska w budowie”, a co pod nim? Pod billboardem kopią i jeżdżą traktorem.

- Widzi Pani – mówi Pan Grabarczyk – ja to się w pełni z Platformą zgadzam. Jak mówią, że w budowie, to gołym okiem widać! Bo my to tak prawdę mówimy. Przez ostatnie cztery lata, PO stworzyła warunki do tego, by latem świeciło słońce, zimą padał śnieg, a trawa była zielona. My naprawdę zrobimy więcej. Pani to już tak zdecydowana na te wybory, na kogo iść głosować?

- Nie, wie Pan, ja ...

- Proszę Pani, ja coś Pani powiem, ja na pewno do czegoś Panią przekonam. Jesteśmy partią otwartą dla wszystkich. Nasza pracowitość dała rezultaty, zdajemy egzamin w trudnych, kryzysowych czasach pełnych PIS-u i Jarosławów. Co oni, co tam oni zrobili! A my co zrobimy? Ja Pani powiem - wynegocjujemy 300 mld złotych! Zwiększymy dotację na zajęcia zdrowotne dla seniorów. Wszystko gra! I żeby tego było mało – w każdej gminie będzie Internet! Wprowadzimy e-podręczniki! Stajemy do walki, a nie tam chowamy głowy w piasek na północnej plaży w Łebie. Nie, nie. My jesteśmy jak kombajn – im więcej zbierze zboża, tym większe zyski dla kraju. A teraz przepraszam, moja stacja, muszę już wyjść. Niech Pani pamięta – Polska w budowie i tylko to się teraz liczy!

Miałam taki mętlik w głowie, że aż wytrzeszczałam oczy ze zdumienia. Pomyślałam – co mnie jeszcze spotka? I nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak jeszcze mocno życie mnie zaskoczy.

*

Od czasu tegoż spotkania nie zdarzyło się nic fascynującego. Dom, praca, dom i tak w kółko. Samotność i monotonia dopadały mnie niczym gorączka w środku nocy. Zabijały marzenia o dobrej, zgodnej z moimi oczekiwaniami przyszłości. Jednak ja, dość mocna duchowo istota wierzyłam, że kiedyś moje życie będzie ciekawsze. Zjawi się ktoś, uwydatni się coś, co diametralnie zmieni mój byt.

Chciałam poznać ludzi, innych niż Ci w mojej pracy. Pragnęłam robić coś innego, niż siedzenie za biurkiem. Fascynowało mnie społeczeństwo, charakter, polityka, politycy, ich spory, przez innych oceniane zbyt pobieżnie...

Coraz częściej myślę o tym, jaka sposobność mi się przydarzyła. Spotkałam ministra polskiego rządu! Nie dość, że polityk, to jeszcze sławny i rozmawiał właśnie ZE MNĄ. Tak, ze zwykłą dziewczyną z Wejherowa.

Jeśli zapytałbyś o moje nazwisko na ulicy ludzie spytaliby: „A czy ktoś taki w ogóle istnieje?” Ja odparłabym: „No jasne, bo rozmawiałam z ministrem INFRASTRUKTURY!”

Mam wrażenie, że zachowuję się niczym Odys. Krążę, tułam się po świecie w poszukiwaniu wrażeń, odrobiny adrenaliny, sensu istnienia. Czytam książki, przenoszę się w inne epoki, staram się odnaleźć swoistą sinusoidę swojego życia.

Rzekłbyś – mam wszystko. Dom, pracę, dojazd do pracy, szczęście, więc czego mi więcej potrzeba? Czego ja od życia wymagam? Poświęceń, doświadczeń, niezwykłych scen i spotkań z innymi ludźmi?

Może faktycznie jestem naiwna. Może nie doceniam tego, co mam – całkiem możliwe. Ale kto mi zabroni marzyć? Marzenia dla marzeń – to takie niedozwolone?

Siedzę w tej pracy już pięć godzin. Ludzie dziś są wyjątkowo nieznośni.

Godzina 12:00 . Może pójde na lunch ?

Jakaś obskurna knajpka. Drewniane krzesła, przedwieczne stoliki , łysy barman i najlepsze w mieście hot-dogi. Ten dość 'wyjątkowy bar ma jednak swój klimat. Ludzie przychodzą tu, bo jest dobre jedzenie, poza tym w międzyczasie można pooglądać Wejherowo z siódmego piętra. Przyznajmy jednak, że to doskonałe miejsce dla emerytów i starców lubiących pograć w gry karciane.

I moja słabość - gry na automatach. Uwielbiam to! Mogłabym dniami i nocami przepuszczać niecne góra dziesięciozłotowe banknoty dla wygranej kilkunastu groszy w tej zabawie.

Zjadłszy hot – doga (z nadmierną ilością surówki) postanowiłam ulec pokusie i zagrać . Wrzuciłam dwa złote – spoglądam – wyskoczyły trzy żółte cytrynki .

Z satysfakcją na twarzy zebrałam pięć złotych nagrody. Ponieważ czekałam tylko na ananasy, grałam w dalszym ciągu. Jabłuszka, pomarańcze, dolary, a ananasów nie ma.

Nagle słyszę głos dochodzący z drugiej maszyny :

– No przecież ile mogę grać, żeby chociaż dychę zarobić? Wiecznie wyskakuje mi tu po 5 gr, gdzie ja mam to niby sprzedać? Wiadomo, że to wszystko przez Platformę !

Odwracam się, spoglądam. Naprawdę skądś kojarzę tę kobietę. Krótko przycięte włosy, okularki. Hm... Tą panią z pewnością widziałam u Moniki Olejnik, tylko...

– No, niechże się Pani tak na mnie nie patrzy! Przecież resztkę nerwów można stracić przez te gry losowe!

– Ja przepraszam, tylko wydaje mi się, że skądś Panią kojarzę...

– Patrz! Nawet w takim Wejherowie nie można zachować anonimowości. No, jak to kto? Beata Kempa jestem.

Oczy wyszły mi z orbit. W głowie miałam tylko tzw. „afere hazardową” z udziałem obecnej przy automacie posłanki.

– Mój Boże! To Pani, ja już myślałam, że ...

– Co Pani myślała? Że ja miliony zarabiam? Co już w gry pograć – sobie nie można?

– Nie, nie, a skąd, wcale tak nie myślałam. Co Pani posłanka tu robi?

– Co ja robię, no, co ja robię. Cóż to za banalne pytanie? Mój Pan Prezes propaguje nową ideę: „Nowoczesna Polska, solidarna Polska, bezpieczna Polska.”

Ja więc szerzę głównie tę drugą ideę, pokazując że nawet granie dwuzłotówkami jest formą rekreacji i solidarności.

– Przepraszam, że spytam, ale ... czyżby to Pani nie była powołana do Komisji Śledczej o grach na automatach o niskich wygranych i wideloterii ?

– Było minęło. Drzewieckiego nie lubiłam, jakoś trzeba było go odwołać. Nie ma skutku bez przyczyny proszę Pani.

– To był bodajże 2009 rok... Jezusie Przenajświętszy, nie mogę uwierzyć, że spotkałam kogoś takiego, jak Pani. To niesamowite, najpierw Pan Grabarczyk, później Pani...

– Niech Pani tego Grabarczyka w ogóle nie słucha! On tylko sobie schlebia i propaguje te „mądre” programy Platformy. Ta partia w ogóle nie ma przyszłości, proszę Pani. Ja proszę Pani, Pani powiem, proszę Pani, że my to mamy ekskluzywny program. O! Tak całkiem przypadkiem mam przy sobie ulotkę wyborczą naszego Prezesa. Niech Pani, proszę Pani spojrzysz i niech Pani przeczyta na głos hasło.

– „Polacy zasługują na więcej”...

– No i niech Pani pozwoli, że Pani przerwę, prawie nigdy tego nie robię, ale tym razem muszę. Droga Pani, Panią na pewno muszę przekonać. Prawo i Sprawiedliwość to partia niezwykła. Ludzie, którzy się w niej znajdują są piekielnie elokwentni, inteligentni, a do tego zabawni, jak np. nasz Rysio Czarnecki. To partia, proszę Pani, przede wszystkim przyszłościowa. Kiedy mówię – Polacy zasługują na więcej, no to przecież prawdę mówię. Niech Pani spojrzysz na tę biedną kobietę .

– Tak widzę.

– No, właśnie. Przecież ta kobieta zasługuje na fryzjera, jakaś trwała by się przydała, czy coś. A ten Pan? Kiedy ostatnio wychodził z baru zadowolony? Chyba wtedy, gdy w młodości starczało mu na hot-dogi. A to dziecko? Cóż ono pije? Jakaś „Pycholandię” z Biedronki? A na „Kubusia” to ta malusieńka dziewczyneczka nie zasługuje?

– Widzi Pani , to wszystko jest takie , logiczne. Opowiem Pani historię. Idę sobie przez Wejherowo, słońce świeci, wszystko pięknie, ładnie i nagle nadciąga czarna jak heban chmura. I w jednej sekundzie zaczyna padać. Lekkim krokiem ruszam przed siebie , a podczas ulewy mijam przechodnia , który mówi: „Matko jedyna, to jak zwykle wina Tuska!” I widzi Pani, jeszcze się z czymś takim nie spotkałam. Ale to się mogło zdarzyć tylko w Wejherowie. Zresztą... wszyscy narzekają, że pogoda zła, że powietrze nie takie. Pytają się czemu? Ja odpowiadam: rząd taki , to i aniołki z nieba płaczą. Jestem jednak przekonana, że to PIS zatrzyma wszelkie chłodne fronty atmosferyczne. My to stworzymy nowoczesny naród. Wie Pani. Edukacja na najwyższym poziomie – żadnego rosyjskiego, broń mnie i całą naszą partię Bóg! Seniorzy – tańsze leki, wyższe

emerytury, inne rozrywki niż gry na takim automacie. Zdrowie? Za naszą Jolę Szczypińską życie bym oddała! Taka cudowna, stworzona do pracy z chorymi, pielęgniarka. I płace by podwyższyła i ludziom by się pracować chciało. Tak właśnie będziemy rządzić. Ja Pani coś powiem, my jesteśmy jak sklep wielobranżowy – każdy znajdzie coś dla siebie. A teraz niech mi Pani wybaczy, muszę jeszcze dojechać dzisiaj do Warszawy, bo do telewizji trzeba iść. Musi Pani pamiętać, że Polacy zasługują na więcej!

No, robi się coraz ciekawiej. Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Posłanka Kempa, minister Grabarczyk, wszystko w przeciągu tak krótkiego okresu czasu! Gdybym opowiedziała tę historię znajomym... nie, w życiu nikt by mi nie uwierzył. Ale bądźmy optymistami. Nareszcie w moim życiu dzieje się coś interesującego.

Wrzucam dwa złote. Wypadły upragnione ananasy. No to co ananasie? Co mnie może jeszcze spotkać? Przecież Polacy zasługują na więcej...

*

Kampania wyborcza trwa. Mimo zbliżającego się jej końca, nadal odczuwa się napięcie. W telewizji, w prasie aż wrze od politycznego zamętu.

Tak myślę, przecież Wejherowo to zwykłe miasto. Dlaczego nagle w tak, wydawałoby się, odległym od centrów politycznych miejscu, taka kulminacja sławnych ludzi? Zazwyczaj towarzyszą im tłumy fotografów i fotoreporterów.

Oceniamy ich zbyt pobieżnie, zbyt pochopnie. Nie zauważamy potencjału, wykształcenia, wszystko wnioskujemy z pojedynczych incydentów. To są zwykli ludzie, mieszkający w normalnych domach z lodówką i pralką. Czują, jak my, płaczą, jak my, tęsknią, jak my.

Naprawdę nie mogę uwierzyć. Całe życie czekałam na to, by spotkać kogoś sławnego. To było tak nierealne, te dwa światy nie mogą się przecież ze sobą łączyć. A jednak.

Mijam ludzi. Twarze, oczy, usta, nos – jesteśmy tym samym w obliczu Boga. Więc dlaczego, dlaczego dzielą nas na lepszych i gorszych? Dlaczego dla innych marzenia są w zasięgu ręki, a inni muszą trenować skoki, by kiedyś ich dotknąć?

Mam pewne obawy. Mianowicie - przecież niedługo wybory. Od ostatnich spotkań z przedstawicielami dwóch największych polskich partii, miesza mi się w głowie. Od zawsze byłam niezależna, nieposkromiona, nic nie działało się w moim życiu ciekawego, ja nie szukałam wrażeń. I nagle oni. Pojawili się w moim rodzinnym mieście, w miejscach najmniej oczekiwanych, w sytuacjach najmniej komfortowych, a ja w ubiorze najmniej odpowiednim. I ich programy, przekonania podszyte zwykłą ludzkością. Boże, na kogo ja mam głosować? Jak mam nie czuć wyrzutów sumienia, gdy zagłosuję na jednych, a nie zagłosuję na drugich?

I pomyśleć, że do tej pory, do tego momentu nie miałam takich dylematów. Takie problemy były mi obce, zawsze podsuwano mi rozwiązania pod sam czubek nosa. Nie musiałam się zastanawiać. Teraz zadawałam sobie pytanie: chciałaś adrenaliny? Dostałaś jej w podwójnej dawce. No, może jednak potrójnej...

*

Dzisiaj ważny dzień w pracy. Spotkania, telefony, głowę urywa. Drukuję ważny dokument. Bez niego dzisiaj niestety, nie mogłabym iść na spotkanie. Siedzę skupiona przy komputerze, coś piszę, drukarka drukuje dwunastą stronę. Jeszcze dwie myślę, góra trzy. Trzymam kubek gorącej, orzeźwiającej kawy i nagle ...

- No, co Pani robi z tym dokumentem, ile mam czekać? - warknął dyrektor.

I stało się. Obląłam doszczętnie całą drukarkę wrzącą kawą. Dokumenty się nie zniszczyły, jednak drukarka utknęła w miejscu. Wciąła wszystkie kartki papieru i sama się zatrzymała.

- O Boże, o Boże, co ja zrobiłam? - zaczęłam krzyczeć. - To jedyna drukarka w tej firmie!

- Trudno proszę Pani, jak się jest taką niezdara, to tak bywa. Natychmiast proszę iść i kupić drukarkę!

Wybiegłam z płaczem. Taki pech! Nie dość, że bez tego dokumentu nie odbędzie się ważne spotkanie zarządu, to jeszcze drukarka jest zepsuta.

Wpadam do drukarni KEMA. „Kema sp. zo.o. pododdział w Wejherowie, główna drukarnia w Szczecinie” - czytam na drzwiach. A co mnie to obchodzi, myślę. Wpadam do środka. Na szczęście mało ludzi. Podchodzę do kasy, a przy niej nikogo nie ma. Dzwonię dzwonkiem zainstalowanym w biurku, a z tyłu mnie dochodzi jakiś głos.

- Spokojnie, spokojnie bez obaw proszę Pani.

Przyglądam się twarzy. Czy to? Pan Napieralski? Nie, nie, no bez przesady.

- Pan Napieralski? - pytam z niepewnością. - Czasami mój wzrok mnie zawodzi.

- Witam szanowną Panią i przesyłam pozdrowienia od całej partii Sojuszu.

Zacząłam się czerwienić. Jak mogłam tak naiwnie wypaść? Żeby jeszcze się dopytywać ... Przecież to taka znana twarz.

- Dzień dobry. Jezusie, to naprawdę Pan? Co Pan robi w Wejherowie ... nie tam, co Pan robi w drukarni?!

- Powróciłem do starego hobby. Jak wiadomo w latach czysto młodzińskich pracowałem w drukarni tegoż pododdziału. Przy okazji pokazuję młodym, że doświadczenie zdobyte w przeszłości, owocuje w przyszłości. Nie że bym się chwalił, ale nasz program opiera się na młodych, zdolnych ludziach. Nasz specjalnie stworzony dokument „Bez obaw w dorosłość” bije rekordy.

- Fantastycznie, fantastycznie, jestem zachwycona, że mogłam Pana poznać. Tak zacy człowiek , w takim małym miasteczku.

- Hm, hm. Wie Pani, program wyborczy trzeba wszędzie rozpowszechniać, kampanię trzeba prowadzić jak dziecko za rękę, sama Pani rozumie. Ale... w czym mogę Pani pomóc ?

- Ja, drukarkę poproszę.

- Dobrze. Zapakujemy, proponuję tę z lewej strony na najwyższej półce. Cena...

- Nie gra roli, Panie przewodniczący.

- Och, cóż dostępuję za zaszczytów. Proszę, oto drukareczka.

- Dziękuję uprzejmie. To ja już...

- Nie, tak się nasza rozmowa zakończyć nie może. Ja proszę Pani, muszę do siebie Panią przekonać. Otóż. Innowacja i informatyzacja to nasze cechy produkujące, proszę Pani. Jak już wspomniałem – młodzi , edukacja. Mamy doskonale opracowaną receptę na bezpieczne kroki w dorosłość dla młodych. A Pani przecież też taka młoda. Ma Pani Iphon'a ?

- Nie, nie potrzeba ...

- Niechże Pani nie będzie taka skromna. Gdyby nie ta sześciolatnia szarpalina pomiędzy Platformą Obywatelską, a Prawem i Sprawiedliwością miałyby Pani takich urzędzeń na pęczki! Jeszcze Pani by je rozdawała po znajomych! Ale wróćmy do konkretów. Wszyscy zapominają o Polakach . A ja wiem, co dobre, ja wiem, co się liczy. Ja i Ryszard Kalisz mówimy: NIE dla mowy nienawiści. Hip-hipis, czy nie hippis, emo, czy nie emo, wszyscy jesteśmy równi, a wobec prawa mamy obowiązek świadczyć wolność słowa. Ja jestem młody, przedsiębiorczy, o trzeźwym umyśle. Ja walczę o lepszą Polskę. Czy czegoś się Pani obawia?

- Tak, dzisiaj w pracy...

- Ja Pani coś powiem, z nami: „Jutro bez obaw”. Z nami szczęście, raj i sielanka. Tak ujmując w jedno: my jesteśmy jak roleta. Im wyżej jest, tym jaśniej w pokoju. Dlatego musimy wspiąć się ponad te dwie partie. Choćby lekkim pociągnięciem sznureczka, ale jednak zawsze w górę! A teraz Panią bardzo przepraszam, wzywają mnie przez iPada na skanowanie dokumentów. Niech Pani pamięta: z nami zawsze jutro bez obaw !

Wróciłam do pracy . Co prawda drukarka działała , dokument na biurku szefa, wszystko uporządkowane. Ale nie w mojej głowie.

*

Budzę się w niedzielę rano. W telewizji pokazują kolejno idących do wyborów polityków. Cóż, mamy dziewiątego października. Make – up, szpilki, strój formalny, idziemy.

Słońce pięknie świeci, ciepło do tego stopnia, że nawet latem tak nie było. Nie mogłam się oprzeć i usiadłam na ławce. Tyle różnych myśli, tyle zobowią-

Mówię do siebie – jesteś szczęściarą, wiesz? Twoje od zawsze ułożone życie zmieniło się nie do poznania. Czujesz się tak, jakbyś była częścią politycznego świata. Jakbyś była kimś ważnym, jakby tylko z Tobą chcieli rozmawiać. I nie musiałaś kochana, wcale daleko wyjeżdżać – mówi mój wewnętrzny głos-wszystkich spotkałaś w Wejherowie.

Wstaję, pół godzinki spacerkiem i jestem. Stoję pod drzwiami Okręgu Wyborczego. Podchodzi do mnie jeden z dziennikarzy. Pyta: „A pani z jaką partią się utożsamia?”

Spoglądam na niego. Pustka w głowie. Milion myśli – Cezary Grabarczyk, Beata Kempa, Grzegorz Napieralski... No, właśnie, kogo, kogo ja wybieram?

Odwracam się na pięcie i siadam na krawężniku.

Jak to się wszystko zmieniło.

Wejherowo – Hollywood.

Moje myśli – bagaż doświadczeń.

Moje życie – zupełnie inne.

Siedzę i dumam. Nagle siada koło mnie mężczyzna.

– Wie Pani co? Mojej partii nie było na liście. To się mogło zdarzyć tylko w Wejherowie.

O, to Pan Janusz Palikot.

Myślę i myślę. No i czym, czym mnie jeszcze moje miasto zaskoczy?

Kornelia Selonke

II nagroda w kategorii młodzieży

„Porwanie Wejhera”

„Dzisiaj w nocy pomnik Wejhera zniknął. Okoliczności nie są jeszcze znane. Wiadomo, że monitoring na placu został uszkodzony. Policja poszukuje świadków. Jeśli ktokolwiek z państwa wie cokolwiek na temat zajścia, proszę dzwonić na numer 672 97 22.”

Wiadomości TTM, 21 września 2011 roku

Tłum gapiów zgromadził się na placu Wejhera. Po środku znajdował się jedyny postument, tak jakby nigdy nic na nim nie było. Najbliżej niego stał młody policjant. Ludzie szeptali między sobą, że wzięcie do takiej sprawy żółtodzioba

jest co najmniej głupotą. Sam zainteresowany aż tryskał energią. Nie mógł uwierzyć, że to właśnie on poprowadzi najgłośniejsze od lat dochodzenie w Wejherowie. Wiedział, że nikt mu nie wybaczy, jeśli spaprze tę sprawę. Jednak był przekonany, że doprowadzi ją do końca. Zaczął błędzić myślami, gdy nagle uświadomił sobie, że musi zacząć działać. Rozejrzał się po tłumie w poszukiwaniu świadków. Ostatecznie skierował się ku dwu kobietom, które głośno rozmawiały o zajściu. Przerwał im:

- Przepraszam, czy wiedzą coś panie na temat tej sprawy?

- Ano wiem. Wie pan nie mogłam spać w nocy, to już nie moje lata, wszystko boli, a do tego byle co mnie budzi. Tej nocy to nie była mała rzecz, co to, to nie. Trzaski i piski, jakby kto drzewo rąbał – opowiedziała niska staruszka w grubym okularach.

- Nie, nie, nie. Jakie trzaski, jakie piski? Nie było nic słyhać. Niech panie nie opowiada bzdur władzy – zaczęła się spierać nieco wyższa, blada kobieta.

- Jak Boga kocham, trzaski i piski – obstawała pierwsza.

- Czy pamięta panie, o której to było godzinie? – przypomniał sobie policjant o swojej roli w tej grze.

- Zdaje mi się, że o trzeciej, ale wzrok już nie ten, więc... - ucichła na chwilę kobieta.

- Jadzia, co się dzieje? – odezwała się druga.

- Nic, nic takiego. Tak jak mówiłam musiała to być trzecia – odparła staruszka.

- Dziękuję za informacje, ale jeśli coś się paniom przypomni, proszę mnie powiadomić – odpowiedział lekko zaniepokojony policjant.

- Oczywiście, panie władzo – potwierdziła wyższa staruszka, na co niższa tylko kiwnęła głową.

Policjant odszedł od kobiet. Wyczuł, że kobieta wie więcej, ale z jakiegoś powodu nie chce tego ujawnić. Musi dotrzeć do tego.

„Nowe tropy w sprawie zniknięcia pomnika

Na komendę policji w Wejherowie zgłosili się nowi świadkowie przestępstwa. Zeznali, że widzieli mężczyznę, który podjechał furgonetką na plac Wejhera ok. godziny 2.45 w nocy. Zdemontował pomnik i odjechał niedługo potem. Nie sprawiło mu to większych trudności. Policja szuka podejrzanych. A my pytamy się, jak to jest możliwe, że mężczyzna podjechał i ot tak zabrał monument?”

Ekspress Powiatu Wejherowskiego, 23 września 2011 roku

„Rzucili się na nas” – pomyślał policjant po przeczytaniu artykułu w lokalnej gazecie. Całkowicie podporządkował się tej sprawie, ale ona i tak nie ruszała się z miejsca. Gdy dowiedziano się o furgonetce, próbowano poznać numery rejestracyjne samochodu. Monitoring przestał działać o 2.40, a świadkowie

opisali ją eufemistycznie mówiąc niedokładnie. Czarna furgonetka. Rysopis brzmiał: wysoki brunet. Poszukiwanie takiego mężczyzny z takim autem jest porównywalne z igłą w stogu siana, a nawet gorzej. Siano ma określoną objętość, a sprawca może mieszkać gdziekolwiek. Policjant zaczął wątpić, czy uda mu się doprowadzić dochodzenie do końca. Po kolei analizował wszystkie ślady i poszlaki. Ponownie trafił do niskiej staruszki. Zaczął stanowczym tonem:

- Wiem, że pani coś przede mną ukrywa.

- Niech pan nie wymyśla sobie niestworzonych rzeczy – odparowała żywo kobieta.

- Jestem tego pewien. Proszę mnie nie zmuszać do oskarżenia panią o utrudnianie śledztwa – kontynuował policjant.

- To nic takiego. Przewidziało mi się – zaczęła współpracować staruszka.

- Co pani widziała? – zapytał mężczyzna.

- Wydawało mi się, że zobaczyłam koło pomnika jakiś cień... jakby ducha – dokończyła kobieta.

- Słucham? – odrzekł.

- Mówiłam panu, że nie widzę za dobrze – odparła staruszka.

- Jest pani pewna? – dociekał policjant.

- Tak mi się zdawało – niepewnie odpowiedziała.

- Prosta sprawa: widziała pani czy nie? – przyciskał do muru.

- Nie wiem – zrezygnowała kobieta.

- Dziękuję pani bardzo – pożegnał się pośpiesznie policjant.

„Nic mi to nie dało. Tylko staruszka widząca duchy” – pomyślał, wracając na komendę. Nie miał już pomysłów, więc poszedł do swojego zwierzchnika. Nie było to jego marzeniem. Przyznał się jednak do tego, że nie wie już, co ma robić. Wspominał także o staruszce i jej przewidzeniach. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi, jaką otrzymał:

- Ta kobieta kogoś kryje. Sprawdź ją i jej rodzinę.

Tak też zrobił. Nie miała kartoteki, jak się spodziewał, nigdy nie złamała prawa. Nie można było tego powiedzieć o jej wnuku. Wielokrotnie aresztowany za drobne kradzieże. Są one jednak niczym przy zniknięciu pomnika Wejhera. Policjant wreszcie miał trop.

„Pierwszy podejrzany w sprawie kradzieży pomnika Wejhera

Policja dotarła do mężczyzny, który może być zamieszany w tę sprawę. Jest nim Wojciech K. – drobny złodziej. Widziano go w nocy z 20/21 września na placu Wejhera. Posiada on czarną furgonetkę, którą miał przewieźć monument. Policja podejrzewa, że działał na zlecenie.”

„Dziennik Bałtycki”, 11 października 2011 roku

„Dzięki Bogu, że staruszka w końcu wydała swojego wnuka” – myślał policjant. Szedł właśnie do pokoju przesłuchań, w którym czekał na niego podejrzany. Funkcjonariusz nie przyznawał się nawet przed samym sobą, że boi się tej chwili – bezpośredniej konfrontacji. Wszedł do pokoju z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zaczął prosto z mostu:

- Gdzie jest pomnik?
- Nie mam pojęcia. To nie ja – mówił podejrzany.
- Na czyje zlecenie działałeś? – kontynuował policjant.
- Nie wiem, o czym jest mowa. Jestem niewinny – bronił się.
- Grozi ci wieloletnia odsiadka. Naprawdę chcesz tego? Powiedz wszystko, co wiesz, to może się jakoś dogadamy – zaczął licytować przesłuchujący.
- Nie pójdę do paki? – zainteresował się oskarżony.
- Zobaczymy. Mów – wymijająco odpowiedział policjant.
- Rozmawiałem z nim tylko dwa razy. Pierwszy, gdy uzgadnialiśmy robotę, a drugi, gdy chodziło o to, gdzie mam zostawić pomnik – podejrzanejmu rozwiązał się język.
- Gdzie jest pomnik? – dopomniął się policjant.
- Zostawiłem go w furgonetce przy porcie gdyńskim – odpowiedział Wojciech K.
- Kiedy ma go odebrać? – kontynuował funkcjonariusz.
- Dzisiaj – krótko stwierdził oskarżony.

Chwilę później policja w Gdyni została zawiadomiona. Kilkanaście radiowozów jechało w stronę portu. Parking był już pusty. Właśnie odpływał kontenerowiec. Wszyscy byli świadomi, że na jego pokładzie znajduje się pomnik Wejhera. Skontaktowano się ze strażą przybrzeżną, która kilka minut później zatrzymała jednostkę. Po przeszukaniu ładunku odnaleziono monument. Wszystko to nadzorował młody policjant z Wejherowa, który odniósł swoje pierwsze zwycięstwo – odzyskał Wejhera. Wejherowo odzyskało swojego założyciela. Zleceniodawca porwania pomnika pozostał nieznany.

Paulina Richert

Historia o obłąkanych dla obłąkanych

*„ – Ale ja nie chcę przebywać wśród obłąkanych – zauważyła Alicja.
- Och, temu nie zaradzisz – powiedział Kot. – Wszyscy tu jesteśmy obłąkani.”*
(„Przygody Alicji w Krainie Czarów” L.Carrol)

Zaiste, Feliks był obłąkany.

Z resztą, kto z nas nie jest obłąkany? Każdy ma przecież swoją Krainę Różowych Jednorożców, gdzie nie ma Złych Puszekinów i Kisielowych Potworów. Jest to Kraina wiecznego szczęścia i pomarańczy. Rzecz jasna, do tej Krainy mają wstęp tylko ludzie z odpowiednio elastyczną wyobraźnią. Jeśli nie jesteś takim człowiekiem, to nie czytaj dalej. Idź zrób lepiej coś bardziej fascynującego, np. policz kafelki w łazience, albo zagraj sam ze sobą w makao.

Przygotujcie się na ekstazę i mokre spodnie. Zaczynamy.

* * *

Jak już wspomniałam, Feliks należał do grupy ludzi mających swoje Różowe Jednorożce. Ale Feliks nie był człowiekiem szczęśliwym. Za młodu kandydował na stanowisko Prezydenta Wejherowa, ale inni go przebili. A miał takie wspa- niałe pomysły! Chciał ustanowić dzień 1 września Międzynarodowym Dniem Jedzenia Kisielu Palcami. Każdy z jego popleczników dostałby pluszowego jednorożca i rabat na zakupy w „Chrząszczu”. Jednak ktoś życzliwy doniósł do pra- sy, że Feliks marzy o wprowadzeniu ustroju totalitarnego w Wejherowie i że chce zostać monarchą absolutnym. Marzy także o tym, aby zwracano się do nie- go Jego Królewska Ponętność i o tym, by nazwę Wejherowo zmieniono na Felik- sowo.

Co za bzdury. Wcale nie Feliksowo, tylko Feliksowice.

Załamany i upokorzony wyborami (dostał tylko jeden – swój głos) postanowił coś zrobić z własnym życiem. Poszedł na plac zabaw, aby poszukać na- tchnienia. Spotkał na placu małego chłopczyka jedzącego lizaka. Feliks poczuł przypływ ojcowskiego instynktu i zagadnął szkraba:

- Cześć, mały.

- Spadaj, zboczeńcu, mój tata ma wiatrówkę – powiedział mały.

- Nie, nie, spokojnie – krzyknął Feliks. – Opowiem ci bajkę, dobrze? Jak ci się spodoba, to zostaniemy kumplami, a jak nie, to twój tata zrobi mi dziurkę w czo- le na kolczyka, ok?

Mały pokiwał głową, zachwycony wizją kolczyka w czole. Feliks zaczął:
- Słyszałeś kiedyś o Zmorze? Otóż Zmora to dziecko Diabła i Czarownicy. Nie ma oczu. Ubrana jest zawsze w długi, czarny płaszcz. Przychodzi do małych chłopczyków o północy. Możesz ją usłyszeć tylko po skrzypieniu podłogi. Gdy zbliży się do ciebie, to wyciągnie oślizgłą rękę zza płaszcza, podejdzie jeszcze bliżej, jeszcze... i tak cię pogilgocze, że posikasz się w łóżko – zakończył wesoło Feliks.

- Ty wariacie, ty obłąkańcu – krzyczał przestraszony chłopiec. – Mój tata robi z ciebie kotlety!

Chłopiec uciekł, mrużąc coś do siebie o wiatrówkach, dziwnych panach opowiadających bajki i o tacie, co ma mięsaki jak Pudzianowski.

Feliks znowu został sam. Było mu smutno, że nie ma żadnego przyjaciela. Po przegranych wyborach wszyscy go opuścili. Został mu tylko Paddy. Paddy to pieluszka, z którą Feliks wszędzie chodził. Ta pieluszka była przy nim od zawsze. Paddy to jedyny, prawdziwy przyjaciel.

Feliks usiadł na huśtawkę i zaczął się bujać. Patrzył w niebo, na chmury i czuł się coraz lepiej. Nawet zdawało mu się, że życie ma sens. Powoli wracał mu zapłon do pracy. Tak, warto żyć! Tyle jest jeszcze nieodkrytych nieodkrytości, tyle rozmaitych różności! Feliks zamknął oczy i zaczął się śmiać.

I wtedy dobry Bóg zrobił to, co zawsze robi, gdy ktoś cieszy się z życia.

Zesłał na niego KUPĘ. W tym wypadku była to prawdziwa kupa, a w dodatku krowia. Wszakże i latające krowy istnieją.

Biedny, upokorzony Feliks. Poszedł z powrotem do domu, wyszydzany i niekochany. Zasył się w pokój i opracowywał plan zemsty na krowach. Długo się nie zastanawiał, bo nagle do jego drzwi zapukał przestraszony ów mały chłopiec z placu zabaw.

- Ej, ty – krzyknął. – Musisz nam pomóc! Miastu zagrażają Podziemne Makrele! Tylko ty nas możesz uratować!

W tym miejscu muszę napisać kilka słów wyjaśnienia odnośnie Podziemnych Makrel. Stworzenia te znajdują się na końcu łańcucha pokarmowego. Gdy Stwórca nasz bawił się w grę zwaną „Kreator Ziemi – stwórz własną planetę i prawdziwe awatary” to był jeszcze niedoświadczonym Stwórcą. Planował wykreować stworzenie dwunożne, w miarę inteligentne, silne, szanujące jego i innych, nienawidzące nienawiści, kochające przyrodę. Niestety, wyszła Mu Podziemna Makrela. Owe stworzenie było tak makrelowate, że dobry Bóg postanowił umieścić je po wsze czasy pod ziemią.

Rzecz jasna, Makrełom się to nie spodobało. Wszczynały wiele wojen, strajków, próbowały zniszczyć ziemię. Porwały nawet Boga i żądały okupu, ale znalazł się jakiś superbohater – Lucjan Diabło – Szatański, który uratował Boga i pomógł Mu stanąć na nogi po tym szoku, który przeżył.

Makrele bardzo upodobały sobie miasto Wejherowo. Twierdziły, że stamtąd pochodzą ich prapraojcowie. Możliwe. Niektórzy mieszkańcy Wejherowa, kopiąc swoje ogródki, do dziś dzień znajdują w nich Podziemne Prototypy Ludzi.

Właśnie dziś Makrele znów się aktywowały. Feliks poczuł, że to jego chwila, jego pięć minut chwały. Uratuje miasto, zostanie królem, ożeni się z jakąś księżniczką i do końca życia będzie jadł kisiel... Ale jak tu pokonać Makrele?

Feliks myślał bardzo intensywnie. Jego mózg nie był do tego przyzwyczajony i po chwili zaczęło mu dymić z uszu. I wtem wpadł na pomysł. Zadzwoni do Lucjana Diabło – Szatańskiego i poprosi go o pomoc. Wszakże Lucjan to jego daleki kuzyn.

Lucjan chętnie się zgodził pomóc Feliksowi. Zmaterializował się w jego pokoju trzy sekundy po ich rozmowie telefonicznej. Lucjan nie wyglądał typowo diabelsko. Niepozorny, znerwicowany blondynek w okularach z ulizaną fryzurką. Nawet kopyt nie miał porządnym – ciągle obgryzał paznokcie. Ubrany był w przedpotopowy garnitur, chyba jeszcze po Wolandzie. Ogólnie reprezentował typ mężczyzny zwanego Ciamcia – ramcia.

Lucjan powiedział, że się spieszy i wpadł tylko na chwilę, aby przedstawić Feliksowi najstraszniejszą istotę piekielną - Prawie Dwugłowego Szalonego Puszkinia. Stworzenie owe było zakałą rodu Puszkiców, jako że urodziło się z prawie dwiema głowami, a nie z dwoma jak to mają w zwyczaju Puszkiny. Ogólnie Puszkiny mają bardzo rozwinięte paznokcie u nóg, które pozwalają im utrzymać się na śliskich, pochyłych powierzchniach, oraz posiadają jad paralizujący ofiary w 10 sekund.

Feliks w towarzystwie Puszkina i małego chłopca stanął do walki z Makrelami. Posiadał też tajną broń. Była to wschodniochińska sztuka walki Wal-Pan-Smiało, którą nabył podczas oglądania filmów z Jerzym Chanem.

Zwycięstwo było kwestią chwili. Makrele ujrawszy Puszkina same ofiarowały usmażyć się na ogniu. Biedny Puszkic – taką miał ochotę na rozszarpanie tych jakże obiecująco pachnących stworzeń. I tak Feliks został Kimś.

Było to dziwne uczucie, gdy nagle z końca szarej kolejki życia wybijasz się na jej przód. Każdy reaguje na to inaczej. Feliksowi było, np. niedobrze. Osiągnął to, co chciał, ale nie był szczęśliwy. Niby mógł tonami jeść kisiel, chodzić na fajne karuzele, ale to było takie...mdłe. Feliks uznał, że jest stworzony do innego życia. Do życia Geniusza.

Och, to łatwe zostać Geniuszem. Wystarczy założyć na nos okulary, nosić ze sobą grubą książkę i mówić rzeczy niezrozumiałe dla szarej masy, np. Sprężystokwadratowość mojego hiperbiociała byłaby o kwantoliony większa, gdyby ziemia była kompatybilniejsza. Łapiecie? To łatwe.

Feliks pracował właśnie nad pewnym doświadczeniem. Pomagał mu w tym chłopiec z placu zabaw. Otóż Feliks włożył chłopcu do nosa dwie piłeczki kau-

czukowe i badał jego reakcje na to. Jednak jak to bywa, dobry Bóg wystawił Feliksa na próbę. Feliks przeżył kryzys twórczy i postanowił udać się na pielgrzymkę do miejsca zwanego Dawidową Dziewiętnastką. Było to miejsce, w którym Bogu objawił się Wielki Dawid. Głosił swe jakże budujące przepowiednie dotyczące Euro 2012, Dody i Nergala, a także zagadki Smoleńska. Od tej pory każdy wątpiący udaje się w to miejsce raz w życiu, by zaznać duchowego pokrzepienia. Feliks szedł, szedł, całe dwie przecznice. Oczywiście kolejka miała chyba z 50 km długości.

„Kutwa, psioczył Feliks. Gdy przechodzę sobie tylko obok, to wtedy nikogo szukającego ukojenia tam nie ma. A jak chcę znaleźć sens życia, to nagle pojawia się tłum poszukiwaczy prawdy i kisielu”.

Tak to bywa. Ale jako że mamy nieograniczoną możliwość podróży w czasie i przestrzeni to przeniesiemy się w to samo miejsce dwa dni później...

* * *

- O Wielki, wspaniały, genialny, ponętny, doskonały, nieskończony proroku Dawidzie! Mam do ciebie tyle ważnych pytań, aż nie wiem od czego zacząć...

- Najlepiej od początku – odparł Dawid.

Feliksa aż zatkało od genialności proroka Dawida.

- Panie, jesteś genialny – wyszeptał.

- No – odparł skromnie Dawid.

- Panie, powiedz mi, jedzenie kisielu palcami ma sens?

- Wiesz, kisiel to przeszłość – powiedział Dawid. – Teraz w modzie jest budyni.

Feliks podziękował za radę, ucałował święte stopy Dawida, zapłacił 100 zł i poszedł do domu.

Zastanawianie się nad wyższością budyniu nad kisielom zajęło mu sporo czasu. W zasadzie moglibyśmy już zakończyć tę historyjkę, gdyż już nic ciekawego się w niej nie wydarzy.

Wszakże kisiel zawsze będzie kisielom, a budyni budyniem.

KONIEC

Jednak dodam parę słów wyjaśnienia:

1. Z pewnością zastanawiacie się nad sensem tego opowiadania. Nie męczcie się tak nad tym. Wszakże każdy bezsens ma swój sens, bo sens bezsensu nie ma sensu. Więc nie próbujcie nawet zrozumieć tego opowiadania. Może jedynie co genialniejsi znajdą w nim ukryty sens. Jaki? Tego nawet ja nie wiem.

2. Doszły mnie słuchy od mojego wiernego kota Tytusa, że ludziom nie podobają się tacy ciapciakowaci bohaterowie jak Feliks. Woleliby kogoś bardziej męskiego, odważniejszego... Powinnam was uprzedzić lojalnie na początku, że Feliks jest Ciapciakiem. Nie zrobiłam tego, mój błąd. Wybaczcie, Feliksa nie zmienię. Inaczej nie byłoby tego opowiadania.

3. Zastanawiają was dalsze losy Puszkina? Mnie też, dlatego postanowiłam spytać się Lucjana Diabło – Szatańskiego jak miewa się jego podopieczny. Lucjan jak zawsze się spieszył, ale dla mnie znalazł chwilkę. Powiedział, że Puszkina ma się dobrze, znalazł sobie nowe zajęcie – robienie babek z glutów.

4. Wiem, że postąpiłam zbyt brutalnie z Makrelami. Ale cóż miałam innego uczynić? Zjeść je? To dopiero byłoby niehumanitarne. A tak Makrele wykapały się w oleju i ... i ... zaraz, Tytus, co ty żujesz?

5. Spór nad wyższością budynku nad kisielom nadal trwa. Uczni twierdzą, że nawet Bóg nie wie kiedy to się skończy. Osobiście jednak kibicuję kisielowi.

6. Gdyby ktoś z państwa chciał się udać do Dawidowej Dziewiętnastki to niech zgłosi się do mnie. Za odpowiednią opłatą wskażę miejsce pobytu proroka Dawida. Uprzedzam jednak, że ów prorok daje odpowiedzi nie całkiem zrozumiałe, np. jutrzejszy dzień jest dobry na mycie okien. Kompletnie niejasne, czyż nie?

7. W tym miejscu pragnę podziękować wszystkim obłąkanym ludziom, którzy wierzą w Różowe Nieistniejące Jednorożce. Nigdy nie przestawajcie w nie wierzyć! Stracie wtedy całą swą wyobraźnię i staniecie się Dorosłymi. A tego nie życzyłabym nawet najgorszym wrogom.

8. Dalsze losy Feliksa zostaną okryte mgiełką tajemnicy. Czy został znowu królem? Albo Geniuszem? A może dalej opowiada bajki chłopcom na placu zabaw? Tego nie wiem. Jedyne co mogę powiedzieć, to że Feliks kiedyś powróci. Jeszcze o nim usłyszycie.

Hahahahaha! (złowieszczy śmiech)

TO JUŻ JEST NAPRAWDĘ KONIEC

Paulina Czajkowska

było bezwietrznie

gdy pojechaliśmy nad jezioro o kolorze herbaty,
jak ktoś ma rozbite wargi i domiesza się trochę krwi.
była tam wyspa porośnięta dębami, ich korzenie sięgały dna,
a żołądzie spadały, rozbijając odbicie przerdzewiałego nieba.
ale ono się zrastało gdy kręgi na wodzie dochodziły do brzegu,
na którym staliśmy. chciało się gryźć piasek, korę, trujące grzyby
i żołądzie mieć ze smutku, że nie jesteśmy
tym czym się nazywamy.

niektóre z dębów miały po kilkaset lat i były grubsze
niż kolumny pałaców kultury. szumiały
swoją starą pieśń. to była zwrotka o stracie,
nie tylko liści i żołądzi, którymi rzucaliśmy
kto dalej ale nigdy wystarczająco daleko,
na drugi brzeg. czy gdziekolwiek miał on być.
nikt też nie odrzucił do nas, może nie było go
wystarczająco. tylko plusk i mgły
prześwielone blaskiem z końca dnia, i cienkie fale
jakby ktoś jednak tam chodził.
wystarczająco cicho, żeby był.

Maciej Kotłowski

Salino 02.10.11

ja tylko urządzam sobie wiersz

po omacku. na zewnątrz jest
wyjątkowo, o ile tak jest. niestety nie rozumiem
tego. nie mam na co uwodzić.

ja tylko urządzam sobie wiersz.
on był już wcześniej i czekał od samego początku
zapełniał się rupieciami, beużytecznymi
zapełniał się wyrazami.

ja tylko urządzam sobie wiersz. obierając
ziemniaki co kwitną. planety
tupią do mnie z góry, że powinienem objaśnić
cokolwiek, to przyjdą, ale nie mam na co uwodzić.
skończyły się kotki. w pokoju, który sobie urządzam,
piszę na parapecie, jakby nigdy nic,
jakby nie wiadomo co, urządzam sobie wiersz w weju.

Maciej Kotłowski

szumy się śpią, pomiędzy fantomasem, a b.b.c.

podstawowe obiekty na całej szerokości. krzaki, kałuże,
kamienice i mostki nad cedronem,
kiedy w zaokrąglenie widnokregu jest już wpisana fermentacja.
rozdzielnie pełne świerszczy, pozamykane kioski
i umarli, którzy też się muszą pojawić, bo nie byliby sobą.
wiersz jak bąbel po oparzeniu. nowa tkanka różowa jak kołdra,
pod którą śpiewać piosenki, teraz zapomniane.
chłopaki już uśmiechają się źle jak lisy z kreskówek. rwą
rajstopy w myślach i włosy gdy biorą dziewczyny,
na frytki, w noc wydrapaną tęnym narzędziem
na szybie autobusu. kiedy język jest mokrą łyżeczką
włożoną do cukierniczki i kręci się nim
pierwszy raz w kimś, w kim można zamieszkać.

Maciej Kotłowski

Piosenka rapera o powstaniu Wejherowa

Ref. Miasto Wejherowo wcisnęło się klinem
Między wzgórza zielone, w Redy pradolinę.
Niedaleko od morza i do Gdańska blisko,
Nasze miasto wciąż sławi Jakuba nazwisko.

Jakub Wejher - wnuk kasztelana puckiego,
Sławny rycerz, dziedzic majątku wielkiego,
Porzucił życie bezpieczne, spokojne,
Pod rozkazami Radziwiłła ruszył na wojnę.
Przeciw Moskwie walczył niezłomnie, odważnie,
Służbę woj skową traktował poważnie.

Podczas oblężenia ruskiej twierdzy Biała
Źle założona mina swój impet skierowała
Zamiast na mury - na regiment Wejhera,
Co drugiemu wojakowi przyszło umierać.
Jakub leżał pod gruzami po wybuchu miny,
Już się z życiem żegnał i kajał za winy.

Świętą Trójcę błagał i modlił się szczerze
I Franciszka prosił, niech ich chroni, strzeże.
Lat dwadzieścia kilka - tak trudno odchodzić,
On i jego żołnierze, wszyscy tacy młodzi,
Więc ślubował zbudować, jeśli wyjdzie z tego
Kościół Ś w. Trójcy i Franciszka świętego.

Kiedy wyszedł z opresji i do domu wrócił,
O ślubach zapomniał, w wir pracy się rzucił.
Odzyskał rozproszone swoje dobra rzucewskie,
Gorliwie też wypełniał morskie plany królewskie.
Poznał przyszłą żonę, założył rodzinę,
Wiódł życie przykładne i słowem, i czynem.

Mijały lata, znów walczył na wojnach,
A Rzeczypospolita była bardzo hojna.
Nagrodziła Jakuba za zasługi i służbę

Otrzymał godności i tytuły różne.
Wojewoda, senator, starosta człuchowski
Z krajów cesarskich przywiózł tytuł hrabiowski.

Ref. Zapomniałeś rycerzu o swoich przysięgach
A złożone śluby to przecież rzecz święta.
Przeznaczenie czasem musi długo czekać
I wtedy przypadek ponagla człowieka.

Pewnego razu, w granicach swoich dóbr rodowych,
Zapucił się Jakub na teren całkiem nowy.
Ujrzał wzgórze malownicze, skąd źródło biło.
Gdy ktoś rzekł, że to Biała, wtedy go olśniło!
Przypomniał złożone swoje śluby wotywnie.
Ta zbieżność nazw! To przypomnienie dziwne!

Przystąpił więc do dzieła, rozpoczął budowę
Kościoła Ś w. Trójcy - jak zaręczył słowem,
Następnie klasztoru ojców franciszkanów.
Te dwie fundacje - to początek planów,
By przy wzgórzach zielonych i przy rzeczce Biała
W tysiąc sześćset czterdziestym trzecim - osada powstała.

Za zgodą króla Władysława IV
W miesiącu maju, dnia dwudziestego ósmego
Jakub założył Wejherowską Wolę,
Która od razu miała spełniać rolę
Religijnego ośrodka całego regionu.
Już rosnącą Kalwarię widać z okien domów.

Ref. Fajnie Jakubie, że ci przyszło do głowy
Założyć od podstaw gród zupełnie nowy,
Blisko Śmiechowa, blisko wioski Nanice,
Tam, gdzie pola i piękne leśne okolice.

Z wielkim rozmachem rozwijała się Wola.
Każdy mieszkaniec dostał częśćkę pola
Lasu albo łąki lub mały ogródek.
Powoli osada zapełniała się ludem,
Zachęconym gwarancją wolności wyznania,
Niezależnie od nacji, stanu posiadania.

Na wzór Drogi Krzyżowej Jezusa Chrystusa
Rozłożyły się kapliczki na zielonych wzgórzach.
Przybywały na odpusty liczne narody
Powstawały karczmy, zajazdy, gospody.
Rosła w bogactwo i prestiż nie lada
Ta rzemieślniczo-handlowa osada.

Ref. Fajnie Jakubie, że ci przyszło do głowy
Założyć od podstaw gród zupełnie nowy.
Na surowym korzeniu, gdzie płynęła Biała,
Która potem, po latach Cedronem się stała.

Na mocy przywileju lokacyjnego
Przez Jana Kazimierza wystawionego,
W tysiąc sześćset pięćdziesiątym roku,
Już po siedmiu latach, wszyscy byli w szoku,
Osada prawa miejskie otrzymała
Zasługa Jakuba w tym była niemała.

Jedynie prywatne na Pomorzu miasto
Rozwijało się, kwitło pod szczęśliwą gwiazdą,
W dogodnym punkcie komunikacyjnym,
Z zielonym szlakiem Kalwaryjnym.
To wszystko napędzało gospodarkę grodu,
Utrwalało sławę wejherowskich rodów.

Na niebieskim tle, krzyż maltański biały,
A pośrodku róży kraśny kwiatek mały,
Ten krzyż otoczony liśćmi wawrzynu półkolem -
Prezentował odtąd Wejherowską Wolę,
Bo od roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego
Zatwierdzony został herbem miasta tego.

Ref. Miasto Wejherowo wcisnęło się klinem
Między wzgórze zielone, w Redy pradolinę.
Niedaleko od morza i do Gdańska blisko,
Nasze miasto wciąż sławi Jakuba nazwisko.

Barbara Sędzicka

Wejherowskie witraże

*To się mogło zdarzyć tylko v Wejherowie.
(i trwa)*

duch miasta
budzi się przed świtem
by w nieprzeniknionej mgle rzeki
przysiąść legendą ciszy
póki słońce nie rozproszy
chłodnej bieli otulenia

zaraz Wejherowskie Panny Wodne
przejrzą się w źrenicach Redy
a księżniczka Mawra
odpłynie w osobliwym nastroju
niczym mistyczny żagiel świtu

tutaj czas się wypełnia
nieskażonym pejzażem trwania
pokolenia przychodzą i odchodzą
przemijają na jawie i w śnie

obraz miasta stworzony
na lata świetlne urody i zadumy
a jego piękno tak otwarcie proste
jak rozpostarte ramiona
starego parku Makowskiego
który kryje w sezamach korzeni
cienie kształtów i marzeń

tu wody rzeki mienią się świetliście
witrażami kaszubskich barw tęczy
a taka jest cisza
że słyhać spianato rosy
gdy sędziwy Jakub Wejher
wychyla się z przystani Hermesa
i zbiera pasażę dźwięków
by je ułożyć w pieśń
o Umiłowanej Tej Ziemi

Edyta Wysocka

Kościół Świętej Anny

*...to się mogło zdarzyć
tylko w Wejherowie -*

(impresja z pielgrzymki 2008)

tu trzeba wchodzić głęboko
aż zegna się kolana
w zadumaniu
ono wypływa z milczącego oddechu
z prostej pokory

obraz Matki wciąż niezmienny
w ciszy co jak rytuał
przylega do wizerunku
stapia się z łagodnością oczu
ogarnia

duch tego miejsca trwa bezszelestnie
wchłania każdego i czeka
w półmroku tajemnic
w dymach świec
w wiekowym sacrum milczenia

tutaj modlitwą jest niepokój duszy
korzenie czasu
łaska oczyszczenia

o zmierzchu łatwiej jest odnaleźć prawdę
w zaułkach chłodu pamięci dla człowieka
i skłonić się Wejherów szczątkom świętym
że do dziś tu trwają

Edyta Wysocka

To miejsce

*To się mogło zdarzyć
tylko we Wejherowie.
(tuż tuż za stacją)*

*I żadna tza, i żadna myśl, i chwila, i rok
Nie przeszły, nie przepadły, ale idą wiecznie, (...)
C.K.Norwid*

za kawałkiem muru Stacja X.
tam można przejść torami wzdłuż mięsistych rozchodników
aż do bożej męki zanurzonej w stawie.
pod wiaduktem wuj zwrotniczy strzeże nietoperzy z głowami w dół
a ciotka w porannych godzinkach krząta się przy koziej polewce.
na wysokim płocie śmieszne onentki samosiejki.
i jest tak ładnie
przywołane cienie podróżuj ą z biletami bez daty ważności.

pod szkieletami sosen czas przybiera powoli.
kropla za kroplą podchodzi i rozrasta się
w pióra odlatujących wron
w dym leniwie bury
w zawiasy skrzypnięć...
na rudych torach wieczyste anioły
siedzą sobie w kucki z minami
jakby od zawsze rozumiały te miejsca.

uwiera pamięć,
przechyla się w wyobraźnię
od której można by się oddalić
nawet w ciągu jednej minuty
ale nie na zawsze.

.. przyjdź tu z obrazem dojrzałych źrenic
pokażemy sobie więcej.
jeszcze we włosach płaczą się pajęczyny i szpilki sosen.
powiem ci - lustro nie zawsze jest pewne.
czy chciałbyś zasnąć z niedokończoną czułością
gdy sen dopiero się przeciąga?

Edyta Wysocka

Małogardowo ballada

Je taczé niewiôldzé miasto
Chòc czëjesz sã w nym niecasno
Pòrã òknów na krziż zbite
Na miesc e sedzą w cyg pite

Taczé to niewiôldzé miasto
Kòzdi czasã chce tu zasnąć
Wzlécec nad ne swiaté górë
W niebò zazdrzec wëzi chmùrë

Butnowé dwiérze wcyg skrzëpią
Chcą spiéwać storą na ùdbą
O tim jakùż chwëcëc szczescé
Co w rã kach sã wcyg nie miescy
Taczé to niewiôldzé miasto...

Tu storé biją wcyg zwònë
Co czeje Wałowó benë
Westrzód lëdzy tu żëjącëch
Szarotą jim kòzdi móltëch
Taczé to niewiôldzé miasto...

Na łowcë chłop stóri sedzy
Przegasłim wcyg zdrokã sledzy
Lot gòłabków kòl Batmena
Przegnónëch bez wnëka z rena
Taczé to niewiôldzé miasto...

W parkòwi sã Lubiczki tacy
Altance przed widã bracy
Stórim krafta sã parłãczy
Wëstrzódku wcyg szczescé zwãczy
Taczé to niewiôldzé miasto...

Smiechòwskó chëcz wszëtczich zdaje
Wanogą w krëjamne kraje
Òbróz miasta wcyg wpamiãcë
Z negò świata stóré zdjãce
Taczé to niewiôldzé miasto...

Mateusz Meyer

Razem

nie tylko cuda się tu działy
nie tylko magia żyła tu
w tym miejscu słychać było karabinów zgrzyt
i szczekający wkoło krzyk
lecz
nikt nie pozwolił krzykowi trwać
nikt nie pozwolił by był katowany brat
wszyscy razem
ramię w ramie stanęli
by zniszczyć
ramy tyrani
otaczające kaszubski świat

Magdalena Wołosiak

To właśnie tu

gdy pewnego dnia
przetnie się nasz szlak
gdy raz
złączy się nasz czas
choć raz
pozwolimy ciszy trwać
wśród drzew
wśród jagodowych traw
by po wsze czasy
ramię w ramie stać
otoczeni lazurowym snem
pośród chmur i tęczy
bo tylko tutaj jest tak
że trzeba żyć
chłonąć świat
a nie tylko
być
i trwać

Magdalena Wołosiak

* * *

żeby tak
choć raz
pozwolić magii trwać

żeby tak
nie raz
nasze życie
było dla nas łagodne
jak polny mak

i żeby tak
móc raz
na ustach poczuć
młodej nocy smak

i żeby tak
usłyszeć choć raz
jak dwa serca
w jeden biją takt

ale żeby tak trwać
trzeba choć raz
poczuć w sobie
życia zew
i kaszubską krew

Magdalena Wołosiak

Przestrzeń

Wszędzie takie samo - a jednak inne
- wejherowskie powietrze
Codziennie we mnie
Wszędzie takie samo - a jednak inne
- wejherowskie słońce
Codziennie nade mną
I księżyc i gwiazdy
Powiesz że te same
Ja zaprzeczę
Wszystko jest tu na swój sposób wyjątkowe
Jakoby zaczarowane
Najpiękniejsze
Więc stoisz w tym słońcu
Oddychasz tym powietrzem

Aleksandra Mielewczyk

Drzewa

Nieludzko smutna historia
- o ludziach.
Ból niewola cierpienie rozpacz
O których nigdy nie miałeś pojęcia
Nie chciałeś mieć
Wszystko wydarzyło się niedaleko Wejherowa
One widziały słyszały i czuły
To wszystko
Ten cały ból
Krwawe łyzy bezgłośne krzyki
Przeżywały śmierć
Tysiące razy

Teraz Ci przypominają
Patrzą ślepo
Niemo przemawiają
Zbyt stare?
Zbyt młode?
Świadkowie mordu
Rzezi uczniowie

Aleksandra Mielewczyk

Pożeracz marzeń

Osmolone węglem oczy wpatrują się w Ciebie
Patrzą w ten sposób codziennie
Z wyczekiwaniem, wielką nadzieją
Lecz ty niemiłosiernie nie dajesz nic od siebie
Tylko blask, swą obecność
Nic więcej

One nadal patrzą
Marzą o Tobie
Razem z Tobą żyją
Ale ty egzystujesz tylko wieczorem
A najpiękniej wyglądasz w jej mieście
Wejherowie

Gdy jesteś w pełni
Gdy świecisz nad tymi oczami
Jesteś w wodzie, w parku
Na mokrych od rosy liściach
Jesteś najwspanialszy
I choć sam o tym nie wiesz
Te oczy uwodzisz
Pochłaniasz Czerpiesz z nich blask swój
Jak pasożyt Powoli zabijasz

Aleksandra Mielewczyk

Wiara

nie wierzę w cuda - bo cudem nie jestem
nie wierzę w miłość - bo nie czuję się kochana
nie wierzę w oddanie - bo oddać się nie potrafię
nie wierzę w szczęście - bo ono nie wierzy we mnie

wierzę tylko w krzyk - bo przynosi ulgę
wierzę w płacz - bo daje współczucie
wierzę w sen - bo pomaga zapomnieć

Paulina Zelewska

* * *

nie mogę oddychać
gdy nie ma cię obok
we własnym ciele się duszę
śnie snem nieprzerwanym
nocami i dniami marzę o nas

może los się uśmiechnie
i w jednej chwili
złączy nasze serca

trwam w stanie między
rzeczywistością a bajką
wyczekując chwili
w której ujmiesz moją dłoń
i powiesz, że kochasz

Paulina Zelewska

Nicość

a teraz nic tam nie ma...
pustka, cisza, ciemność...
pozostał tylko ból
i blade wspomnienie tamtej nocy
chcę wrócić czas
zatrzymać śmierć
odebrać jej to, co powinno być moje
przestać żyć dla niego...
dla młodego oddechu...
zatrzymać kata i utrzymać kwiat przy życiu...

nie udało się
kat wykonał swą powinność

nie zdążyłam...
kwiat umarł...
poblądł cały
nie słyszeć oddechu
nie czuć zapachu
nie słyszeć bicia malutkiego serca
śmierć zebrała żniwo
wezwała stworzenie do nieba
nim zdążyło złapać dziewiczy oddech
bolesna śmierć
zbyt krótkie życie
poskromione w zarodku
wielki ból...
wokół cisza
świat stanął w miejscu
wszechobecna pustka
serce krwawi
to już koniec wszystkiego
to już koniec mnie

Paulina Zelewska

Życzliwy uśmiech

Człowieku
obudź się i zacznij żyć
pozostaw za sobą wszystkie szare dni
żyj chwilą

ciesz się z drobnostek
losowi w oczy się śmiej
nie pozwól odebrać sobie szczęścia
jakie daje Ci miłość
i bliskości drugiego człowieka

z uśmiechem na ustach
Krocz przez życie
I spoglądaj na wszystko przez różowe okulary
bo szarość świata lepiej w nich wygląda

każdą chwilę wykorzystaj
by czynić dobro
sprawiaj, by ludzie wokół Ciebie
czuli się wyjątkowi
bowiem nie ma nic bardziej budującego
niż życzliwy uśmiech drugiego człowieka

Paulina Zelewska

Gmina Wejherowo w limeryku

Wejherowo

Pewien myśliwy spod Wejherowa,
w kaszubskich lasach często polował.
Na Świętego Wawrzyńca,
odstrzelił w nich odyńca...
- który to miasto terroryzował.

Bieszkowice

Dumne podobno są Bieszkowice,
z tego, że mają we wsi dziewicę.
Rydzyk z Radia Maryja,
już zapowiedział przyjazd...
- bo chce zbudować dla niej kaplicę.

Bolszewo

Od lat samotnej babci z Bolszewa,
z emeryturą się nie przelewa.
Mimo węszeń „skarbowki”,
sprzedaje pół itrówki...
- i dzięki temu lepiej się miewa.

Gniewowo

Stary lowelas ze wsi Gniewowo,
przez całe życie był Casanovą.
Na starość się ożenił,
choć zawsze wolność cenił...
- niestety stracił ją przez teściową.

Gościcino

Kiedyś blondyna spod Gościcina,
wypiła w gościach białego wina.
Była bardzo zdziwiona,
że twarz jej jest czerwona...
- i już blondynki nie przypomina.

Góra

Najazd drobiarzy przeżywa Góra,
bo kacze jaja znosi tu kura.
A teraz ponoć ćwicz,
by przejść do jaj indyczych...
- do wielkich rzeczy może dojść dziura.

Kapino

Inseminator we wsi Kapino,
zakończył pracę z krowy waginą.
Po łokcie się utrudził,
lecz „mućka” chciała buzi...
- bo przecież było nie jest rośliną.

Kniewo

Hodowca roślin z okolic Kniewa,
w życiu policji się nie spodziewał.
Na wiosnę siał buraki,
jednak wyrosły maki...
- a że są piękne, więc je podlewa.

Łężyce

Zaradny Kaszub ze wsi Łężyce,
by się dorobić był w Ameryce.
Gdy powrócił z Zachodu,
zabił go zapach smrodu...
- co z wysypiska truł okolice.

Nowy Dwór Wejherowski

Chłop ze wsi Nowy Dwór Wejherowski,
dostał nowotwór przez papieroski.
Gdyby pił a nie palił,
życie swe by ocalił...
- a tak wybiera się na Sąd Boski.

Orle

Mówią że święty jest we wsi Orle,
co aureolę ma jak mandorlę.
Prawdę odkryły dzieci,
że to nie on tak świeci...
- lecz len z Torunia o nazwie torlen.

Reszki

Zdesperowany chłop ze wsi Reszki,
zakupił silny środek na meszki.
Zabija wampirzyce
owadów tych samice...
- i jest skuteczny na babskie grzeszki.

Gowino

Żona stwierdziła we wsi GOWINO,
że coś się rusza pod jej pierzyną.
Miała cichą nadzieję,
że w domu są złodzieje...
- ale to mąż był z młodą dziewczyną.

Sopieszyno

Pewien bogaty chłop z Sopieszyna,
marnotrawnego utracił syna.
Chciał zapisać hektary,
ponieważ jest już stary...
- lecz syn karierę w Sejmie zaczyna.

Ustarbowo

Chłop na weselu był w Ustarbowie,
dużo toastów wypił „na zdrowie”.
Rano był jednak chory,
nie mógł iść do obory...
- widać toasty to pustostowie.

Warszkowo

Hodowca drobiu ze wsi Warszkowo,
dawniej miał dużą fermę drobiową.
Dziś jedną ma kaczuszkę
i trzyma ją pod łóżkiem...
- w jej dziób opróżnia cewkę moczową.

Zbychowo

U Zbycha huczny bal był w Zbychowie,
ciężkiego kaca mieli panowie.
Dziewczyny co tam były,
podobno zaciążyły...
- kto będzie ojcem, ONA powie.

Grzegorz Lewkowicz

Spis treści

Bogdan Tokłowicz – <i>Drodzy Czytelnicy</i>	3-4
Wyniki konkursu: <i>Powiew Weny 2011</i>	5
Lucyna Kurpiewska – <i>Pani Willmowna</i>	6-18
Tadeusz Buraczewski – <i>Partyzant ostatni</i>	18-24
Mirosław Odyniecki – <i>Mamuśka</i>	24-37
Andrzej Podgórnjak – <i>Michasia</i>	38-55
Wanda Ditrach – <i>Wejherowska Wigilia</i>	56-65
Bogusława Zubrzycka – <i>Dotrzeć do przystani...</i>	65-69
Tomasz Lipowski – <i>Zawieruszony szept przeszłości</i>	69-75
Kornelia Selonke – <i>To się mogło zdarzyć tylko w Wejherowie</i>	75-84
Paulina Richert – <i>Porwanie Wejhera</i>	84-87
Paulina Czajkowska – <i>Historia o obłąkanych dla obłąkanych</i>	88-92
Marcin Kotłowski – <i>było bezwietrznie..., ja tylko urządzam sobie wiersz, szumy się sypią pomiędzy fantomasem a b.b.c.</i>	93-94
Barbara Sędzicka – <i>Piosenka rapera o powstaniu Wejherowa</i>	95-97
Edyta Wysocka – <i>Wejherowskie witraże, Kościół Świętej Anny, To miejsce</i>	98-100
Mateusz Meyer – <i>Małogardowo ballada</i>	101
Magdalena Wołosiak – <i>Razem, To właśnie tu, * * *</i>	102-103
Aleksandra Mielewczyk – <i>Przestrzeń, Drzewa, Pożeracz marzeń</i>	104-105
Paulina Zelewska – <i>Wiara, * * *, Życzliwy uśmiech</i>	106-108
Grzegorz Lewkiewicz - <i>Gmina Wejherowo w limeryku</i>	109-110
Spis treści	111

**W VI edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego
"Powiew Weny 2011" wzięli udział także:**

- Tomasz Albecki z Wejherowa
- Krzysztof Kamil Bojarski z Bolszewa
- Elżbieta Budnik z Wejherowa
- Marek Chorawik z Gdyni
- Elżbieta Czarnecka z Bolszewa
- Michał Detlaf
- Piotr Fałczyński z Obłoboku
- Marcin Fedoruk z Rumi
- Maria Grzesińska z Wejherowa
- Krystyna Kobus z Wejherowa
- Małgorzata Michniak z Krakowa
- Bogumiła Mielewczyk z Bolszewa
- Bogdan Nowicki ze Świątchłowic
- Alicja Orszulak z Wejherowa
- Kamila Rondo z Gdyni
- Anna Piliszewska z Wieliczki
- Andrzej Sitek z Wejherowa
- Piotr Skurzyński z Redy
- Ewa Szczepańska z Wejherowa
- Marta Szmytko z Wejherowa
- Zbigniew Radosław Szymański z Gdyni
- Anna Wiśniewska z Wejherowa
- Jadwiga Żurawiecka z Wejherowa

Wszystkim autorom z całego serca dziękuję za nadesłanie swoich utworów literackich na nasz konkurs i życzę powodzenia w następnych edycjach "Powiewu Weny" oraz innych konkursach literackich.

**Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa
Bogdan Tokłowicz**



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

ISBN 978-83-928233-9-1